

# *Szmugiel na wagę życia*

BERNARD KONRAD ŚWIERCZYŃSKI

*Przeżyłem, bo miałem szczęście. Zarówno ja jak i kilkudziesięciu Żydów razem przeżyliśmy okupację hitlerowską dzieląc między sobą szczęście przetrwania. A było ono tak wielkie, że każdy komu pomagałem doczekał się wyzwolenia. A oto kilka faktów z naszej okupacyjnej historii (...)*

Fragment wypowiedzi Konrada Świerczyńskiego w trakcie uroczystości wręczenia mu honorowego obywatelstwa państwa Izrael.

BERNARD KONRAD ŚWIERCZYŃSKI
(KONDEK)

# SZMUGIEL
# NA WAGĘ ŻYCIA

WARSZAWA 2015

Spis treści

# Wstęp, czyli skąd się to pisanie wzięło

Kiedy przejrzałem pierwsze kilkadziesiąt stron moich wspomnień, odniosłem wrażenie, że opisywane przeżycia są jakby zawieszone w próżni. Kim był Konrad? Jak to się stało, że niespełna dwudziestoletni chłopak wybrał taką właśnie formę walki z okupantem? Pozwól więc, Czytelniku, że zanim opowiem, jak pomagaliśmy Żydom w warszawskim getcie, o życiu tych, którzy zaryzykowali ucieczkę na „aryjską" stronę, i jak szmuglowano do getta dziesiątki ton żywności, spróbuję odpowiedzieć na pytanie, kim byli ci, którzy ryzykując własną głową, spełniali swój polski, patriotyczny obowiązek.

Czytałem publikacje i wspomnienia przedstawiające Polaków jako zoologicznych antysemitów, którzy swoją „rasistowską ideologię wyssali z mlekiem matki". Niestety większość publikowanych faktów była prawdziwa. Ale taki obraz stanowi zaledwie jedną stronę okupacyjnej rzeczywistości. Obok ludzkich szumowin były też tysiące tych, którzy z narażeniem własnego życia pomagali, którzy za swą patriotyczną postawę ukarani zostali najwyższym, hitlerowskim wymiarem kary. I to jest druga strona czasów okupacyjnej pogardy. Niestety publikacji o tej godnej szacunku i pamięci postawie Polaków jest nieproporcjonalnie mało.

Miałem wielu kolegów i przyjaciół Żydów. Od najmłodszych lat byli towarzyszami moich podwórkowych zabaw i ganiatyk w „berka" czy w „złodziei". W przedwojennym gimnazjum im. Stefana Żeromskiego (niezapomniany i mądry dyrektor Teofil Wojeński) prawie połowę uczniów stanowili Żydzi. Wszyscy w szkole łomotaliśmy się po „zakutych pałach", jak mawiał nasz wychowawca „łacinnik", prof. Jaklitsch, tak samo wśród jednych i wśród drugich zdarzały się „tumany" lub „marabuty", jak określał nauczyciel historii, prof. Mayzel, tych, którzy „przezimowali" na drugi rok. Wśród jednych i drugich bywały „kujony" lub autentyczne talenty z języka polskiego, matematyki czy fizyki.

I mimo, że raczkujący polski faszyzm inspirowany m.in. przez pseudopatriotyczne organizacje studenckie, starał się w niektórych szkołach lub na uniwersytetach wprowadzić podział wśród uczącej się młodzieży, u Żeromskiego każdy podziwiał Frydlanda, bo był najlepszy w łacinie, Gutgesztalta i Świerczyńskiego za to, że byli najlepsi w matematyce. A że są w klasie tacy i tacy, uprzytomniały nam dopiero lekcje religii. Rzymsko-katolicy szli na „swoją", a ci wyznania mojżeszowego na „swoją" religię. Podział ten jednak, jako że gimnazjum i liceum im. Stefana Żeromskiego było szkołą postępową, nie zawsze różnił. Tak się składało, że ksiądz, który wykładał historię kościoła katolickiego, i rabin „od wyznania mojżeszowego" zwykli prowadzić swe nauki z zamkniętymi oczyma. Idealna okazja do robienia kawałów! Pamiętam, kiedy „zmówiliśmy się" i rzymsko-katolicy poszli na lekcje prowadzone przez rabina, a Żydzi uszczęśliwili swą obecnością księdza. Żaden z wykładowców się nie „skapował". Dopiero dyrektor Wojeński przyłapał całe towarzystwo i każdemu, Żyd czy nie Żyd, dał po dwójce ze sprawowania...

Okupacja potargała lub zerwała nasze przyjaźnie. Wielu szkolnych kolegów zostało zamkniętych w warszawskim getcie, a jeden z nich – Kostryński o pseudonimie „Kostek" – o ile wiem został nawet członkiem konspiracyjnego CK Bund.

Wspominając, pragnę złożyć hołd tym moim przyjaciołom, którzy odeszli, żołnierzom w walce z upodleniem, o godność człowieka – Polakom i Żydom. A także wskazać na niektóre społeczne korzenie umacniające nas w tej walce.

# Szmalec[1], czyli przez ten cholerny snopek słomy…

– Ręce do góry! Gestapo!

Kiedy nad ranem zamiast „dzień dobry' nagle słyszy się takie wezwanie, a w drzwiach staje dwóch panów w skórzanych płaszczach, ze swastykami w klapach i w tyrolskich kapelusikach z piórkiem – lokatorom robi się koło serca, delikatnie mówiąc, nijako. A jeśli mieszkanie wynajęte jest na podstawie fałszywych ausweisów[2], podrobionej arbeitskarty[3] oraz różnych lipnych zaświadczeń i od miesięcy ukrywa się w nim Bóg wie kto, a także Bóg wie jakie niemieckiemu oku niemiłe różności się tam przechowuje – jasne się staje, że liczyć można tylko na cud. W takim momencie rozważania: a może któryś szkop zachoruje nagle na serce lub z minuty na minutę stanie się przyzwoitym człowiekiem i po ludzku zacznie oceniać swoją brudną robotę, na pewno nikomu nie przychodzą do głowy. Ale przecież coś trzeba robić! Nie czas myśleć o sprawach niemożliwych. Teraz w tych pierwszych sekundach czy minutach trzeba myśleć, czekać, patrzeć, analizować sytuację. Z nadzieją, że na nierówną walkę czy ucieczkę znajdzie się jakiś w miarę odpowiedni moment, dający choćby nikłą szansę nie znalezienia się na Szucha[4]. Może ta wpadka zaczęła się od cholernego snopka słomy? Zaraz, jak to było?

Po długich roztrząsaniach sprawy na wszelkie możliwe sposoby, jako że wiosna i wiosenne porządki tuż, tuż, o czym świadczyły odgłosy trzepania dywanów i chodników, a także wietrzone w oknach kołdry i poduszki, uradzono, że Konrad zakupi na pobliskim Placu Szembeka snopek słomy i demonstracyjnie, aby wszyscy widzieli, przyniesie go do mieszkania. Miało się to odbyć rano. Oficjalnie bowiem obecny użytkownik mieszkania, pan Zalewski, wychodził do pracy na ósmą. Snopek i zaprószone źdźbłami słomy schody miały przekonywać sąsiadów, że u Zalewskiego wszystko idzie normalnie jak w przeciętnym polskim domu i że w tym mieszkaniu o zbliżającej się Wielkanocy nikt nie zapomina.

Bzdura! Dwóch panów w kapelusikach nie składa nad ranem wizyt w trefnym mieszkaniu, bo nie podobały im się ślady słomy na schodach. Co robić? Jak zareagować? Sytuacja jest skomplikowana. W mieszkaniu znajdują się ludzie skrajnie wyczerpani przeżytymi prześladowaniami, po których można spodziewać się każdej niekontrolowanej reakcji. Właściciel mieszkania, lekarz z Białegostoku, kilkakrotnie niemal cudem uniknął śmierci. W białostockim getcie jedynie kaprys żandarma kazał mu przejść na lewą stronę do tej grupy, która uprzątała ciała skierowanych na stronę prawą. Był aresztowany przez białoruską Hilfspolizei[5] i raz przez granatową policję. Żona Zalewskiego od kilku tygodni leżała w łóżku uratowana przez lekarza z warszawskiego pogotowia ratunkowego po zażyciu silnego środka nasennego w komisariacie granatowej policji. Teraz, wystraszona, gwałtownie reagowała na każdy głos dochodzący z ulicy, nakrywając głowę kołdrą, kiedy za oknem przejeżdżał samochód lub kiedy słychać było dochodzące z podwórka pokrzykiwania dozorcy. Jeszcze przed kilkoma miesiącami doktor Samuelson, tak bowiem brzmiało jego prawdziwe nazwisko zanim uzyskał papiery na nazwisko Zalewski, był człowiekiem spokojnym i opanowanym. Mimo że znajdował się w sytuacji zaszczutego zwierzęcia, bez pieniędzy, a nawet koszuli czy ubrania na zmianę, nie tracił wiary, że przecież te straszne przeżycia, które już miał za sobą, muszą się wreszcie skończyć, że życie nie może przecież składać się z coraz to nowych ucieczek, aresztowań, starań o zmianę „spalonych" papierów, poszukiwań miejsca, gdzie by można przenocować chociaż przez jedną, dwie noce.

W dzień Samuelson czuł się bardziej bezpieczny. Dobry „aryjski" wygląd, urzędowa, choć nieco sfatygowana, ale za to wyczyszczona pastą do butów teczka, podniszczony, ale schludny garniturek nadawały mu wygląd typowego Beamtera (urzędnika) w miejscowym magistracie. Kiedyś, tuż po

wkroczeniu Niemców w 1941 roku, jedna z dawnych pacjentek podarowała mu kilkanaście blankietów z nadrukiem Stadtverwaltung Białystok[6] oraz z niemiecką pieczątką u dołu. Wtedy jeszcze nie bardzo wiedział, do czego mu się te papiery przydadzą. W naiwności zamierzał nawet zniszczyć blankiety, bo niby po co się narażać, przecież kto jak kto, ale lekarz jakoś w getcie przeżyje. Szybko jednak groza każdego dnia wyparła naiwność. Już kilka godzin po wkroczeniu niemieckich wojsk do białostockiej synagogi przy ulicy Wilczej zapędzono około siedmiuset osób, budynek oblano benzyną i podpalono[7]. Tylko nielicznym udało się wydostać. Dozorca synagogi, Polak Józef Bartoszek, znał niepozorne, usytuowane na tyłach synagogi przejście. Korytarz posiadający betonową posadzkę i strop zajął się ogniem najpóźniej. Uratowało się dwadzieścia dziewięć osób. Kilka dni później nowy przejaw niemieckiej kultury: do komendantury miasta wezwano wszystkich żydowskich prawników, zobowiązując ich do zabrania kodeksów. Oficjalnie władzom niemieckim szło o zapoznanie się z obowiązującym dotychczas na tych terenach ustawodawstwem polskim. Przybyło kilkaset osób. Wszystkich zatrzymano, a następnie rozstrzelano w lesie w okolicy pobliskich Pietrasz. I taki był każdy niemal dzień – getto, prawie codzienne masowe rozstrzeliwania, głód, epidemie... I chociaż początkowo nie wiedział, do czego mu się mogą przydać podpisane in blanco zaświadczenia, to przecież stawało się coraz bardziej jasne, że człowiek o nazwisku Szymon Samuelson nie ma prawa długo żyć w białostockim getcie. Tu nikt nie mógł liczyć swego życia na lata. Ci, którzy mieli wiele szczęścia i mocne papiery, mogli liczyć na miesiące. Dla pozostałych każdy dzień oznaczał przebycie jeszcze jednego kroku ku ostatecznemu końcowi.

Papiery ze Stadtverwaltung kilka razy uratowały mu życie. Tak było, kiedy z nieodłączną teczką w ręku znalazł się nagle w samym środku „łapanki". Stał wśród kilkunastu innych, odwrócony twarzą do muru, z rękami podniesionymi do góry. W ręku „lipna" kenkarta z kupionym przed kilkoma tygodniami ausweisem stwierdzającym, że w Stadtverwaltung pracuje jako Hilfskraft in Gesundheitsabteilung[8]. Zawartość zrewidowanej teczki potwierdziła wcześniej podarowane zaświadczenie. Jakieś stare karty chorobowe pamiętające przedwojenne czasy, futerał ze strzykawką. Kiedy likwidował swój gabinet, nie wiadomo dlaczego, może z jakiegoś sentymentu, zabrał te rzeczy do getta. Teraz służyły mu jako dowody potwierdzające jego zatrudnienie.

Na „budy"[9] ładowano tych, którzy nie potrafili się w dostatecznie przekonujący sposób wylegitymować lub po prostu swoim nerwowym zachowaniem, zaklinaniem się na małe, pozostawione w domu dzieci, nie potrafili wybłagać łaski zwolnienia.

Ale Deutsche Polizei[10] nie dawała rady w tropieniu wciąż narastającej konspiracji i partyzantki. Próby aktywizowania polskiej policji również nie dawały spodziewanych rezultatów. W Białymstoku została drobna cząstka przedwojennej polskiej policji, nie wyjechała z polecenia polskiego podziemia, pozostając jako wtyczki w co bardziej newralgicznych ośrodkach wroga. Inni pełnili służbę, a raczej wałęsali się po ulicach ślepi i głusi, nie byli w stanie zwrócić uwagi na cokolwiek, co kolidowało z niemieckim „prawem". Pilnowali tylko, aby na czas salutować przechodzącym Niemcom lub też, kiedy żołnierze podziemia rozbrajali ich na ulicy, aby otrzymać odpowiednie zaświadczenie, że stawiali opór. Wtedy niemieccy chlebodawcy nie mogli podejrzewać, że „der Polnische Polizist nocheinmal verkaufte seine Pistole"[11].

A jeśli do tego w tym wielkim tyglu konspiracji, gestapowców, konfidentów, volksdeutschów[12] jest się Żydem, a jako lekarz postacią popularną w całym Białymstoku, niebezpieczeństwo wielokrotnie przewyższa przeciętną. Wkrótce więc polscy koledzy lekarze dostarczyli doktorowi fałszywe papiery i udało mu się przedostać do Warszawy z zamiarem zorganizowania jakiejś kryjówki dla żony, która pozostała jeszcze w białostockim getcie. Przy pomocy tychże kolegów lekarzy, zanim już jako Zalewski przeprowadził się tu na Grochów, wynajęto małą sublokatorkę przy ulicy Zgoda. Dla doktora i jego żony potrzebne były jednak solidne papiery, bowiem na „lipę" z Białegostoku mogli się nabrać niemieccy prowincjusze ze wschodu, ale nie doświadczone warszawskie Gestapo. Za grube pieniądze zebrane przez warszawskich przyjaciół pewien

„uczynny" administrator podjął się dostarczenia potrzebnych dokumentów – metryki, kenkarty, zaświadczenia pracy i karty pracy.

Tak. To nie snopek słomy wskazał drogę do Zalewskich. Skąd więc wzięli się tu na Serockiej dwaj panowie w tyrolskich kapeluszach[13]?

– Wszyscy siadać i położyć ręce na stole!

Wyższy z intruzów stanął w drzwiach przedpokoju, drugi zaś po przeprowadzeniu pobieżnej rewizji osobistej zaczął rozglądać się po mieszkaniu. Teraz obaj z uwagą przyglądali się każdemu szczegółowi w niemal pozbawionym mebli pokoju. Od czasu do czasu sprawdzali, co też mieści się za wiszącym na ścianie obrazem, szukając wydrążonych schowków, pukali w drzwi szafy lub zgiętymi kciukami palców ostukiwali półki w kuchennym kredensie. Skrupulatnie badali każdą śrubkę podtrzymującą umocowany na ścianie zlew.

Milczenie, jakie towarzyszyło tym zajęciom, umożliwiało spokojniejsze zastanowienie się nad sytuacją, bardziej wnikliwą analizę prawdopodobieństwa, jak mogło dojść do wizyty na Serockiej dwóch panów z hakenkreuzami w klapie.

# „Zabierz pan to...”

Administrator, pan M., nie tak dawno robił wrażenie bardzo uczynnego i przyzwoitego człowieka. Kiedy na tajnych kompletach byłego gimnazjum i liceum im. Bolesława Prusa przy ulicy Jasnej w Warszawie usłyszał, że jeden z jego kolegów, Konrad, wraz z narzeczoną Haliną[14] mają „kłopoty” mieszkaniowe, - natychmiast zaoferował swoje usługi. Profesor Langiewicz, który na kompletach wykładał zakazaną w polskich szkołach historię, wydał o M. dobrą opinię, potwierdzoną tym, że od „spalonych” Haliny i Konrada pieniędzy nie żądał, bezinteresownie użyczając im noclegu. Pieniądze na fałszywe dokumenty gdzieś tam M. już wpłacił i za kilka dni Samuelson miał według papierów stać się prawdziwym „aryjczykiem”. Tymczasem tułał się od jednego przypadkowego noclegu do drugiego. Aż wreszcie po kilku dniach, już jako obywatel Stanisław Zalewski, podnajął sublokatorkę przy ulicy Zgoda. Kilka koszul, zimowe buty, parę sukienek żony, które wcześniej przywiózł jakiś wracający z Białegostoku polski lekarz, to był cały majątek Samuelsona. Aby jednak „skarby” nie przepadły w niezbyt pewnym pokoiku przy ulicy Zgoda, postanowiono je przechowywać u administratora M, w którego mieszkaniu Konrad i Halina przemieszkiwali niemal tydzień.

Pewnego dnia, kiedy tuż przed godziną policyjną wrócili z miasta (w dzień administrator nie życzył sobie ich przebywania w mieszkaniu) w drzwiach mieszkania na wpół uchylonych ujrzeli przymocowaną pineską kartkę: „Panie. Zabierz pan to, bo jak nie, to dam znać gdzie trza. Stoję i patrzę”.

Na podłodze w przedpokoju leżała rozbita szklanka, a otwarte drzwi szafy do reszty wyjaśniły sytuację. Wyglądało to na kradzież z włamaniem. Najpierw trzeba było sprawdzić, na ile treść kartki pokrywa się z rzeczywistością. Oboje szybko wyszli na klatkę schodową. Halina skierowała się na górę, aby z wysokości trzeciego piętra rozeznać, co się dzieje na podwórzu, Konrad zaś naprędce zmienił wygląd. Zdjął okulary, czapkę schował pod marynarkę i wyszedł na ulicę, bacznie obserwując przechodniów i notując w pamięci każdego, kto choćby zatrzymał się przy wystawie sklepowej lub wszedł do najbliższej bramy.

Nic jednak nie wskazywało, aby ktoś „stał i patrzył”. Przez zaciemnioną ulicę szybko przesuwały się sylwetki ludzi spieszących się do domu przed godziną policyjną. W wystawach niektórych sklepów wygaszono już niebieskie, przeciwlotnicze światła. Jeszcze tylko kilkanaście minut i na Warszawę spłynie cisza policyjnej godziny. Jeszcze jest czas, by wbiec na schody i spytać czekającą Halinę, czy czegoś nie spostrzegła ze swojego punktu obserwacyjnego. Podwórko i widoczny z okna klatki schodowej fragment ulicy były jednak takie jak co dzień. Spieszący się ludzie, zapadający zmrok godziny policyjnej. Nikt nie „stał”, nikt nie „patrzył”. Na podwórku pojawiły się dwie spóźnione postacie. Mająca lepszy wzrok Halina z wysokiego trzeciego piętra klatki schodowej rozpoznała małżonków M. Zwykle już około osiemnastej oboje byli w domu, ona przygotowywała spóźniony obiad, on zaś z rozłożonymi wielkimi księgami administracyjnymi na stole coś tam poprawiał, uzupełniał, skreślał lub dopisywał. Oczywiste było, że teraz trzeba szybko zejść i poczekać na właścicieli na pierwszym piętrze, tuż przed otwartymi drzwiami mieszkania. Pani M. była osobą dosyć gadatliwą i z reguły, jeśli nie wracała sama, słychać było wygłaszane przez nią prawdy życiowe co najmniej na parterze, a jak szła z mężem, to przynajmniej połowa podwórka wiedziała, że państwo M. właśnie wracają do domu. Dziś, milcząc, szybko przeszli przez podwórko, a na schodach nie wymienili ze sobą nawet jednego słowa. – Cóż to stoicie przed drzwiami? Stało się coś? – rozpoczęła M. – O! Drzwi otwarte! Nie wchodzicie?

Tymczasem pan M. nie wykazywał specjalnego zainteresowania ani tym, że drzwi są otwarte, ani tym, co się dzieje w mieszkaniu. Bacznie rozglądał się po klatce schodowej i z uwagą lustrował wzrokiem każdy schodek pół-piętra. Zajrzał nawet pod słomiankę.

– Czego pan szuka, panie M.?

Administrator spojrzał na Halinę i nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Tu z pomocą pośpieszyła mu wygadana M.

– Na pewno klucze były w drzwiach i pewnie gdzieś wypadły – dorzuciła wyjaśniająco.

M. spojrzał na nią z wyraźnym karcącym niezadowoleniem.

– Klucze same po schodach nie skaczą – powiedział. – Miał tu być u mnie kolega i w razie gdyby mnie nie zastał, miał zostawić kartkę w drzwiach. A zwracając się do Konrada, zapytał:

– Byliście tu wcześniej. Nie widzieliście w drzwiach jakiejś kartki?

Sytuacja stała się jasna. M. nie interesowało ani włamanie do mieszkania, ani ewentualne straty, jakie mógł ponieść. Ważna była kartka napisana przez szantażystę.

– Nasze klucze mamy przy sobie, a przyszliśmy tu zaledwie przed chwilą. Ale żadnej kartki w drzwiach nie widzieliśmy – powiedziała Halina i mimowolnie, nawet z lekka się uśmiechając, spojrzała na kieszeń, do której Konrad nie tak dawno schował zerwaną z drzwi kartkę.

– O mój Boże! Moja szklanka! – z teatralną rozpaczą krzyknęła M., spoglądając tragicznym wzrokiem na rozbite w przedpokoju szkło. – O! I z szafy wszystko wyniesione!

Obie z Haliną zaczęły sprawdzać, co zginęło. Początkowy strach, że ktoś naprawdę „stoi i patrzy", że „gdzie trza" doniesie, szybko ustępował. Z szafy zginęło palto Haliny, jako że więcej z getta wynieść nie było co, oraz dwa kapelusze Konrada i sześć koszul, a także sukienki i buty Samuelsonów. Państwu M., mimo gorączkowych poszukiwań, nie zginęła nawet chustka do nosa. Wprawdzie co chwila słychać było jakiś pełen rozpaczy okrzyk: „Ach! Gdzie moja bluzeczka, taka ładna z haftem! W czym jutro mój stary pójdzie do roboty, rąbnęli mu ostatnie portki!", ale po chwili „skradzione" M. rzeczy znajdowały się gdzieś na dole w kącie szafy albo pod tapczanem lub nawet w biurku, gdzie pan administrator przechowywał swoje papiery. M. przez cały czas nie przejawiał specjalnego zainteresowania tym, czy i co zginęło. Zaraz po wejściu do mieszkania wyszedł na klatkę schodową i dokładnie przeszukiwał każdy stopień schodów.

– Panie Konradzie. Nie widziałeś pan takiej kartki w drzwiach? Byliście tu przed nami...

– Jakiej kartki...?

– No, taka z zeszytu. Połówka kartki... kolega miał mi zostawić.

– W drzwiach to nie było żadnej kartki – odezwała się Halina – ale jak wchodziliśmy, to na parterze coś takiego zdaje się leżało przy wejściu do sieni...

– Gdzie pani mówi?

– Na parterze, tuż koło drzwi.

M. jak postrzelony pognał na parter, Konrad zaś zaskoczony odkrywczymi informacjami Haliny spojrzał na nią ze zdziwieniem. I mimo że właśnie w tym momencie razem z panią M. szukały jakiegoś rzekomo skradzionego pani administratorce sweterka, Halina zdołała odwrócić głowę i zrobić „perskie oko".

Też poczucie humoru – pomyślał Konrad – żeby w takiej sytuacji kazać chłopu „dla draki" biegać po schodach...

Kradzież wyglądała na całkowicie sfingowaną. Taki szmalec z próbą zachowania własnego, dobrego imienia. Czy tu szło o uniknięcie odpowiedzialności, czy też o to, aby nie palić „firmy"? Bo przecież w przyszłości może udać się panu administratorowi, że „zaopiekuje się" ludźmi bardziej zamożnymi niż Konrad z jego dwoma kapeluszami i Haliną z przenicowanym przez gettowego krawca paltem. A rzekomy anonim mógł być paskudnym dowodem! Najważniejsze chwilowo było jednak, że list szantażysty z jego „stoję i patrzę" był sfingowany przez pana administratora. Halina wraz z panią M. porządkowały mieszkanie. Sam M. zasępiony, w milczeniu siedział przy stole, głęboko się nad czymś zastanawiając. Konrad również postanowił nie komentować sytuacji. Uwaga Haliny, że kartkę widziała, zaczęła nabierać szczególnej wartości, tym bardziej że kartka zniknęła bez śladu. Kto ją podniósł? Kto ją czytał? A może

Konrad lub Halina kartkę mają przy sobie i traktują ją jako zabezpieczenie przed dalszymi podobnymi niespodziankami? A jeśli dowód szantażu trafi w niepowołane ręce, można nawet „zarobić” na wyrok, a w najlepszym wypadku po wojnie odpowiadać za współpracę z okupantem. Oblicze pana administratora coraz bardziej się zasępiało. Równocześnie milczenie Konrada stawało się dla niego coraz bardziej wymowne. Dla Haliny i Konrada zaś sytuacja chwilowo nie wyglądała zbyt groźnie. Uległa jednak nieprzewidzianej komplikacji, bo właśnie przed tygodniem pan administrator dostarczył wreszcie zamówione dokumenty i doktor Samuelson chociaż jeszcze nadal mieszkał przy ulicy Zgoda, przygotowywał się do wejścia w skórę Stanisława Zalewskiego. Opanował na pamięć datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców itd. Na wszelki wypadek przestudiował od deski do deski cały katechizm, kilkakrotnie poszedł do pobliskiego kościoła na placu Szembeka, aby wziąć udział w nabożeństwie. Swoją wiedzę o praktykach kościoła rzymsko-katolickiego tak pogłębił, że chyba gdyby przyszła potrzeba, dałby radę i do mszy służyć.

Teraz jednak wszystkie te przygotowania mogły stać się bezwartościowe. Jeśli M. rozważał zaszmalcowanie Haliny, na pewno nie przepuści też i Zalewskiemu. Słabą pociechą było, że żona doktora jeszcze z Białegostoku nie przyjechała. M. ma czas, poczeka…

Z wyjątkiem w teatralny sposób stłuczonej szklanki, M. nie ponieśli żadnych strat. Natomiast zabrano rzeczy Haliny, Konrada i Samuelsonów. Nikt nie kwapił się do komentowania sytuacji, nie wyrażał swego oburzenia.

– Ten szmalcownik zrobił cholerne głupstwo – odezwał się wreszcie Konrad. Teraz niech się modli, abym mu darował. Bo wtedy zajmie się nim parę innych osób… Zaszmalcował mi dwa kapelusze, a nie będzie ich miał na czym nosić, jak mu główkę zepsują…

M. z uwagą spojrzał na Konrada. Widać było, że wiele by dał, aby wiedzieć, co Konrad myśli naprawdę.

– I na co się łachudra[15] połaszczył? Na dwa kapelusze, przenicowane palto i parę sukienek? – ciągnął dalej Konrad. – I jeszcze panu, panie M., kartkę z drzwi zabrał.

– Ważne jest, że jak pan mówi, panie Konradzie, to jakaś łachudra. Dlatego myślę, że możecie tu u nas zostać i niczego się nie obawiać. M. z dezaprobatą spojrzała na męża. Spodziewała się zapewne, że będzie udawał przerażonego, że zażąda natychmiastowego opuszczenia mieszkania, a ten najwyraźniej zgłupiał i nie wiadomo dlaczego starał się Konrada uspokoić.

Rozmowa nadal się nie kleiła, ale po zatroskanych i napiętych twarzach widać było, że każdy swoje myśli i tylko z takich czy innych względów nie uważa, aby należało dzielić się swymi myślami.



Od prawej: Kondek, Halina i jej brat Edek, 1945.

Halina jak każdego wieczoru w milczeniu rozłożyła na podłodze papierowy, wypchany słomą siennik, jak zwykle równo ułożyła kilkadziesiąt starych numerów Nowego Kuriera Warszawskiego jako poduszki., państwo M. wślizgnęli się pod kołdrę na tapczanie. W ciszy, bez uwag i biadolenia na rzekomych „złodziei" zgaszono światło. Noc minęła spokojnie. Rano M. wyraźnie oczekiwali na decyzję Konrada. Z oczywistych powodów interesowało ich, jakie są zamiary ich dotychczasowych „podopiecznych".

– Panie M., dziękujemy za wszystko, co pan dla nas zrobił, ale oczywiście dłużej nie ma sensu ryzykować. Dziękujemy za wszystko, nie będziemy więcej państwu sprawiać kłopotu.

I tak wśród uśmiechów i pozornej serdeczności Konrad z Haliną wyprowadzili się.

Sytuacja, chociaż poważna, nie była jeszcze tragiczna. Na kilka dni można się było zjawić u Samuelsona przy ulicy Zgoda i tam razem z nim poczekać na przyjazd jego żony z Białegostoku. Później zobaczymy, jak ułoży się sytuacja...

# „Aryjskie” papiery[16]

A sytuacja wyglądała o wiele poważniej niż początkowo można było przypuszczać. Kiedy Konrad i Halina po przybyciu na ulicę Zgoda opowiedzieli o tym, co działo się u M., dla wszystkich jasne się stało, że papiery Zalewskich są praktycznie bezwartościowe. Na terenie Warszawy można się nimi najprawdopodobniej posługiwać, ale jako podstawa do zameldowania nie miały żadnej wartości. M. przez swoje powiązania jako administrator (niewykluczone, że mógł mieć jeszcze inne groźne kontakty) bez specjalnego wysiłku mógł natrafić na ślad tych, którym fałszowano nazwiska, ponieważ miejsca i daty urodzenia znał przecież dokładnie. Oczywiste było, że trzeba zmienić dokumenty. Tylko jak? Samuelson, poza złotym zegarkiem, który udało mu się jakoś uratować z Białegostoku, nie posiadał nic. Konrad i Halina też, jak to się zwykło mawiać, żyli z przyzwyczajenia.

– Tu na Zgoda możemy jeszcze krótko przesiedzieć – po dłuższym namyśle odezwał się Samuelson. – Ale co będzie, jak przyjedzie żona? Przy jej „niearyjskim” wyglądzie nie ma mowy, abyśmy tu byli dłużej niż dzień, dwa. A właściwie należałoby ją od razu przewieźć na nowe mieszkanie, już na fałszywych papierach jako Zalewska. No i warto by sprawdzić, czy przypadkiem nie robimy niepotrzebnej paniki. A może jednak tę kartkę to nie M. pisał?

– To żaden problem. Kartkę, która była przyczepiona do drzwi, mam w kieszeni – odpowiedział Konrad. – Pójdę do szkoły, pokażę kartkę profesorowi, a ten porówna charakter pisma. Na pewno posiada w szkolnych teczkach czy szufladach jakieś stare klasówki M.

– Dobrze. Ale zanim pójdziesz, czy mógłbyś mi powiedzieć kilka słów o Langiewiczu? Przecież to on zapoznał cię z M.

– No niezupełnie, M. był przecież moim szkolnym kolegą. Znałem go wprawdzie z widzenia, bo był w drugiej klasie licealnej, a Langiewicz tylko wspominał mi, że jest on administratorem. Resztę przy milczącej zgodzie Langiewicza sam zorganizowałem.

Zapadła cisza. Każdy zdawał sobie sprawę z tego, jak wiele zależy od decyzji, którą trzeba będzie podjąć. Jak dalece można ufać M.? Czy można wynająć nowe mieszkanie, wykorzystując dostarczone przez niego „aryjskie” papiery? Niewłaściwa odpowiedź na któreś z tych pytań mogła już oznaczać nie tylko „szmalec”, ale nawet powędrowanie na Himmelkomando[17].

***

Teraz w tym nowym mieszkaniu, kiedy oczekuje się, co zrobi dwóch szantażystów, którzy na pewno nie są zwykłymi szmalcownikami, ale mają jakieś powiązania z Kripo[18] lub z gestapo, okazuje się, że podjęta wtedy na ulicy Zgoda decyzja była jednak zbyt optymistyczna. Wprawdzie nie było innego wyjścia, a mieszkanie tu, na Grochowie, wydawało się niemal zbawieniem, doszło do nowego „szmalcu”, wyraźny ciąg dalszy prymitywnego szantażu w mieszkaniu M.

Konrad i Halina stoją twarzami do ściany pod strażą jednego z szantażystów, półprzytomnej z przerażenia żonie Zalewskiego pozwolono pozostać w łóżku. Drugi szantażysta od dłuższego już czasu przebywa wraz z Zalewskim w kuchni, skąd nie dochodzi ani jedno słowo rozmowy, odgłosów rewizji, przesuwania mebli. Mijają minuty i nic nie mąci ciszy, nie wskazuje na to, że dzieją się tam jakieś szczególnie niebezpieczne sprawy. Również w pokoju nikt nie odzywa się ani słowem. Stojący pod ścianą Konrad ma czas, aby przypomnieć sobie i jeszcze raz przeanalizować szczegóły pobytu i szmalcu u M. Coraz bardziej oczywiste się staje, że źdźbła słomy mogły tylko świadczyć o tym, że ktoś jest w mieszkaniu. Gdyby nie snopek, szmalec tylko by się odwlekł.

Z kuchni nie dochodził żaden odgłos. Trzeba jeszcze raz dokładnie wszystko przemyśleć, jeśli uda się wyjść cało – nie wolno dopuścić, aby po raz trzeci doszło do takiej sytuacji, jak u M. czy teraz na Serockiej.

## Niech Bóg wybaczy – bo ja nie potrafię

Minęło kilka dni i nic nie wskazywało na to, aby szmalec u M. miał pociągnąć za sobą jakieś dalsze następstwa. Porównanie kartki szantażysty z klasówką M. pozwalało przypuszczać, że pisała je ta sama ręka. Ale analiza „na oko" nie dawała żadnej pewności.

– Według mnie jest to robota gówniarza– ocenił sytuację profesor J. Langiewicz – sam spreparować dowód na siebie może tylko gówniarz, ten typ może wyrządzić wiele złego. Są więc dwie sprawy do załatwienia: postraszyć szczeniaka i dać mu do zrozumienia, że mamy w ręku dowód przeciw niemu i jeśli się coś podobnego jeszcze przydarzy, grozi mu poważna odpowiedzialność. I po drugie, należy się jak najszybciej pozbyć ze szkoły kapusia. Ale trzeba to zrobić delikatnie, bo nigdy nie wiadomo, co takiemu może wpaść do głupiej głowy.

– Wydaje mi się jednak, że sprawa przestała już być wyłącznie nasza. Warto by się jeszcze kogoś poradzić... – po krótkim zastanowieniu powiedział Konrad.

– Najgorzej jak jajko chce być mądrzejsze od kury – z charakterystycznym dla siebie dowcipem, dwuznacznie powiedział profesor. – Aha! I jeszcze jedno. Tę kartkę szantażysty pozwolisz, że zatrzymam. Jak przyjdą spokojniejsze czasy, wyjaśnimy co trzeba. Zresztą M. sam zaczyna mieć stracha, bo głupawo zapytał mnie, czy wiem, że w drzwiach była kartka „stoję i patrzę" itd. Udzieliłem wymijającej odpowiedzi, co na pewno jeszcze bardziej wzmogło jego obawy. Zresztą powiem ci jedno: co my się będziemy martwić, role się nieco zmieniły. Znaleźli się tacy, którzy teraz „stoją i patrzą" ale na M. Nawet gdyby tylko pomyślał, aby zrobić coś brzydkiego, to my będziemy o tym wcześniej wiedzieli niż on cokolwiek zrobi. Z taką optymistyczną wieścią Konrad zjawił się na ulicy Zgoda. Zalewski wysłuchał uspokajających wieści, ale prawdę mówiąc, Konrad spodziewał się pozytywniejszej reakcji doktora.

– Co się stało, doktorze? Widzę, że ma pan nieco skwaszoną minę. Drobne, zadowalające wiadomości już pana nie cieszą? Czy aby poprawić panu humor, muszę przynieść informację, że wojna się skończyła?

– Widzisz, Konrad, kiedy troski są większe niż radości, trudno o uśmiech.

– Doktorze. Jakie troski? Wszystko idzie jak z płatka. Tę gnidę M. chwilowo trzymamy krótko przy pysku, a pan wydziwia...

– No, Konrad. Teraz to mnie trochę rozśmieszyłeś. Czy słyszałeś kiedy, aby ktoś gnidę trzymał przy pysku i to krótko?

– Doktorze, to tylko pozorny lapsus lingua. A czy słyszał pan, aby gnida miała dwie nogi i nazywała się M.? I taka właśnie gnida ma pysk.

– Gdyby to był tylko jeden M. – w zamyśleniu odpowiedział Zalewski. Przecież kiedy człowiek wyjdzie na ulicę, boi się własnego cienia. Gdyby to był tylko jeden M. Za kilka dni ma przyjechać z Białegostoku żona. A przecież na dworcu aż się roi od szmalcowników. Nawet kilku kroków nie zrobi i ktoś ją zaczepi. Niebezpieczeństwo czyha wszędzie...

– Nie chciałbym, żeby profesora Langiewicza czy mnie traktował pan jak jakieś wyjątkowe przypadki miłości bliźniego, filosemityzmu[19] czy ludzi działających w myśl dziesięciorga przykazań. Nie wiem, ilu Żydów w Polsce znajduje się w pana położeniu. Czy ukrywa ich pięć, dziesięć czy kilkanaście tysięcy Polaków. Jeśli chcemy problem doprowadzić do absurdu, to także walczący z Niemcami partyzanci, żołnierze polscy na Zachodzie i na Wschodzie też nie pomagają Żydom w kraju. Słyszałem już takie głosy, że Polacy czynnie powinni przeciwstawiać się mordowaniu Żydów w formie zbrojnej. Przecież to by

skończyło się wspólnym maszerowaniem do komór gazowych! A zresztą, czy można wymagać, aby jeden naród w obronie drugiego narodu samowolnie skazywał się na zagładę?

– Powiedziałem, że niebezpieczeństwo czyha zewsząd, a nie że każdy jest niemieckim sługusem.

– To prawda. Ale warto i trzeba przypomnieć sobie, jak to było przed wojną, zastanowić się nad tym, co teraz. Weźmy za przykład czołówkę polskiego przedwojennego antysemityzmu – Falangę i ONR. Ilu ich było? Na uniwersytetach po kilkuset, w miastach też niewiele więcej. Ale podobał im się hitleryzm, a Niemcy też dbały o to, aby mieli odpowiednie zaplecze i to nie tylko ideologiczne. Niezdecydowanie władz sanacyjnych, które na bicie studentów, getta ławkowe, demolowanie żydowskich sklepów przymykały oczy, by broń boże nie urazić Hitlera – to wszystko mogło sprawiać wrażenie, że Polacy znajdują się w antysemickiej czołówce świata. Tych szumowin było zaledwie parę tysięcy, chociaż w swoim czasie stanowili wizytówkę całego narodu. Ze zrozumiałą ciekawością śledzę wszystko to, co robią alianci, aby pomóc Żydom. Ani Anglicy, ani Stany Zjednoczone, poza ogólnikowymi deklaracjami, właściwie nie robią nic. Myślę, że ci „niedobrzy" Polacy uratowali więcej Żydów niż mogli to uczynić wszyscy alianci...

Zalewski słuchał z uwagą. Kilkakrotnie przeczesał ręką przedwcześnie posiwiałe włosy, odsunął krzesło i zbliżył się do okna. Na podwórku dzieciaki grały „w klasy", przez ulicę Zgoda przejeżdżały dziesiątki towarowych riksz i dorożek, setki przechodniów szybkim krokiem podążało, aby załatwić sobie tylko znane, nie zawsze miłe Niemcom sprawy. Od czasu do czasu widać było kroczące powoli, trzyosobowe patrole żandarmów z opuszczonymi do wysokości biodra, gotowymi do strzału „Bergmanami"[20]. Po dłuższej chwili Zalewski w zamyśleniu odwrócił się od okna i jakby nie było przerwy w rozmowie, powoli zaczął kontynuować.

– O zasługach Polaków nie trzeba mnie przekonywać. Ja sam jestem przykładem tego, jak wiele zrobili moi przyjaciele, aby pomóc mnie i mojej żonie. Ale kiedy tak wyglądam przez okno, zastanawiam się, kto wśród setek przechodniów jest szakalem szmalcownikiem. Żyję dzięki Polakom. Ta pomoc jest bezcenna. Ale faktem jest, że nie ma chyba w ciągu dnia minuty, abym nie obawiał się tego jednego szantażysty lub innego zwykłego hitlerowskiego pachołka. Takie to już jest życie. Gdzieś w człowieku funkcjonuje takie urządzenie, że dobroć, szlachetność, uczciwość przyjmujemy jako coś normalnego. Ujmując problem symbolicznie, za dobry uczynek mówimy „Bóg zapłać", ale zły pamiętamy, wewnętrzne urządzenie nie pozwala załatwić sprawy jakimś „niech ci Bóg wybaczy". Bo nawet jeśli zdobędziemy się na takie słowa, to w olbrzymiej większości wypadków ich wartość będzie o wiele mniejsza od zwykłego „Bóg zapłać". Bo takie „niech ci Bóg wybaczy" naprawdę oznacza „Niech ci Bóg wybaczy, bo ja ci wybaczyć nie potrafię".

Konrad siedział przy stole, w milczeniu obserwując Zalewskiego. Właściwie to po raz pierwszy znalazł trochę czasu na tego rodzaju rozważania.

– A M. zabrał mi dwa kapelusze i sześć koszul, mimo że jestem Polakiem. Łotr nie dobiera sobie narodowości.

– To prawda – powiedział Zalewski, jakby podświadomie nawiązując do tego, o czym przed chwilą myślał Konrad.

– Zostawmy te rozważania, które nic nie wniosą. Dziś liczy się tylko to, aby przeżyć. A rozważania zostawmy na ten czas, kiedy – da Bóg – opowiadać będziemy o wojnie naszym wnukom.

Znowu zapadła cisza. Zalewski zamyślony chodził po pokoju, a to poprawiając krzesło, jakby niedostatecznie blisko stojące przy stole, a to wygładzając przykrywający łóżko koc. Znowu podszedł do okna, obserwując bawiące się na podwórku dzieci. Automatycznie wziął do ręki leżący na stole „Nowy Kurier Warszawski"[21] i niewidzącym wzrokiem zaczął przyglądać się zadrukowanym kolumnom.

– Patrz. Oberkommando der Wehrmacht[22] podaje, że znowu zatopili prawie milion ton statków. To chyba dla aliantów teraz najważniejsze, aby nie dać się niemieckim łodziom podwodnym...

– A miliony ludzi ginących w gazowych komorach Treblinki, Oświęcimia czy Majdanka może poczekać? – odpowiedział pytaniem Konrad. –A zresztą sam pan, doktorze, mówił, aby sprawy te zostawić jako temat opowiadań dla naszych wnuków. Nas tu nie stać dziś na teoretyzowanie. Niechaj sobie teoretyzują ci, co tak nad naszym losem przez radio rozpaczają. Ale a propos wnuków. Kiedy spodziewa się pan przybycia żony? Warto, aby ktoś ją na dworcu odebrał.

Zalewski znów rozpoczął swoją wędrówkę po pokoju. Jeszcze raz poprawił idealnie gładki koc na łóżku, wygładził krótkie zasłaniające dolną połowę okna firaneczki, nie wiadomo dlaczego trzy puste krzesełka ustawił rzędem jedno za drugim. Konrad nie odzywał się, widząc, że doktor rozważa jakiś niełatwy problem.

– Żona przyjeżdża pociągiem z Białegostoku za dwa dni. Jak się domyślasz, nie będzie to łatwa sprawa.

– Ale pan jest panikarz, doktorze – z przesadnym optymizmem przerwał mu Konrad.

– Przyjedzie. Odbiorę ją na dworcu i komfortowo, dorożką dostarczę na Zgoda. Gdzie tu niebezpieczeństwo?

– Młody jesteś, mało widziałeś, więc lekceważysz niebezpieczeństwo. Ja wiele już przeszedłem i kilkakrotnie miałem okazję uciec grabarzowi spod łopaty…

– Wielka mi rzecz – z cwaniacką nonszalancją przerwał Konrad doktorowi. – Ja również, kiedy żandarmi pewnego dnia wzmogli polowanie na Polaków skaczących do getta przez mur na cmentarzu przy Młynarskiej, wpadłem jak śliwka w kompot. Nie było wyjścia i ukryłem się w masowym grobie. Leżałem zwinięty jak przepisowy nieboszczyk, a szkopy jeździli rowerami po alejkach i strzelali do wszystkiego co się rusza. Ja oczywiście się nie ruszałem. Miałem wtedy z sobą dwa bochenki chleba przeznaczone dla kolegów i dla rodziców Haliny. Po kilkunastu minutach wszystko się skończyło, żandarmi odjechali, ja wyszedłem z grobu, otrzepałem z piasku spodnie i chleb, założyłem na ramię lentę, to jest żydowską opaskę z gwiazdą Dawida i najspokojniej przyłączyłem się do wracających do getta z jakiegoś pogrzebu Żydów. Oni mają, jak to się mówi, za chude uszy, abym nie potrafił zrobić z nich balona.

Zalewski siedział przy stole i zdawał się nie słuchać opowiadania Konrada. Problem, jak bezpiecznie przeprowadzić żonę z dworca na ul. Zgoda, zajmował całą jego uwagę. Znowu zapadło milczenie.

– Dla ciebie Konrad wszystko jest proste – powoli, ważąc każde słowo przerwał wreszcie milczenie doktor. – Niemcy w twoim rozumieniu to banda tępaków, z którymi można robić, co się chce, i niemal sami się napraszają, by ich nabić w butelkę. A przecież lekceważenie wroga to początek przegranej...

– Doktorze, ma pan słuszność. Ale przecież wałęsanie się po dworcu to jeszcze nie jest lekceważenie wroga.

A po chwili zastanowienia, widząc napięcie i doceniając obawy doktora, uspokajająco dodał:

– Ot, taka sobie nudna wycieczka w celach krajoznawczych.

Znowu zapadło milczenie. Zalewski w milczeniu przemierza krótką, może dwumetrową przestrzeń między stołem a oknem, wreszcie staje, opiera się o parapet i patrząc na grające „w klasy" dzieci mówi:

Nawet gdyby rodzice tych dzieci nie wiem jak długo myśleli, jak zabezpieczyć ich życie, nikt nie jest w stanie przewidzieć, co jeszcze dziać się będzie w tym domu, w tym mieście. Bo kto w tych czasach jest w stanie cokolwiek przewidzieć? Każdemu w praktyce pozostaje tylko jedno – zdać się na łut szczęścia. A że ty, Konrad, jak dotąd szczęśliwą miałeś rękę, więc chyba mam jedno wyjście, prosić cię, abyś za dwa dni oczekiwał na dworcu na pociąg z Białegostoku.

– Wie pan co, doktorze? Czuję się trochę jak zdegradowany żołnierz. Do tej pory brałem udział w trudniejszych zadaniach – odpowiedział Konrad, starając się nadać swej odpowiedzi ton lekceważenia całej sprawy.

– Teraz zaś moje całe bojowe zadanie to randka na Dworcu Głównym. Jak tak dalej pójdzie, mianują mnie wychowawcą w schronisku dla sierot im. księdza Boduena...

Niestety, do „randki" nie doszło. Żona Zalewskiego nie zjawiła się na dworcu ani po dwóch, ani w ciągu następnych pięciu dni. Dopiero po upływie tygodnia, kiedy Konrad jak zwykle odwiedził z dnia na dzień coraz bardziej załamanego Zalewskiego, w odnajętej sublokatorce zastał niespodziewanego gościa.

W łóżku leżała jakaś kobieta pogrążona w głębokim śnie. Domyślając się, że jest to przybyła jakąś nieznaną drogą żona Zalewskiego, teraz odsypiająca trudy i zapewne liczne, niebezpieczne przygody w podróży, Konrad szeptem spytał doktora, co się wydarzyło.

– Możesz mówić głośno. Właśnie idzie o to, abyśmy ją obudzili. Śpi po zażyciu samobójczej dawki silnego środka nasennego. Jeśli uda się ją obudzić, będzie żyła.

– Ale co trzeba robić?

– Teraz niewiele. Wszystko, co można było zrobić zrobili już lekarze pogotowia ratunkowego.

– Ale skąd w tej sytuacji pogotowie? Jak się tu znalazła?

O ile zdołałem się dowiedzieć, nie przyjechała pociągiem białostockim. Niemcy poważnie wzmogli kontrolę na tej linii i z Białegostoku zamiast na wschód wybrała drogę gdzieś na północ, na Knyszyn lub tym podobne. Stamtąd pociągi były o wiele mniej kontrolowane. Tak zjawiła się w Warszawie. I tu tragedia. Na dworcu została aresztowana przez dwóch agentów Kriminalpolizei. Następnie dorożką odwieziono ją do jednego z komisariatów granatowej policji. Tu wsadzono do osobnej celi, mówiąc, że jest to cela śmierci. Po dwudziestu czterech godzinach ci sami dwaj agenci przeprowadzili gruntowną rewizję osobistą, zabierając jej wszystko, co posiadała, nie zostawiając nawet ślubnej obrączki. Półprzytomna z przerażenia w pewnej chwili zaczęła tracić przytomność. Dla dwóch bandytów sprawa przybrała nieprzewidziany obrót, bowiem śmierć w celi mogła ujawnić ich działanie na własną rękę. A w takich wypadkach niemieccy zwierzchnicy mogli wyciągnąć całkiem nieprzewidziane wnioski.

Postanowiono więc przerwać rabunek-rewizję i uzupełnić formalne braki w drodze oficjalnego już przesłuchania. Ofiarę zaprowadzono do oficera śledczego i zaczęto spisywać personalia. W pewnym momencie słaniająca się na nogach Zalewska poprosiła o szklankę wody. Trzymając szklankę w ręku, błyskawicznie oderwała fragment podszewki swojego żakietu od kostiumu, wyciągnęła stamtąd silne środki usypiające i zanim ktokolwiek mógł jej przeszkodzić połknęła proszki, a następnie popiła wodą. Ze słowami „teraz już mi nic nie zrobicie" postawiła szklankę na biurku i... uderzyła oficera policji w twarz. Wśród granatowych powstał popłoch. Samobójstwo w komisariacie mogło się jak najgorzej skończyć. Niemcy nie lubili działania na własną rękę, bez ich wiedzy, szczególnie wtedy, gdy bezbronną ofiarę można było ograbić, nie naruszając przy tym bandyckiej ideologii hitleryzmu.

– Wyprowadźcie ją na ulicę. Tam na pewno ktoś wezwie pogotowie i skończy jak chciała, jak normalna samobójczyni!

Przypadkowi przechodnie pomogli zatrzymać przejeżdżającą dorożkę. Ostatkiem sił podała adres na ul. Zgoda. Wyobrażasz sobie, co działo się ze mną, kiedy w drzwiach stanął dorożkarz z batem w ręku i powiedział:

– Panie szanowny, jakaś chora kobieta leży u mnie w dorożce. Podała pański adres, więc ją tu przywiozłem...

Przy pomocy dorożkarza wciągnęliśmy ją tu na pierwsze piętro. Zdołała jeszcze wyszeptać:

– Otrułam się. Po czym zapadła w głęboki sen. Nie mając innego wyjścia, natychmiast zadzwoniłem po pogotowie. Przybyły lekarz przeprowadził płukanie żołądka, a słysząc moje fachowe wyjaśnienia oraz obserwując moją pomoc przy zabiegach szybko zorientował się, że jestem lekarzem. Widać jednak było, że jest nieco zaskoczony tym, że żona lekarza usiłowała popełnić samobójstwo. Również więcej niż skromnie „umeblowane" mieszkanie mogło dawać wiele do myślenia. Nie zaskoczyło mnie więc, kiedy po zakończeniu wizyty powiedział:

– Panie kolego, zdaję sobie sprawę, że przy obecnym stanie małżonki nie może pan opuszczać mieszkania. Dlatego jeszcze dziś wieczorem złożę panu wizytę i przyniosę wszystkie lekarstwa, jakie mogą być potrzebne. Proszę równocześnie zapamiętać mój numer telefonu i prosić pana Zbyszka. To na wypadek, gdyby zaszła jakaś nieprzewidziana komplikacja. Proszę być spokojny, bo znaleźliście się państwo w dobrych rękach. Zalewska spała jeszcze dwie doby, odżywiana zastrzykami i witaminami dostarczonymi przez lekarza z pogotowia. Każde z lekarstw opakowane było w firmowe pudełeczko lub torebkę ze znakiem Bayera i pieczątką Wehrmacht Arzneimittel[23].

Wreszcie po dwóch dniach żona otworzyła oczy, uśmiechnęła się do męża... i znowu zapadła w sen. Teraz jednak wiadome już było, że najgorsze minęło, że powoli wracać będzie z tamtego świata. Ale minione dwa dni poświęcone były nie tylko trosce o Zalewską. Adres sublokatorskiego pokoiku na ul. Zgoda mógł być znany w komisariacie. Widać też było, że i sąsiedzi z ukrytym zainteresowaniem przyglądają się wszystkiemu, co dzieje się u nowego lokatora. Kiedy więc po kilku dniach Zalewska zaczęła już sama jeść, doktor Zbyszek na pożegnanie powiedział:

– Niedawno dowiedziałem się, że jakieś małżeństwo na kilka miesięcy wyjeżdża z Warszawy. Na ulicy Serockiej na Grochowie mają pokój z kuchnią. Chętnie by go odnajęli. Myślę, że taka okazja was zainteresuje. Na mnie nie trzeba się powoływać, wystarczy, że podacie własne nazwisko. Aha! I jeszcze jedno. Numer telefonu, który podałem, jest już nieaktualny. I byłoby dobrze, gdybyście państwo go zapomnieli. Życzę wszystkiego najlepszego.

Teraz okazuje się, że życzenia te nie spełniły się. Dwóch prawdziwych czy też podających się za gestapowców szantażystów uważnie przygląda się meblom, zaglądają do zlewu, badają drzwi i ramy okienne. Zimno i obojętnie patrzą na skuloną na łóżku Zalewską.

Od pierwszych dni, kiedy przeprowadzili się na Serocką, Zalewska na każdy odgłos dochodzący z ulicy, szum przejeżdżającego samochodu czy głośniejsze pokrzykiwanie dozorcy nakrywała kołdrą głowę i z przerażeniem patrzyła na Konrada, oczekując wyjaśnienia, co się tam za oknem dzieje, czy może trzeba uciekać, kryć się, zażywać truciznę? Do tego klimatu paniki Konrad samą swą obecnością, swoim zachowaniem wnosił cenny i konieczny element uspokojenia, a nawet humoru, zaprawionych nonszalancką pewnością siebie i lekceważeniem na pokaz całego policyjnego aparatu niemieckiego. W miarę możności, o ile nic nie działo się w innych zakonspirowanych lokalach, starał się nocować u Zalewskich. Śpiąca tuż obok jej łóżka Halina powiedziała mu kiedyś, że głównym środkiem uspokajającym i wyraźnie przyspieszającym psychiczną rekonwalescencję Zalewskiej są te właśnie jego noclegi. Chora rozumowała pozornie logicznie: „skoro on, człowiek niepotrzebujący się ukrywać, „aryjczyk” stuprocentowy, tak łatwo godzi się, a nawet sam się wprasza na nocleg – to oznacza bezapelacyjnie, że mieszkanie na Serockiej jest absolutnie bezpieczne, a jego lokatorzy żyć tu sobie mogą jak „u pana Boga za piecem”. A że każdego niemal dnia Konrad przynosił jakieś informacje radiowe, gazetki, z których wynikało, że tysiącletnia Rzesza już niedługo pociągnie, a także sporą dozę osobistego optymizmu i ostentacyjnej beztroski, stan psychiczny Zalewskiej szybko ulegał widocznej poprawie.

Dwaj szantażyści w milczeniu, skrupulatnie i metodycznie przeglądają każdy zakamarek mieszkania. Czy skończy się tylko na „szmalcu”, czy też postanowią zabrać wszystkich do Gestapo albo do Kripo? Nie ma mowy, abyśmy dali się wyprowadzić z mieszkania. Lepsza próba walki lub ucieczki niż śmierć na Gestapo – myślał Konrad, stojąc pod ścianą. – Ale czy można liczyć na Zalewskiego? On również nieraz wyskakiwał grabarzowi spod łopaty, ale czy teraz wytrzyma? Halina ma zaledwie dziewiętnaście lat i można liczyć na jej sprawność fizyczną. Ale czy w takiej formie taka sprawność będzie potrzebna? W sprzyjających warunkach może uda się jej uciec. Żeby tylko zachowali się spokojnie i nie podjęli jakiejś nieprzemyślanej akcji.

Konrad wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę. Znajomość niemieckiego i zdolność „dogadania się” w każdej sytuacji, jeśli tylko dysponowało się odpowiednim zapleczem materialnym w postaci pieniędzy, zegarka czy złotego pierścionka, stanowiła jak dotąd dosyć niezawodny klucz do rozwiązywania wielu okupacyjnych problemów. Ale co teraz robić? Najpierw za wszelką cenę trzeba uspokoić na wpół przytomną ze strachu Zalewską. Jakimś psychologicznym argumentem dotrzeć do jej świadomości, przekonać, że jest jeszcze jakaś nadzieja, że Konrad, w którego tak wierzyła, i tym razem stanie na wysokości zadania.

– Panowie! Co jest jak Boga kocham ? Chyba pomyliliście adres. Przed chwilą przytaszczyłem snopek słomy z Placu Szembeka, a panowie wchodzą zaraz za mną i od razu: „Ręce do góry”.

Szantażyści nie zaszczycają go odpowiedzią.

– Ty i ty – twarzą do ściany. Tamta niech leży w łóżku. Zalewski do kuchni – wydają rozkazy po polsku. – Dokumenty!

Naiwna wstawka Konrada o snopku słomy miała dodać otuchy mieszkańcom lokalu na Serockiej przez sam fakt, że w tej sytuacji można jeszcze zabierać głos, że nie wszystko jeszcze stracone. Konradowi szło także o to, aby sprawdzić, jak zareagują podający się za gestapowców panowie w tyrolskich kapelusikach. Przecież w normalnej wpadce zaczęliby od osobistej rewizji w poszukiwaniu broni, wrzeszczeliby i nie żałowali pięści oraz kopniaków.

– Dokumenty! – powtarza gestapowiec.

Konrad odwraca głowę i wskazuje na marynarkę. Halina też nie wie, jak spełnić żądanie szantażysty.

– Wy tam, spod ściany! Siadajcie przy stole i połóżcie swoje papiery. Zalewska wyciąga spod poduszki torebkę na którą natychmiast rzuca się jeden z szantażystów i dokładnie ją przeszukuje. Oprócz chusteczki, małego lusterka i kenkarty nie znajduje nic.

– A ten, tam w kuchni udaje głuchego? Zalewski kenkarta! – wrzeszczy ze złością, widocznie niezadowolony z pustej torebki.

W drzwiach pokoju ukazuje się teraz Zalewski. Pewnym krokiem podchodzi do stołu i kładzie swoją kenkartę. Z przerażeniem patrzy na żonę. W każdej chwili można spodziewać się z jej strony jakiejś gwałtownej reakcji. A co wtedy ?

Zalewska w łóżku cicho jęczy i od czasu do czasu pociąga nosem, starając się płakać możliwie cicho.

– Franek! Ucisz babę, bo jej przyleję – słychać z kuchni głos drugiego szantażysty.

Ten przez chwilę przygląda się skulonej na łóżku Zalewskiej i rozkazuje jej wyjść z łóżka.

– Jak se „madam" w koszuli postoi pod ścianą, może jej się humor poprawi – komentuje cynicznie swą decyzję. Stoi na stercie wyciągniętych z szafy ubrań i rozsypanej z przetrząśniętego siennika słomy. Pod ścianą coraz głośniej szlocha Zalewska. Franek obojętnie odstawia pod ścianę deski, na których leżał w łóżku siennik i ociera pot z czoła.

Mietek? Co mam robić z tą babą? – woła do grasującego w kuchni wspólnika? Zostaw tam te gary i przyjdź tu popatrzeć.

W drzwiach staje Mietek. Powoli ogarnia wzrokiem rozebrane na części łóżko, porozrzucaną słomę z siennika, walające się po podłodze jakieś sukienki i spodnie, cicho popłakującą pod ścianą Zalewską i siedzących przy stole doktora, Halinę i Konrada.

– Typowy żydowski burdel! A do tego jeszcze jedna kurwa płacze. A zwracając się do Zalewskiego, dodaje:

– Ucisz pan to to, bo jej łeb ukręcę.

Zalewski podszedł do żony i zaczął szeptać jej jakieś uspokajające słowa, głaskać po głowie. Chora wprawdzie nieco się uspokoiła, ale jej pojękiwania i tłumiony płacz nadal denerwowały szantażystów.

– Proszę pana – zwrócił się Konrad do osobnika zwanego Mietkiem – Jej mąż sam nie da rady jej uspokoić. Ona wyjątkowo dobrze reaguje na rozmowy ze mną. Myślę, że ja lepiej niż jej mąż potrafię się z nią dogadać.

– No to rób coś, do cholery! Bo przecież nie będziemy tu siedzieć do wieczora.

Zalewski i Konrad zaczęli łagodnie przemawiać do chorej. Mietek zaś i Franek usiedli przy stole i zaczęli uważnie przyglądać się kenkartom. Konrad, jakby nic się nie działo, uspokajał Zalewską. Zapewniał, że zaraz panowie Mietek i Franek poskładają łóżko z powrotem, bo oni są z administracji i przyszli sprawdzić, czy u Zalewskich wszystko w porządku, czy jest woda, czy jest światło, czy meble nie wymagają naprawy... A korzystając z okazji rozmowy „na osobności", Konrad szepnął doktorowi:

– Mój Franuś jeszcze nie zbadał stojącej pod łóżkiem walizki z jakimiś starymi waszymi łachami. Myślę, że mu w tym przeszkodził Mietek, bo wygląda na to, że Franuś chce zajrzeć do walizki na własny rachunek. Trzeba, aby pan, doktorze, zabrał Miecia do kuchni. A jak Franuś wejdzie pod ramę łóżka, bo deski stoją oparte o ścianę, to tak mu kantem dechy w czerep przyłożę, że nawet nie westchnie do mamusi. A już potem we dwóch damy sobie bezszmerowo radę z Mieciem.

– Chyba to jedyne wyjście, ale tylko bez pośpiechu, bo ja już zacząłem się w kuchni z tym Mietkiem dogadywać. Dlatego zajmij się swoim Frankiem dopiero jak usłyszysz brzęk tłuczonego talerza, który niechcący strącę z kuchni. To będzie sygnał, abyś robił swoje.

– Siadajcie. Dosyć już tego migdalenia – odezwał się znowu Mietek. Brał do ręki każdą kenkartę i z uwagą się jej przyglądał.

– No tak. Żydki wpadły – chleb stanieje. A teraz popatrzmy... Pani Halina Giełżyńska – kenkarta oryginalna, ale na lipnej metryce. Pani Zalewska – lipa na lipie, a jej małżonek – to samo. I pan Konrad – kenkarta oryginalna, wszystko w porządku. Nie podejrzany. I jako taki jest wolny.

Tak więc mamy troje przepięknych ptaszków. Zasługują, aby każdego na osobności nauczyć śpiewać. Zacznijmy od pana Zalewskiego.

A spoglądając na Konrada dodał z niezadowoleniem: – A ten co tu jeszcze robi?

– Ja, proszę pana, może jeszcze zostanę. Widział pan, że nikt tak jak ja nie potrafi uciszyć Zalewskiej. A jak znów zacznie te swoje pojękiwania albo zechce jej się krzyczeć?

Mietek chwilę się zastanowił, a potem machnął ręką.

– Franek miej oczy na to towarzystwo. Najważniejsze, aby ta wariatka nie darła mordy. Ja tymczasem pogadam w kuchni z Zalewskim.

Jeśli Konrad miał jakiekolwiek do tej pory wątpliwości co do dwóch „gestapowców", teraz wszystko stało się jasne.

Mietek bezbłędnie rozpoznał kenkarty, których rodowodu bez sprawdzania w odpowiednich dokumentach parafialnych, magistrackich czy niemieckich nikt nie był w stanie, tak na pierwszy rzut oka, rozróżnić. Oznaczało to, że doskonale wiedzą, kto posługuje się jakimi papierami i na jakie nazwisko wystawionymi. Po drugie – łatwe, bez specjalnych próśb czy ekstra szmalcu zwolnienie Konrada. Widać było, że decyzja ta bardziej podyktowana była tym, aby pozbyć się świadka szantażu niż jakimikolwiek innymi względami. Do tego jeszcze dochodzą jakieś konszachty z Zalewskim w kuchni...

Wszyscy siedzieli przy stole. Franek pozwolił Zalewskiej przykryć się jakimś kocem, założyć pończochy i pantofle. Wyglądali jak czwórka przyjaciół przygotowujących się do gry w brydża. Dla Konrada jednak sytuacja nieco się komplikowała. Co będzie, jeśli z kuchni doleci dźwięk rozbitego talerza? Franek nie ma najmniejszego zamiaru wejść pod łóżko i sprawdzać zawartości walizki. Trzeba było znaleźć jakieś inne wyjście.

– Halu – odezwał się Konrad – jak już jest bałagan, warto by wygnać kurz spod łóżka...

Franek z uwagą nadstawił uszu. Walizka! Na pewno Konrad zwraca uwagę Halinie, aby usunęła jakieś kosztowności. Halina zaś ze zdziwieniem spojrzała pod łóżko, popatrzyła na walizkę i... nie mogła pojąć, skąd u Konrada taka nagła troska o higienę. Nic nie mówiąc, wstała, kierując się w stronę łóżka.

– Stać! Siadać przy stole i nie wstawać bez rozkazu.

Halina ze zdziwieniem spojrzała na Konrada, który z niezrozumiałych powodów nagle zapałał troską o odkurzanie.

W tym właśnie momencie z kuchni dobiegł brzęk tłuczonego szkła. Ale nie wszystko zaczęło się układać według zaplanowanego scenariusza. Franek zamiast znajdować się pod łóżkiem odwrócił się w kierunku prowadzących do kuchni drzwi. Tu zderzył się niemal z wybiegającym z kuchni Zalewskim, który nie licząc się z elementarną konspiracją wymachiwał w progu rękoma w sposób podobny do policjanta regulującego ruchem. W pewnym momencie złapał się za głowę i zaczął biadać:

– Diabli nadali! Jedyny kubek w całym domu! W czym ja teraz będę żonie podawał lekarstwa! Pan Mietek strącił kubek ze stołu i naraził mnie na taką stratę!

– O rany! Jeszcze jeden wariat – przerwał te biadolenia Franek – oni ze swoją starą to chyba szukali się w korcu maku...

Zalewski przestał biadolić. Jedynie rękoma znów zaczął wymachiwać, jak to czynił kiedyś policjant na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej, kiedy chciał zatrzymać ruch. Konrad objął go wpół rzekomo, aby przerwać tę gimnastykę i usłyszał:

– Mietek wziął mój złoty zegarek i mówi, że więcej tu się już nie pokażą. Nie ruszaj deski!

– No, dosyć już tych wygłupów – wydał polecenie Mietek. Zalewski, szoruj pan do kuchni.

A zwracając się do Franka powiedział: – Pan Zalewski wykazuje dużo zdrowego rozsądku. Tylko czasem zdarzają mu się jakieś siupy. Wyglądało na to, że wszystko zakończy się na drobnym szmalcu. Franek wprawdzie wyciągnął spod łóżka walizkę, ale oczywiście poza jakimiś starymi bluzkami i pocerowanymi gałgankami, które miały służyć w kuchni jako ściereczki do zmywania naczyń – nic nie znalazł. Co jednak będzie dalej? Czy jutro, pojutrze znowu ktoś nie przyjedzie, jakaś hiena mniejszego formatu, aby zabrać to, co jeszcze w domu zostało? Otulona w koc żona doktora, Konrad, Halina i Franek znowu usiedli przy stole. Każdy z uwagą nasłuchiwał tego, co dzieje się w kuchni. Szmalec, przynajmniej na dzisiaj, został jakoś zakończony. Teraz najważniejsze jest, co będzie jutro.

Franek przypomniał sobie, że przecież nie przejrzał jeszcze torebki Haliny. Bezceremonialnie sięgnął po nią i zajrzał do środka. Lusterko, chusteczka do nosa, szminka, pilnik do paznokci, drugi egzemplarz fotografii zrobionej do kenkarty. Nic, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie szmalcownika, przyglądał się więc fotografii.

– Ładna dziewczyna. Pani pozwoli – szarmancko zwrócił się do Haliny – że zabiorę zdjęcie na pamiątkę.

– Na co to panu – odezwał się Konrad. – Pamiątka, rzecz mało ważna.

– A co pańskim zdaniem jest ważne? – spytał Franek.

– Dzieje się tyle ważnych spraw. Wojna... nic nie wiadomo.

– Co nie wiadomo?

Konrad postanowił zagrać *va banque*. Tym bardziej że na temat tego, co dzieje się w kuchni, wiedział chwilowo więcej niż Franek.

– Niedawno Niemcy mieli kłopoty pod Stalingradem... – powiedział z udanym zamyśleniem. No i nic nie wiadomo... A do tego jeszcze i w Afryce nie wszystko gładko leci...

Franek słuchał z uwagą. Z butnego gestapowca przemienił się w spokojnego i uważnego słuchacza. Widać jednak było, że nie bardzo wie, jak powinien zareagować.

– Czyli że pańskim zdaniem Niemcy wojnę przegrają?

Teraz z kolei Konrad z rozmysłem ociągał się odpowiedzią, aby to, co miał zamiar powiedzieć, brzmiało tym bardziej stanowczo i nieustępliwie.

– Dla nas, tu w tym pokoju, sprawą najważniejszą jest, abyśmy rozstali się, nie robiąc sobie krzywdy. Na pana pytanie odpowiem wprost: Niemcy nie wyjdą cało z tej wojny. Natomiast mogę panu obiecać, że jeśli my tu z tego pokoju wyjdziemy cało, będziemy w przyszłości świadkami, że panowie Mietek i Franek tu na Serockiej zrozumieli swój błąd i krzywdy nam nie wyrządzili. Myślę, a nawet jestem tego pewien, że tacy świadkowie kiedyś się wam przydadzą.

– Mietek! Tu w pokoju mamy filozofa! Wygaduje różne ciekawe głupstwa

– zawołał w tym momencie Franek w kierunku kuchni.

– Jak ciekawe, to z nim gadaj. A jak głupstwa, daj mu w mordę – odkrzyknął z kuchni typ zwany Mietkiem.

Znowu zapadła cisza. Wkrótce jednak Franek wstał od stołu, kilkakrotnie przeszedł się po pokoju i skierował się do kuchni. Odwołał na chwilę Mietka i szeptem zaczęli o czymś rozmawiać. Zalewski nieruchomo siedział przy kuchennym stole nie bardzo rozumiejąc, w jakim kierunku rozwija się sytuacja i co ma oznaczać okrzyk Franka, że „mamy tu filozofa". Po kilkunastu sekundach, bez słów skinęli na Zalewskiego i wszyscy znaleźli się w pokoju. Przy stole zasiadała czwórka szantażowanych, Mietek zaś i Franek stanęli przy drzwiach.

– Zaszła pomyłka – odezwał się Mietek. Wszystko jest w porządku. Możecie tu mieszkać jak długo chcecie i z naszej strony nic wam nie grozi. Odwrócił się w kierunku drzwi i razem z Frankiem znaleźli się

na klatce schodowej.
– Panie Franku, panie Franku! A co ze zdjęciem Haliny? Do czego ono panu potrzebne? Proszę je zwrócić! Konrad wybiegł na klatkę schodową w nadziei, że uda mu się odzyskać zdjęcie, które praktycznie „paliło" dokumenty, jakie dotychczas posiadała Halina.
– Panie szanowny. Przestań pan podskakiwać, bo i tak grasz mi pan na nerwach. A zdjęcie wziąłem trochę na pamiątkę, trochę za karę, żeś pan taki filozof. Może się też przydać w przyszłości, w tej sprawie, co sam żeś pan mówił, że Mietek i Franek krzywdy wam nie wyrządzili. A teraz zjeżdżaj pan do domu, bo się rozmyślę.
Zalewski i Konrad w milczeniu układali deski na pół zdemolowanego łóżka, Halina usiłowała pozbierać słomę i z powrotem zapchać nią rozerwany siennik. Trzeba było jak najszybciej zadbać o to, aby mieszkanie przybrało swój normalny wygląd, aby chora Zalewska uspokoiła się i zapomniała o wizycie szantażystów.
– Niech ich diabli porwą, tych panów z administracji – odezwał się Zalewski. Krany w porządku, elektryczność w porządku, a oni rządzą się w mieszkaniu, jakby to była ich własność.
– Chamstwo jest wszędzie – usiłował poprzeć wywody doktora Konrad.
– Tym bardziej w dzisiejszych czasach. Dwa młode szczeniaki myślą, że wolno im rządzić się, jak chcą.
Halina zamiotła pokój, grubymi ściegami zszyła siennik, na którym położyła czyste prześcieradło, i powlekła poduszkę. Koc, w który do tej pory otulona była Zalewska, wepchnęła do czystej powłoczki. – Proszę bardzo, pani doktorowo. Wszystko jest jak było – usiłowała włączyć się do uspokajającego i bagatelizującego całą sprawę tonu Zalewskiego i Konrada – a nawet jeszcze lepiej, bo przy okazji powlekliśmy czystą pościel, no i słoma nieco została wzruszona. Jednym słowem czysto, miękko i wygodnie. Chora bez słowa położyła się do łóżka i usnęła.

Co dalej? Mieszkanie i dokumenty są „spalone". Na „przyzwoitość" Mietka i Franka nie ma co liczyć.

– Co załatwił pan z Mietkiem? – spytał doktora Konrad.

– Najpierw szukał jakichś skarbów po całej kuchni, a kiedy przekonał się, że nic nie jest ukryte, przystąpił do osobistej rewizji. Jak wiecie, jedyną wartościową rzecz, jaką posiadałem na czarną godzinę, to złoty zegarek Doxa, który nosiłem zawsze przy sobie. Oczywiście go znalazł. Obserwowałem go i widziałem, że nie bardzo wie, co dalej robić. Dopiero kiedy zrzucił ten kubek, a ja wyleciałem do pokoju, abyś nie rąbnął w łeb pana Franka, zaczął coś podejrzewać. Zrozumiał, że macham rękoma z jakichś konkretnych powodów. Nawet mnie w kuchni zapytał, co to miało oznaczać. Z naiwnym uporem powtarzałem, że było to coś w rodzaju histerycznego napadu, żalu po stłuczonym kubku. Zacząłem mu nawet jako lekarz tłumaczyć, że w napiętej sytuacji lada drobnostka może doprowadzić do nieprzewidzianego wybuchu. Myślę jednak, że nie bardzo uwierzył. A już poważnie zaniepokoił go okrzyk Franka, że „mamy tu filozofa". Z uwagą w przedpokoju wysłuchiwał jego szeptanej relacji, a ja spostrzegłem, że jest wyraźnie zaniepokojony. Zaraz po tym kazał mi wrócić do pokoju i powiedział, że „zaszła pomyłka". A potem to już wiecie – obaj się ulotnili.

– Tylko dlaczego wziął zdjęcie Haliny? – wtrącił Konrad.

– Myślę, że w tym, co powiedział, jest dużo prawdy. Może wziął je na wszelki wypadek, aby po wojnie udowodnić, że kiedy miał nas na „widelcu", to puścił wolno – odezwała się Halina.

– Halina mówi tylko połowę prawdy – skomentował Konrad. – O tym, że mu się podobała, nie wspomina.

– Przestańcie żartować. Przecież te typy mogą tu jeszcze raz wrócić albo nasłać kogoś...

– Żeby zabrać z mieszkania pocerowany siennik – przerwał doktorowi Konrad.

– Kto jednak wie, czy te typy nie „wystawią nas" teraz Niemcom, aby wykazać się swoją lojalnością i sprawnością.

– No i aby pozbyć się świadków. Nie jestem taka pewna, że oni wierzyli, iż po wojnie staniemy się ich przyjaciółmi – dodała Halina. – A tak nie ma świadków, nie ma sprawy.

– Co więc należy robić? Już teraz, aby nie było za późno?

– Pytanie wyjątkowo trudne – odezwał się Konrad. – Ale według mnie najpierw trzeba odpowiedzieć sobie na nieco inne pytanie, czy mamy się gdzie wynieść? Otóż obecnie nie dysponujemy żadnym innym zapasowym lokalem. Jutro, pojutrze pobiegam po znajomych, może coś się znajdzie. Teraz nie pozostaje nic innego, tylko liczyć na to, że Mietek i Franek w ciągu najbliższych paru dni nie zrobią nam jakiegoś nowego świństwa. Proponuję – zostajemy.

Zapadła cisza. Dla każdego jasne było, że innego wyjścia nie ma, że tuż po wizycie szantażystów za wcześnie podejmować jakąkolwiek decyzję.

– A może zadzwonić do doktora Zbyszka z pogotowia?

– Przecież prosił, aby zapomnieć o jego numerze telefonu. A to oznacza, że on pracuje na zupełnie innym odcinku konspiracji. Jeśli prosił, aby zapomnieć, to przecież nie dlatego, że doktor czy Konrad mu się nie podobają. Konspiracja ma swoje żelazne prawa, kto wie, czy nie bardziej twarde niż dyscyplina wojskowa...

Cała czwórka mieszkała na Serockiej jeszcze około dziesięciu dni. Przez ten czas Konrad i Zalewski z uwagą studiowali ogłoszenia o lokalach do wynajęcia, wśród znajomych szukali jakiegoś lokum pozwalającego na możliwie szybką zmianę mieszkania. Mniej więcej po pięciu dniach w skrzynce pocztowej

Zalewski znalazł kopertę, a w niej zabrane przez Franka zdjęcie Haliny z dopiskiem na odwrocie: „wiele szczęścia”.

Po około dwóch tygodniach Zalewski znalazł w dziale ogłoszeń „Nowego Kuriera Warszawskiego” anons, że gdzieś na Pradze jest pokój do wynajęcia. Nie było się nad czym zastanawiać. Formalności wstępnych dokonał jeden z warszawskich lekarzy, przyjaciel Zalewskiego o dobrym „aryjskim” wyglądzie. Halina zaś wylądowała jako sprzedawczyni w małej mydlarni prowadzonej przez przedwojennego radnego miasta stołecznego Warszawy z ramienia ONR, pana Michalaka.

Tak to dziwnie splatają się ludzkie losy. Jakże zaskakujące są problemy, które przed ludźmi stawia życie. W poszukiwaniu mieszkania dla Zalewskich Konrad dowiedział się, że pan Michalak, aktywny przedwojenny oenerowiec i antysemita, a obecnie aktywny działacz podziemia, chętnie pomaga ukrywającym się Żydom. Przez jego dom przewinęło się już kilka osób, a każdy mógł liczyć na skromny wikt, a nade wszystko na schronienie.

Mydlarnia pana Michalaka mieściła się w dzielnicy niemieckiej przy ulicy Śniegockiej. Klientami byli reichs[24]- i volksdeutsche. Okupacyjne doświadczenie uczyło, że praca w środowisku niemieckim bywa częstokroć bezpieczniejsza niż gdziekolwiek indziej, jako że według przysłowia najciemniej jest pod latarnią. Nikt bowiem nie może podejrzewać takiej „bezczelności”, aby Żydówka mieszkała tam, gdzie nawet Polakom nie tylko mieszkanie, ale nawet i przebywanie było zabronione. Konrad jednak postanowił osobiście sprawdzić, kim jest pan Michalak i jakie są jego, bądź co bądź oenerowca, poglądy. Zapytany wprost przez Konrada, jak on, przedwojenny antysemita, może pogodzić swą obecną postawę wobec prześladowanych Żydów z dawniej głoszonymi hasłami, pan Michalak kiwnął głową i poprosił Konrada na zaplecze sklepu. – Widzisz pan, panie Konradzie – Polska istnieje. Mamy nie tylko swój rząd w Londynie, ale mamy też niemal całą podziemną administrację. Mamy, tak jak przed wojną, różne organizacje polityczne. Mamy sądy i mamy Armię Krajową. A tu nagle zaczynają nam się wpieprzać szkopy ze swoim rasizmem. Jaki jest stosunek Polaków do Żydów, to nasza polska sprawa. Ja osobiście nie lubiłem i nadal nie lubię Żydów. Ale te sprawy musimy odłożyć na czasy powojenne. Dziś, kiedy widzimy bestialstwo szkopów, nie jest czas, aby pozwolić im na bezkarne robienie tego, co chcą. Nie możemy więc pozwolić, aby z Żydami robili to, co chcą. Teraz pomoc Żydom to jest nasz polski, chrześcijański obowiązek. To całkiem jasne i oczywiste.

I tak to Halina sprzedawała w mydlarni pana Michalaka mydło i bielidło, proszek do prania i lep na muchy. Aż do Powstania Warszawskiego...

# Korzenie, czyli z koszulą w zębach

Czytelnik, który dotarł aż do tego miejsca wspomnień z czarnych czasów szmuglu i szantażu, nie bez racji utożsamia postać Konrada z autorem tej książki.

Do tej pory nie pisałem moich wspomnień w pierwszej osobie. Po prostu tak było łatwiej. Pozwalało na przyjęcie mniej emocjonalnej postawy, zbliżało do obiektywizmu, umożliwiało utrzymanie pewnego dystansu. Ale jako że korzenie sięgają bodajże lat dwudziestych dwudziestego wieku, trzeba przejść do bardziej osobistej formy.

Do naszego mieszkania na ulicy Burakowskiej (ojciec był wtedy szewcem-chałupnikiem) schodzili się nieznani mi ludzie[25]. Z reguły łączyło się to dla mnie z korzyściami natury osobistej, było niemal pewne, że za chwilę dostanę pięć groszy na lody i pozwolenie, abym sobie trochę „polatał" po podwórku. Miałem wtedy pięć może sześć lat, a było to w 1927 lub 1928 roku. Po takiej wizycie ojciec często chował jakieś pisemka, jakieś broszury w bliżej mi nieznane, zakonspirowane zakamarki mieszkania. Pięciogroszowe przepustki na lody tylko przez pewien czas przysłaniały mi to, co się działo w domu. Atmosfera konspiracji i przyciszonych rozmów nie mogła pozostać niezauważona przez wścibskiego, wszędobylskiego chłopaka. Goście również intrygowali swym niepowązkowsko-burakowskim sposobem bycia. Ojciec nawet mówić o tych sprawach zabraniał, spoglądając przy tym na leżący na warsztacie pocięgiel[26] i solennie przyrzekając, że „nigdy" nie da pięciogroszówki na lody.



Konrad Świerczyński – ojciec Kondka



Janina Świerczyńska – matka Kondka jedyne ocalałe zdjęcie

Utkwił mi w pamięci dzień, który przeżyłem w takim nastroju, w jakim mógł się znaleźć młody giermek w dniu, kiedy miał być pasowany na rycerza. Ojciec pozwolił, abym towarzyszył mu do jakiejś małej drukarni, skąd odbierał kilkadziesiąt egzemplarzy „bibuły”[27]. Zdaje się, że szło mu o to, aby obecność małego szkraba odbierała pobytowi w drukarni cechy konspiracji, nielegalności. No bo któż to będzie z rozszczebiotanym i rozpaplanym chłopakiem robił rzeczy nielegalne...

Później kilkakrotnie przychodziłem do księgarni „Tom” na Lesznie kiedy na składzie znajdowały się jeszcze książki, którym groziła konfiskata i pomagałem wynosić, co się da i ile się da. Jako kilkunastoletni chłopak znałem znaczenie „bibuły”, znałem znaczenie, jakie niosła konspiracja i niebezpieczeństwo, na które narażał się ten, kto brał w niej udział. Postępujące przymilanie się Polski do hitlerowskich Niemiec, rażące małpowanie przez prawicowo-nacjonalistyczne organizacje nazistowskich wzorów były ważnym czynnikiem, który dopełnił mej edukacji. Podziwiałem celne riposty Juliana Tuwima i Antoniego Słonimskiego czy Tadeusza Boya-Żeleńskiego pod adresem rodzimego ciemnogrodu, podziwiałem siłę tych, którzy umieli wtedy powiedzieć – NIE.

Nigdy nie zapomnę, jak ówczesny komisarz policji politycznej, Pogorzelski, bodajże w 1927 roku, kierując rewizją w naszym mieszkaniu, powiedział, zwracając się do ojca:

– Na co panu tyle książek, panie Świerczyński?

– Handluję książkami, panie komisarzu.

– Wolałbym, aby handlował pan dynamitem niż książkami.

Nic dziwnego, że po każdej takiej rewizji często zajeżdżała dorożka z „tajniakiem” na koźle, obok dorożkarza, na którą ładowano „jak leci” wszystko co „śmierdziało żydokomuną”...

I przyszły wielkie rozczarowania. Sowiety i Trzecia Rzesza dokonały jeszcze przed wojną zaplanowanego rozbioru Polski. W imieniu Stalina i Hitlera Mołotow i Ribbentrop podpisali sławny pakt o współpracy między czerwonym i brunatnym faszyzmem. Polscy żołnierze i oficerowie, urzędnicy i robotnicy, poszli do łagrów Sybiru. Strzałami w tył głowy mordowano polskich oficerów, studentów i uczniów. Polak lub Żyd z Polski mógł zostać oskarżony według widzimisię jakiegokolwiek enkawudzisty i skazany. Tak żyli Polacy i tak żyli Żydzi na zagrabionych przez Trzecią Rzeszę i Sowietów polskich ziemiach jeszcze wiele lat po podpisaniu niesławnego porozumienia w Jałcie.



Od lewej: Kondek, Halina i jej brat Edek, Zakopane, 1947

Jakże często korzenie polskiego ruchu oporu wzmagały siłę przetrwania i wolę walki ludzi. Tradycje sięgały powstań 1831 i 1863 roku, wynikały z walki całego narodu z rosyjskimi, pruskimi i austriackimi zaborcami. Z oczywistych względów polska martyrologia stanowiła o kształtowaniu kulturalnych i społecznych poglądów na świat, na styl życia, nawet na tradycje wielu pokoleń.

Przyjrzyjmy się kilku sylwetkom potomków tych, którzy żyli w czasach, kiedy wypadło im stanąć oko w oko z hitlerowskimi ludobójcami. Sięgając m.in. przedwojennych warszawskich Zasów, prostych ludzi z Kercelaka...

## Serce

Halina do szkoły, w której profesor był kierownikiem, wysłana została przez jednego z jego uczniów, który zarekomendował go jako wyjątkowo przyzwoitego człowieka. Ale nawet w najśmielszych marzeniach Halina nie przypuszczała, że ta przyzwoitość sięgać będzie aż tak daleko. Kiedy stanęła w drzwiach szkoły, powiedziała, kto ją przysyła i w jakiej sprawie, profesor mocno uścisnął jej dłoń i uśmiechając się serdecznie, powiedział:

– Właśnie kogoś takiego jak pani potrzebuję do pracy. Będzie pani u nas pracować.

Łagodnym ruchem wskazał jej mały pokoik i zamknął za nią drzwi na klatce. Halina w półmroku wyszukała małą kanapę. Położyła się i zaczęła myśleć. „Ja, szczuta, ukrywająca się Żydówka nagle sprawiam komuś zadowolenie swoją obecnością?"

Mijały sekundy i kwadranse. Co czterdzieści pięć minut szkolny dzwonek wymierzał godziny lekcyjne, półmrok w pokoiku gęstniał, pierwszy raz od wielu, wielu miesięcy Halina zapadła w głęboki sen. Tego samego dnia zaprowadzona została do domu profesora na obiad. Umyła się. Skromny, okupacyjny obiad przy nauczycielskim stole podany przez cichą, bezpośrednią i serdeczną żonę profesora, panią Marysię, zaspokoił jej wielki głód – głód wiary w człowieka, głód nadziei, potrzebę uśmiechu, serdecznego, dobrego słowa...

I tak się zaczęło. Niemal codziennie Halina przychodziła na obiady, a jej „obowiązki" ograniczały się do siedzenia w pokoiku woźnego. Mijały tygodnie i miesiące. Z profesorem i jego żoną zaprzyjaźniła się, a jej codzienny niepokój i lęk zastąpione zostały błogosławioną stabilizacją, poczuciem bezpieczeństwa.

Po kilku tygodniach na obiedzie spotkała jakąś młodą dziewczynę. Jej rówieśniczka miała około dziewiętnastu lat. Przy stole siedziała cicho i ze smutkiem, tępo wpatrywała się w stojący przed nią talerz. Odgadnąć nie było trudno, że to nowa podopieczna profesora...

Jadzia Hurkowska zamieszkała u profesora, a sąsiadom przedstawiona została jako daleka kuzynka ze wsi. Obie dziewczyny nie miały pieniędzy i bardzo krępowało je obciążanie skromnego, nauczycielskiego budżetu profesora. Ale żadne argumenty, żadne wymówki, żadne silenie się na prymitywne kłamstwa, że „nie jestem głodna" nie docierały do profesora, dzielił się z nimi tym, co posiadał. Obie stały się czymś w rodzaju członków rodziny i to nie formalnie przed sąsiadami, ale faktycznie w sercach profesora i pani Marysi.

Pewnego dnia, a było to już po kilku tygodniach „pracy" Haliny w szkole, Konrad powiedział jej, że jeden z jego dobrych znajomych, Marek, stracił mieszkanie i często błąka się po ulicach, szukając znajomych, którzy nie baliby się go przyjąć choć na jedną noc... Halina zaproponowała, żeby Kondek porozmawiał o tym z profesorem.

Kiedy Kondek wspomniał profesorowi o Marku, przytaczając wszystkie jego zalety, profesor uśmiechnął się i zapytał:

– Ma tylko jedną wadę, co?

Konrad nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Wiadome było, że wobec tej wady żadnego znaczenia nie miały największe zalety.

– To „Czech"? – spytał profesor.

Kryptonimem „Czech" niektórzy ukrywający się w Warszawie Żydzi określali człowieka o szczególnie semickim wyglądzie, że niby wygląda jak „trzech Żydów".

– „Czechem" to on nie jest, ale na nordyka nie wygląda – odpowiedział Kondek.

– Nie szkodzi. Ja również nie wyglądam na rasowego aryjczyka. Kiedy może przyjść?

I tak się zaczęło. Tego samego dnia Marek objął posadę woźnego w konspiracyjnym gimnazjum przy ul. Jasnej 10[28].

Wkrótce przybyła tam jego żona Lola. Później ktoś inny „dorzucił” jeszcze kilka osób, profesor „wystarał się” jeszcze o małżeństwo Rowińskich. Razem w lokalu szkoły przebywało około dziesięciu osób. Niektórzy z nich utrzymywali się sami, inni dołączali do stołu pani Marysi, a dla jeszcze innych wystarał się profesor o darmowe zupy w ramach szkolnej (konspiracyjnej) akcji dożywiania.

Halina swoją komórkę-służbówkę teraz już oficjalnie odstąpiła woźnemu Markowi. Tam na przestrzeni około sześciu metrów kwadratowych przebywał on wraz ze swoją żoną Lolą. A na drugim końcu długiego, szkolnego korytarza profesor Langiewicz kazał jedną z klas przeznaczyć na zbiorowisko przechowalnie starych ławek, szkolnych tablic, połamanych krzeseł, stołów itp. Wszystko to rozrzucone było w nieładzie i w pokoju liczącym około czterdziestu metrów kwadratowych stanowiło trudny do przebycia stos rupieci. Ale wtajemniczeni wiedzieli, że gdzieś pod ławką jest wejście prowadzące do okna. Gdyby nawet „w ostateczności” Niemcy próbowali całe to rumowisko przeszukać, zawsze był jeszcze czas, aby próbować uciekać oknem. Szkoła znajdowała się na pierwszym piętrze i przy odrobinie szczęścia można się było po skoku podnieść. Naprawdę jednak cała ta rupieciarnia i „tunel” odgrywały bardziej rolę wentyla bezpieczeństwa psychicznego, jako że zawsze człowiek inaczej się czuje, gdy stoi za nim nawet iluzoryczna możliwość dodatkowego schronienia.

## Spadochroniarz

Pewnej nocy przed gmachem zamkniętej teraz Filharmonii, w podziemiach której Niemcy urządzili sobie nocny lokal z dancingiem, zabawa nabrała takiego rozmachu, że pijani lotnicy, żandarmi i różne inne szkopy wylegli na ulicę i tu zaczęli strzelać w powietrze, wrzeszczeć i kopać w drzwi zamkniętych domów. Żyjący w ciągłym napięciu Rowiński nie wytrzymał, coś mu się w głowie pokręciło, dopadł do okna i wyskoczył na ulicę. Na szczęście żaden z pijanych Niemców skoku nie zauważył. Rowiński zaś natychmiast zorientował się, że nic niebezpiecznego się nie dzieje, tylko strzały „na wiwat” i... przyłączył się do tańczących na ulicy Niemców. Nawet poczęstowali go, jak swego, paroma kieliszkami wódki i piwem.

Dozorca domu na Jasnej 10 był doświadczonym konspiratorem, akowcem i obok swych oficjalnych obowiązków miał także zadanie bacznie obserwować, co się dzieje wokół szkoły.

Otóż dozorca przez dyskretny wizjer w bramie obserwował całą przygodę Rowińskiego. I przy pierwszej nadarzającej się okazji cicho uchylił bramę i wpuścił „spadochroniarza” z powrotem do lokalu szkoły, obserwując tylko, czy wszystkie kości ma w porządku, czy zaszokowany przygodą nie zapomina o bólu spowodowanym złamaną ręką czy zwichniętą nogą. Ale cały i zdrowy Rowiński znów dołączył do gromadki, wiodącej żywot gdzieś pod szkolną ławką.

## „A potrafi się pani przeżegnać?”

Chcąc lepiej zrozumieć, jakim człowiekiem był Langiewicz, warto dorzucić jeszcze jedną historię. Właśnie trwała lekcja. Profesor mówił o Polsce Jagiellonów. Cała uwaga klasy skoncentrowana była jednak na tym, kiedy profesor wspomni lub chociażby nawiąże do Rewolucji Francuskiej. Był to bowiem ulubiony konik profesora, na którym uczniowie drugiej licealnej koncentrowali całą swoją uwagę. Nawiąże czy nie nawiąże? Słuchający wykładów profesora uczniowie tajnych kompletów w drugiej klasie licealnej konspiracyjnego Gimnazjum i Liceum im. Bolesława Prusa w Warszawie przy ul. Jasnej 10 oddychali wówczas z ulgą. Bo chociaż większość towarzystwa była żołnierzami konspiracji i wielu miało za sobą niejedną akcję bojową, to

w ławkach czuli się jak dawni, przedwojenni uczniacy. Przecież to niewiele ponad dwa lata minęło, jak siedzieli w tych samych ławkach, przed tą samą tablicą i przed obliczem tegoż profesora dukali odpowiedzi i odwalali klasówki, aby przynajmniej gimnazjum ukończyć i wymarzoną tak zwaną małą maturę otrzymać. Tak więc wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy uchyliły się drzwi klasy i sekretarka z kancelarii szkolnej zwróciła się do profesora: – Panie profesorze, telefon do pana. Dzwoni kuzynka. Wiadomo – telefon zabierze trochę czasu, a po każdym wykładzie profesor miał brzydki zwyczaj wywoływać do odpowiedzi. Do zbawczego dzwonka mniej czasu zostanie. Wywołanie do tablicy nadal nie należało do przyjemności. Tym bardziej że teraz z odrabianiem zadanych lekcji, przygotowaniem się nie każdemu szło łatwo. Tu już nie szło o łapanki. Z tym niemal każdy „z Prusa" dawał sobie radę. Ten, kto by przez jakąś tam łapankę spóźnił się do szkoły, czułby się trochę głupio, gdyby się do tego przyznał. Do fasonu należało nie zauważać takich drobnostek. Byli tacy, którzy przychodzili do szkoły albo po jakiejś akcji bojowej, albo też, co się nieraz zdarzało, nawet podczas lekcji prosili o zwolnienie „bo jestem umówiony".

– Konrad. Pójdziesz do kancelarii po mapę. A ty, Salach – zwrócił się do najlepszego historyka w klasie – poprowadzisz lekcję w zastępstwie. Zgodnie z niepisanym kodeksem uczniowskiej przyzwoitości Kondek szedł dwa kroki za profesorem.

– Niech pani będzie łaskawa wydać Konradowi – zwrócił się do sekretarki – temu najlepszemu nosicielowi map w całej szkole – profesor spojrzał na leżącą na biurku odłożoną słuchawkę telefoniczną, którą przykrył szybko ręką – mapę Polski Jagiellonów – powoli podniósł słuchawkę.

– Hallo! Hanka, to ty? Co tam znów narozrabiałaś? – profesor słuchał chwilę i pewnym głosem uciął – Czy możesz przekazać temu komuś słuchawkę? – moment oczekiwania – Tu mówi nauczyciel ze szkoły zawodowej przy ulicy Jasnej 10. Kuzynka powiedziała mi właśnie, że podejrzewacie ją o jakieś brzydkie sprawy. Ale tu już i ja muszę zaprotestować. Jeśli córka siostry mojej matki jest Żydówką, to ja chyba też? Wobec tego czy mam tam przyjść do was, czy też wystarczy, że zadzwonicie tu do szkoły?

– znowu oczekiwanie na odpowiedź –Tak, oczywiście, rozumiem, że rasy nie sprawdza się przez telefon. Sam nawet jestem ciekaw, jak wy to robicie. Ale wobec tego za piętnaście minut zjawiam się na Placu Teatralnym. Profesor w zamyśleniu odłożył słuchawkę i spojrzał na sekretarkę.

– Słyszała pani? – Tak.

– Myślę, że za kilka godzin powinienem być z powrotem.

– Powodzenia, profesorze!

– Nie ma o czym mówić.

Langiewicz z właściwą sobie nieco naiwną nonszalancją machnął ręką. A zwracając się do Kondka, dodał:

– Zanieś mapę, a po lekcji nie zapomnij zwrócić ją w sekretariacie. W klasie powiedz, sam słyszałeś, że kuzynka zachorowała.

– Panie profesorze, może odprowadzić?

– A po co? Ale wy to macie łby! Nie pominiecie żadnej okazji, żeby się urwać z lekcji. Matura za dwa miesiące, a tobie spacerów się zachciewa! Wracaj do klasy!

A kiedy Kondek wyszedł z kancelarii, profesor podszedł do niego.

– Teraz jest czternasta. Godzina policyjna o dwudziestej. Jeśli nie zjawię się do dziewiętnastej, wtedy poinformujesz Salacha i uradzicie, co robić dalej. I jeszcze jedno. Wymyśl jakiś pretekst i ściągnij Jadzię Hurkowską albo tu na Jasną, albo niech Salach zajmie się nią na te kilka godzin, jak mnie nie będzie. Niech idą na spacer do Parku Ujazdowskiego.

Mijały godziny. Minęła siedemnasta i osiemnasta. Zapadał zmierzch. Zbliżała się godzina policyjna, a profesor nie zjawiał się ani w szkole, ani nie wrócił do domu na Leszczyńską.

W tym czasie szkoła została dokładnie oczyszczona, dyrektor Czesław Jędraszko[29] osobiście zaglądał do każdego kąta, aby sprawdzić, czy nie zaplątał się gdzieś jakiś kompromitujący przedmiot czy zwyczajna

gazetka. Mógłby to być też nabój rewolwerowy lub jakaś część wciąż w kółko rozbieranego granatu-atrapy używanego jako „pomoc naukowa" w szkoleniu podchorążaków.

Wreszcie tuż przed dziewiętnastą zjawił się profesor w towarzystwie „kuzynki" Hanny Rowińskiej.

– Co słychać? – jak gdyby nigdy nic spytał profesor.

– Wszystko po staremu – odpowiedział Kondek, próbując dostosować swą odpowiedź do spokojnego, lekceważącego tonu profesora.

– Czy możesz zdjąć ze spaceru Salacha i Jadzię?

– Mieli spacerować po Parku Ujazdowskim.

– To polataj sobie po Parku i ściągnij ich tu na Jasną. I jeszcze jedno. Powiedz Marysi, aby wyjęła z kredensu półlitrową butelkę wiśniowej nalewki na bimbrze.

– Co to za święto, profesorze?

– Dziś mija piąta rocznica, jak zacząłem łysieć. Warto to chyba oblać? I pamiętaj, aby to wszystko załatwić, trzeba wykrzesać z siebie resztki inteligencji i ruszać się.

– Mam rower.

– Na to liczę. Braki w pomyślunku nadrobisz nogami...

Zapadał zmierzch. Tuż przed godziną policyjną wszyscy podopieczni profesora zgromadzili się w sali klasy drugiej licealnej.

Na przykrytej białym obrusem katedrze cienkie kromki „boniaka"[30] posmarowane margaryną, pół litra wiśniowego bimbru i dla każdego po pół talerza resztek zupy ze szkolnej kuchni pieczołowicie „zorganizowanej" przez „etatową" kucharkę, która pełniła w szkole jeszcze inne, nie wszystkim wiadome funkcje. Przy karbidówce siedziało około dziesięciu osób. Spoza przysłoniętych czarnym papierem okien dolatywały wrzaski pijanych Niemców z knajpy, jaką urządzili sobie w parterowej części Filharmonii. Stąd codziennie do piątej nad ranem dochodziły dźwięki Stern von Rio[31], Jalousie[32], Komm zürick[33] i innych okupacyjnych szlagierów. Oczywiście zainteresowanie wszystkich budziły przede wszystkim przeżycia profesora i Hanki.

– Szło o to, aby nie myśleli, że mnie przestraszyli. Mogli też przypuszczać, że ten Langiewicz musi mieć jakieś mocne plecy, skoro nie trzęsie portkami... Zjawiłem się więc w ratuszu na Placu Teatralnym nie tak jak kazali, ale z godzinnym opóźnieniem...

– Ty nie trząsłeś portkami, a ja przez cały ten czas traciłam zmysły ze strachu – wpadła mu w słowo Hanka.



Maria i Jan Langiewicz Al. Jerozolimskie w Warszawie, 1938 r.

– Wprowadzili mnie do obszernego gabinetu – zaczął opowiadać profesor. Za obszernym biurkiem siedział żandarm, a obok niego przy stołach trzech granatowych. No, przynajmniej nie wpadłem jak śliwka w kompot – ciągnął profesor – nawet jak wylądujemy na Szucha, to przynajmniej jeden z granatowych da chyba znać rodzinie, co się z nami stało. „Du bist Jude”[34] – wskazując na mnie palcem, powiedział żandarm.

Nie zaprotestowałem. Wbrew temu, co by chyba wielu na moim miejscu zrobiło, milczałem i nawet próbowałem się uśmiechnąć, udając, że zarzut ten rozbawił mnie i że jest on tak absurdalny, że nawet zaprzeczać nie warto. „Panie oficerze" – zwróciłem się do jednego z granatowych, udając, że nie potrafię rozróżnić szarży i że nie znam języka niemieckiego, taka to ze mnie belferska ofiara – „Zdaje się, że pan oficer niemiecki powiedział do mnie «Jude»". „Nie udawaj pan Greka. Pańska kuzynka już się przyznała, że jest Żydówką" – powiedział granatowy. – „Teraz najlepiej będzie dla pana, jak się pan wycofa z tą swoją interwencją..." – nieznacznie, tak aby nie widzieli tego Niemcy, puścił do mnie porozumiewawcze „oko". „Z interwencjami bywa różnie" – postanowiłem zagrać *va banque* – „nigdy nie wiadomo, kiedy komu jakaś interwencja będzie potrzebna" – dodałem dwuznacznie. To mówiąc odważnie, twardo spojrzałem granatowemu w oczy. Tak, aby zrozumiał, że za mną stoi jeszcze jakaś siła, z którą nie radzę mu się spotkać. – „A zresztą oto moje papiery – metryka, świadectwo ślubu, różne zaświadczenia z Opinogóry w powiecie ciechanowskim, gdzie się urodziłem. A tu oto..." ostrożnie podsunąłem pod nos granatowemu przedwojenne zaświadczenie z korpusu kadetów... Granatowy spojrzał na mnie jeszcze raz z zainteresowaniem. Takich zaświadczeń w komisariacie policji przecież się nie pokazywało... Was sagt er?" – zarechotał żandarm. „Er hat eiserne Dokumenten. Das ist ganz klar. Er ist in Kreis Zichenau geboren und zum katholischen Glauben bekannt."[35] Żandarm zdjął hełm i zaczął czesać przygniecione do głowy włosy. Widać było, że nie bardzo wie, co dalej robić. Z pomocą przyszedł drugi granatowy. „Wprowadzić podejrzaną." „He, he – pomyślałem sobie" – parsknął do nas profesor – „Jak «podejrzaną", to znaczy, że nic nie wiedzą." Weszła Hanka. Starała się zachować spokój, ale nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić.

– Nie chciałam się z tobą witać, bo obawiałam się, że sprawy przybrały zły dla mnie obrót. Mogła być przecież taka sytuacja, że gdybym powiedziała na przykład „witaj kuzynie", mogłoby to się źle dla ciebie skończyć.

– Należy ci się piątka za dobre zachowanie – powiedział Langiewicz. Po czym kontynuował opowieść: „Ta pani przyznała, że jest Żydówką" – odezwał się granatowy. Równocześnie jednak nieznacznie przymrużył oko, dając mi do zrozumienia, czego i tak się domyślałem, że jest to „reżyserowana" część przesłuchania. „Wariatka czy co?" – powiedziałem, udając, że nic z tego nie rozumiem. „Hanka! Czego ty włóczysz się po komisariatach? Dlaczego łazisz po mieście bez papierów? Kiedy wreszcie, do diabła, przestanę mieć z tobą kłopoty?" I tu zwróciłem się do polskiego oficera policji. „Dwa razy wydałem ją za mąż. Teraz niedawno znów były moje zapowiedzi. A ta koza sama nie wie, czego chce. Kiedy ja się wreszcie tej dziewczyny pozbędę? Jak długo będę zastępował jej ojca i matkę? Ja też mam żonę, mam dom, a tu nie ma miesiąca, żeby jakiś pociotek z Ciechanowa nie pokazał się u mnie na Leszczyńskiej! Bo wujek, bo brat, bo kuzyn pomoże. Jeszcze teraz, jakby wszystkiego było mało, łazi bez papierów i udaje Żydówkę. Przecież to oczywista kretynka!"

– Wrzeszczałeś wtedy na mnie, że naprawdę jestem twoją lekkomyślną kuzynką – wtrąciła Hanka.

– A ja wpadłem w taką złość, że przez jakiś czas byłem na ciebie autentycznie zły za to, że nie chcesz wyjść za tych rzekomych amantów, których na poczekaniu wymyśliłem. „Die verdachtige ist eine kretine?" – „Podejrzana jest kretynką – niezbyt inteligentnie usiłował wpaść w tok przesłuchania żandarm. „Ja, die Schwachkopf. Es sieht so aus dass est ist ein Missverstandnis..."[36] „A potrafi się pani przeżegnać?" – spytał trzeci z granatowych oficerów. Ale pytanie było tak naiwne, że chyba postawił je, aby żandarm docenił jego aktywność przy przesłuchaniu. „Ta kretynką chyba i tego nie potrafi" – grając dalej *va banque*, powiedziałem.

– Ja naprawdę w tym momencie byłam tak sparaliżowana, że obawiałam się nie tylko każdego słowa, ale i każdego ruchu – wtrąciła Hanka.

– Ale wszystko dobrze się skończyło. Awansowałaś rasowo na moją kuzynkę i teraz jak wpadniesz w jakieś żydowskie tarapaty, możesz powołać się na komisariat policji przy Placu Teatralnym. Oni na pewno

poświadczą twoją aryjskość. Aha! I jeszcze jedno. A może byśmy tak zajrzeli do tej butelki z wiśniakiem? Jest okazja!

Z knajpy w Filharmonii dochodziły dźwięki szlagieru Komm zurück[37].



Od prawej Jan i Maria Langiewiczowie oraz ukrywany przez Profesora Paweł Lew Marek (ptarz strona), Warszawa, 1946 r.

Dn. 25. maja 1946 niedziela
na rogu Marszałkowskiej i Chmielnej.
Marek, zgubiwszy 2tys. zł, dla uspo-
-kojenia własnego sumienia sy-
pie pieniędzmi (resztką) na
prawo i lewo. W upalny
dzień majowy, zmęczony
zapłacił 600 zł za fotografię i
190 zł. za telefon do żony w Krakowie

Podpis umieszczony przez Prof. J. Langiewicza na odwrocie zdjęcia ze str. poprzedniej.

*Dn. 25 maja 1946 niedziela na rogu Marszałkowskiej i Chmielnej. Marek zgubiwszy 2 tys. zł dla uspokojenia własnego sumienia sypie pieniędzmi (resztką) na prawo i lewo. W upalny dzień majowy, zmęczony zapłacił 600 zł za fotografię i 190 zł za telefon do żony w Krakowie*

Na okrągłym, zbitym z nieheblowanych desek stoliku góra tanich, za pół grosza, cukierków. Wokół krawędzi koła pionowo powbijane małe gwoździki. Cienka listewka przymocowana pod spodem. Umieszczone na jej końcu gęsie pióro trzeszczy zaczepiając o pionowe gwoździe. Właściciel koła rytmicznie popycha listewkę. Trrr – słychać terkot pióra po gwoździach. Wokół zbierają się gapie. W pewnym momencie, kiedy przy stoliku jest już kilkanaście osób, właściciel obsługujący interes nagle wysoko podnosi rękę, aby za chwilę wystudiowanym, jakimś nienaturalnym i jakby tajemniczym gestem nagle opuścić ją na listewkę. Terkot milknie. W nagłej ciszy stojący obok z tym większym zainteresowaniem czekają na dalszy ciąg występu.

– Szanowna publiczności! Za pięć groszy można wygrać nawet i pięćdziesiąt cukierków! Pucu nima! Skoro jeżeli nasza maszina zatrzima się na jakiejś wymalowanej na naszim interesie numeracji – tyle cukierków wypłacam! Można także wygrać fajansowe świnkie na odkładanie forsy, takiegoż słonia albo bukiet pięknych kwiatów dla swojej starej albo i narzeczonej, co wyglądają jak żiwe. Wystarczy po tym w mieszkaniu raz na miesiąc dmuchnąć na kwiecie, czyli odkurzyć, i botanika apiać cieszy nasze oko, jakby przed chwilą zerwana – wysoki, barczysty właściciel cukierkowej loterii nie żałuje głosu. Trzeba przecież zwrócić uwagę gapiów i przechodniów, przekrzyczeć konkurencję. Bo tuż obok rozmieścili swoje „majdany" handlarze dewocjonaliów, odpustowych gwizdków i skarbonek, kartoflanych placków, gorących prosto z wody parówek i serdelków, racuchów, papierowych kapelusików, bębenków, bajgli, trąbek i obwarzanków. Trochę dalej słychać uderzenia ciężkiego młota. To co bardziej krzepcy mieszkańcy Woli mierzą swoje siły. Wypchnięta po stromych szynach niklowa armatka z łomotem leci w górę i z jeszcze większym hałasem spada z powrotem. Czasem słychać wystrzał – to armatka dotarła do szczytu, trafiła w detonator, a wystrzał głosi o wyjątkowej krzepie miejscowego siłacza. Nieco dalej – cyrk. Obok tańce „na dechach", gdzie za dwadzieścia groszy można kolegom i aktualnej miłości pokazać salonowe otrzaskanie w tańcu figurowym.

Ale najgorsza jest karuzela. Jej właściciel stara się przekrzyczeć własną mechaniczną szafę, która z uporem gra „Na sopkach Mandżurii".

– Tylko u nas, tu na Wenecji[38], każden jeden, czy też to mężczyzna, czyli też płeć, za jedne dziesięć groszy ma prawo skolko ugodno pokręcić się i popatrzeć z góry na całą okolicę. Szczeniakom przykazuję nie pluć z góry na koleżków, bo po kręceniu inny koncman może mu gębę oklepać! Z lotu tak zwanego ptaka zobaczem Wenecję razem ze wszystkimi bałaganami, a także pobliskie kino Italia. A jak kto szyje wyciągnie – Kercelak i kino Kometa będzie miał zaszczyt własnoręcznie zobaczyć! Trzy osoby w kupie płacą tylko dwadzieścia pięć groszy! Dzieciaki z familią – po piątaku! A szczeniaki bez forsy niech lecą do pana kierownika Kazia, któren stoi tam oto przy szafie. To gites człowiek, kocha dzieci i z niem można wszystko załatwić.

Wyrostki zmawiają się w trzyosobowe grupki. Podlotki, kawalerowie z pannami, chłopaki pod krawatami i ci, co to im się jakaś partanina trafiła i „wietrzą sarę"[39], ze spokojem i z fasonem płacą po dziesiątce. Kilku chłopców zebrało się wokół pana Kazia i coś tam uzgadniają. Po chwili pan kierownik podnosi kotarę zasłaniającą otwór wejściowy do wnętrza karuzeli. Po krętych schodach „młodziaki" są już pod samym dachem.

– Łapta się chłopaki za belki i jak powiem, to zasuwajcie – słychać głos w ciemności.

Jakiś zgrzyt i chrobot. To właściciel karuzeli przyhamował „Sopki Mandżurii". Teraz powoli kroczy wzdłuż wiszących fotelików, pomaga zapiąć łańcuchy bezpieczeństwa, łagodnie perswaduje tym, którzy chcą

pokazać, że się nie boją i łańcuch im niepotrzebny:

– Nie kozakuj Lalek, bo jak spadniesz na mordę, to komu interes zamkną? Mnie. Jesteś chojzyk? To idź, daj w ryja policjantowi. Ale u mnie jedzie się urzędowo.

– O! Kogo ja tu widzę!? Starego znajomego! – zwraca się nagle do spokojnie siedzącego i przepisowo zapiętego amatora karuzeli. – „Kulas" się wkręcił na waleta! Nieładnie. No już, szoruj stąd gnojku, bo ci drugą nogę łydką do przodu wykręcę!

Wzór spokojnego pasażera nagle daje nurka pod zabezpieczający łańcuch, inkasuje po drodze kopniaka „z woleja" i już z bezpiecznej odległości pokazuje właścicielowi karuzeli, gdzie go ma, oraz inne, nawet w międzynarodowym kodzie znane ruchy informujące o najwyższej dezaprobacie dla pana Kazia.

– Kręciem się wkoło i już nam wesoło! – woła dyrektor interesu i specjalną korbą nakręca maszynę uruchamiającą Sopki Mandżurii. Spod szczytu karuzeli słychać głos:

– No chłopaki! Łapiem się!

Grube belki podobne są do ramion jakiejś olbrzymiej gwiazdy. Stanowią rusztowanie podtrzymujące górną, obracającą się część karuzeli. Przy każdej belce staje pięciu-sześciu chłopców i z całych sił pcha. Kto cwańszy, stara się umieścić jak najbliżej środka. Ten, co przegapił lub po prostu jest tu pierwszy raz, musi biegiem po obwodzie pokonać o wiele dłuższą drogę. Przy następnym kursie ma prawo przesunąć się o jedno miejsce w lewo. A po pięciu, sześciu kursach – frajda. Pan Kazio osobiście przekazuje zgonionego delikwenta na dół, a ten „legalnie" ma prawo do jednej bezpłatnej jazdy.

Teraz pan kierownik wyjmuje gwizdek i jak najgłośniej, aby zwrócić uwagę następnych potencjalnych amatorów karuzelowej przejażdżki, przenikliwie gwiżdże. To sygnał dla tych biegających tam w górze. Mogą już uczepić się lub usiąść na rozpędzonych belkach i tylko czekać aż karuzela stanie. Czekający na dole dyrektor nieznacznie wskazuje na kilka rozpędzonych jeszcze fotelików. Znów dali się gnojkom nabrać! Ten „Kulas", co to narobił tyle zamieszania, bo niby próbował wtrynić się na waleta – to była przynęta! Kiedy pan Kazio się z nim użerał, dwóch innych gapowiczów wtryniło się cichutko na puste fotele i niezauważeni, bo chłopaki na górze już zaczynali kręcić – pojechali.

Pan Kazio ustawia się z jednej strony karuzeli, a dyrektor z drugiej. No, dadzą do wiwatu tym cwaniaczkom!

Młodziaki już w powietrzu odpinają zabezpieczające łańcuchy. Widzą, co się dzieje i wiedzą co się może zadziać. Ale taka sytuacja to dla nich nie pierwszyzna. Doświadczenie wyniesione z dziesiątków jazd na gapę pozwoliło na wypracowanie własnej taktyki. Po pierwsze, trzeba skakać na maksymalnej szybkości, ale tak, aby wylądować na pomoście. Bo jak o parę metrów niżej, to gnaty mogą nie wytrzymać. No i trzeba fotelik „rozkiwać" do wewnątrz i na zewnątrz tak, aby raz być jak najbliżej środka, a za chwilę, aby zostać wyrzuconym przez siłę odśrodkową ponad gapiącą się na dole publikę. Tak „rozkiwanego" żaden pan Kazio nie ośmieli się zatrzymać. Bo jakby dostał wtedy dubla... Zresztą teraz to już nie idzie o tych parę kopniaków, które czekają ich na dole. Całość „akcji" obserwują przecież koledzy i każdy błąd w sztuce będzie później przez nich ostro krytykowany.

Dyrekcji też nie idzie o te kilkadziesiąt groszy za bilety, tym bardziej że i tak kilka fotelików lata bez pasażerów. Prąd też nic nie kosztuje, bo chłopaki za darmo pracują na pych. Ale nie doczekanie ich, gnojków, z przedsiębiorstwa drakę robić...

Karuzela powoli zatrzymuje się. Z rozbujanych fotelików w biegu zeskakuje dwóch gapowiczów, aby jak najdalej od dyrektora i od pana Kazia! Trzeci jednak jakoś źle wyliczył i wylądował wprost w dyrektorskich ramionach.

Nawet nie protestuje. Należne kopniaki i kuksańce musi zainkasować z honorem. Dyrektor też zbytnio do „baniek" się nie przykłada. Idzie przecież tylko o to, aby gnojki wiedziały, kto tu jest panem i że nikt mu w interesie żadnej zasrywki nie ma prawa zrobić.

Właściciel cukierkowej loterii korzysta z chwili przerwy. Szkoda gardło wydzierać, skoro cała uwaga publiki skierowana jest na wychowawcze wysiłki pana Kazia. Ale po chwili znów trrrr, wdziera się w uszy terkot gęsiego pióra po gwoździach.

– Nie ma glika[40] bez ryzyka!

– Każden może postawić, każden może się bawić!

Zręcznymi ruchami rąk miesza w stercie kolorowych cukierków. Taksującym spojrzeniem ocenia gromadzących się wokół okrągłego stolika gapiów. Dzieciaki z uwagą śledzą, gdzie zatrzyma się warczące, gęsie pióro. Trrrrr…

– Pucu nima! Za pięć groszi możesz wygrać nawet i pięćdziesiąt cukierków – powtarza stałą formułkę. Trrrrrr! Trrrrrr!

Blondyn jedną ręką grzebie w kolorowej górze cukierków, drugą jeszcze raz popycha umocowane na listwie gęsie pióro. Trrrrrr! Trrrrrr!

– I tak się obraca jak u pana Ignaca! A lata jak u wariata! A chodzi jak w mieście Łodzi!

Trrrr! Trrrr

– Ludzie bogate na ruletach grają, a nam tu cukierki do gęby wpadają! Terkot sprężynującego po gwoździkowym parkanie gęsiego pióra przyciąga coraz więcej nowych, młodocianych gapiów.

– Jak nie masz „sary”, to nie zajmuj miejsca – zwraca się blondyn do stojącego w pierwszym rzędzie malca. – Masz cukierka i zjeżdżaj. Daj innym spróbować fartu[41].

Trrrrrr! Trrrrrr!

– Panie! A za dwa grosze można? – pyta jakiś młodociany amator słodkości.

– Można, ale dostaniesz pół doli…

Wieczorem właściciel cukierkowej loterii składa swój warsztat pracy. Cukierki uważnie zsypuje do obszernej torby. Stolik wraz z trzema wykręcanymi nogami oddaje na przechowanie nocnemu dozorcy. Tu, razem z cyrkiem, karuzelą, ciężkim młotem i niklowaną armatką czeka cukierkowa loteria, pierwszego terkotu nowego dnia, kiedy to gęsie pióro znów zacznie krążyć po nabijanej gwoździami orbicie…

Od pobliskiego Kercelaka dzieliły Wenecję dwa tramwajowe przystanki. Dziś stoi tu, u zbiegu Wolskiej i Młynarskiej, Dom Towarowy „Wola”. Właśnie w tym miejscu, przed pół wiekiem pan Kazio werbował chłopców do „kręcenia” karuzelowej belki. Dziś w tym miejscu kupujemy wyroby ze sztucznych tworzyw, radia lub kolorowe telewizory. I tylko ludzie starsi zdolni są usłyszeć dalekie echo dwuwiersza, jaki wykrzykiwał właściciel gęsiego pióra z gwoździami:

– Tu się obraca jak u pana Ignaca. A chodzi jak w mieście Łodzi…

Na dziś robota skończona. „Fartu” specjalnego nie było, ale na kolację coś tam wyścibili. Właściciel cukierkowego koła szczęścia z torbą cukierków pod pachą wraca do swego sublokatorskiego pokoju. Obskurna, ciemna kamienica tuż przy placu Kercelego. Ubikacja na podwórzu, woda tylko w niektórych mieszkaniach. W bramie kupa „szczawików”[42] z rękami w kieszeniach wita go z szacunkiem.

– Uszanowanie, panie Stefanie – słychać chór silących się na zawadiacki ton głosów.

– Cześć chłopaki! Jak leci?

– Nikogo się nie boimy! A jak do draki, to my w krzaki!

Stefan uśmiecha się z sympatią. Wie, że taka odpowiedź na jego zdawkowe pytanie jest wyrazem uznania i szacunku. Niektórzy to nawet na czas jego powrotu specjalnie z domu wychodzą.

Spokojny, flegmatyczny i nigdy nieszukający zwady Stefan imponował swoją pozycją wśród kiercelakowskiej społeczności, a dla wyczekujących w bramie kilkunastolatków był godnym najwyższego szacunku idolem. Z uznaniem opowiadano sobie, jak to kiedyś ferajna z pobliskiej ulicy Wolność napadła na wracającego ze szkoły chłopaka z Okopowej i w kilkunastu usiłowali sprawić mu porządne lanie. Pan Stefan bardzo nie lubił takich „oprychowskich rozrób” i postanowił interweniować.

– Hej! Ty, w berecie! – krzyknął na najbardziej rozrabiającego osiłka. – Chodź no tu!

Walka została przerwana. Wezwany, rosłe około dwudziestoletnie chłopisko, podszedł posłusznie.

– O co idzie?

– Mamy żal.

– Dintojry[43] nie było? Draka na wariata?

Zapytany podrapał się poprzez beret i nic nie odpowiedział. Teraz Stefan zwrócił się do powracającego ze szkoły chłopaka z Okopowej.

– Co było? – spytał rzeczowo.

– Nic. Dałem trochę po ryju jednemu z ich paki.

– Honorowo?

– Jasne, jeden na jednego.

– Który to?

– Nie wiem. Taki tu melanż, że trudno rozpoznać.

– Tylko nie kręć. Honorowych pętaków tu nie potrzeba. Sprawiedliwość musi być.

– To on mnie zaszurał – przyznał się osiłek w berecie – No to teraz my…

– I popędził ci kota? I pewnie brzydko się wyrażał? A może nawet pokazał ci język? – ze złością wypytywał Stefan.

– No to teraz daj mu w mordę jeszcze raz – i tu wskazał na pokornie stojącego chłopaka z Wolności.

– Ale panie Stefanie, nie trzeba…

– Wal, bo jak nie, to ja ci jeszcze dołożę!

Reszta towarzystwa rozlokowała się po przeciwnej stronie pod murem fabryki mydła Majdego. Ukryci w ciemności ośmielali się okrzykami prosić o łaskę dla koleżki w berecie.

– Nie bij naszego brata!

– Jutro się spotkamy!

Stefana to jakby zdenerwowało. Sam przyłożył właścicielowi granatowego beretu, a następnie, zwracając się w kierunku ciemności ukrywających resztę ferajny, zawołał:

– Następny!

Kilka chwil ciszy, a od ciemnej plamy muru oderwała się jakaś postać. Wywołany ze spuszczoną głową zbliżał się do Stefana.

– Wal w mordę! – zwrócił się do napadniętego ucznia.

– Ale panie Stefanie, on nie może się bronić…

– Ale w dwudziestu na jednego to potrafi napadać? Wal, mówię!

Pod murem zaległa cisza. Zrozumieli, że tylko pokora wobec autorytetu Stefana mogła przerwać dalsze ferowanie wyroków.

– Następny!

Z ciemności wynurza się nowa postać. – Wal!

Uczeń udaje, że bije, bo kto wie, może jutro na nowo będzie musiał rozliczać się z nadgorliwości.

– Ej ty! Uważaj! Ostrzegam ostatni raz, albo gnojków nauczysz moresu, albo sam oberwiesz.

– Następny!

Cios na szczękę. Uderzony nieco teatralnym gestem łapie się za twarz, podkreślając w ten sposób siłę otrzymanego ciosu.

– Następny!

I tak po kolei spod muru fabryki Majdego odrywał się jakiś cień, materializował się w konkretnego cwaniaczka z Wolności, inkasował, co mu się należało, i wracał do kłębiących się w ciemnościach koleżków.

O ucieczce nie mogło być mowy. Nazajutrz Stefan i tak by się tylko znanymi sobie sposobami dowiedział. A wtedy sprawa byłaby o wiele poważniejsza.

– Następny!

– To już wszyscy, panie Stefanie! – rozległ się jakiś głos spod muru.

– Uważajcie, bo jutro przepytam. A jak który „strefił”, to rodzona matka go nie pozna!

Taki był Stefan. Wieczorami lub też w dżdżyste dni jesienne, kiedy cukierkowa loteria rozpłynęłaby się w potokach deszczu, siadywał na łóżku w swoim pokoiku na czwartaku i czytał. Wszystko, jak leci. Co mógł wypożyczyć od kolegów, od usłużnych chłopaków, od znajomych: Nasielski, Dumas, Sienkiewicz, Romański, Marczyński, Zevaco, Karol May, Żeromski. Obok „Wybranych żywotów książąt kościoła polskiego” – „Porwana w noc poślubną”, „Rinaldo Rinaldini”, „Zygfryd”, „Kartusz”, „Hartman”. Przewertował nawet „Manifest komunistyczny” i „Zdobycie chleba” Kropotkina. A potem znów „Rocambole”, „Nat Pinkerton”, „Sherlock Holmes”, „Pat i Patachon”, „Przez miłość do nędzy”. Mniszkówna i „Jarmark rymów” Tuwima, „Siłaczka” Żeromskiego i „Listy do młodego przyjaciela” Thugutta. Nie wszystkie z tych książek udawało się pożyczyć „po znajomości”. Najprostszą metodą było zespołowe wypożyczanie w pobliskiej księgarni na placu Kercelego. Na przykład za wypożyczenie „zeszytu” płaciło się pięć groszy. Przez cztery, pięć dni mogło go przeczytać kilku wspólników do interesu. Ale aby ten pierwszy nie czekał aż ten na przykład piąty skończy czytać dany numer „zeszytu”, ktoś inny brał numer następny. I tak wystarczało trzech „koncmanów”, aby czytało się płynnie. „Rinaldo Rinaldini” miał 109 zeszytów (cena jednego wynosiła 30 groszy – opłacało się więc wypożyczać), bodajże najkrótsza była historia o Zygfrydzie (o ile pamiętam – około 40 zeszytów). A już za wypożyczenie tomiku Karola Maya (który kosztował 95 groszy), płaciło się 20. Oczywiście i tu, aby było taniej, czytało się zespołowo.

Zresztą nie tylko jesienne i zimowe dni rozłączały Stefana z Wenecją. Zimą tym bardziej nikt nie zatrzymywał się przed kółkiem z gwoździami szczęścia, a cyrk, tańce „na dechach” i karuzela, które przecież tworzyły potrzebny tej imprezie szum i rejwach, to wszystko pojawiało się dopiero w maju. Wprawdzie zimą też słyszało się Wenecję, bo czynne było oświetlone kolorowymi lampkami lodowisko, a muzyka z adaptera niosła się daleko, ale nie było już klimatu do wydzierania się na temat, że „insze narodowości na rulecie grają, a nam cukierki do gęby wpadają”.

W taki to właśnie bezrobotny dzień poniosło Stefana aż pod Żelazną Bramę[44]. Z rękoma w kieszeniach wałęsał się od straganu do straganu, zaglądał do magazynów i na zaplecza wielkich hurtowni. Jego barczysta postać, demonstracyjnie trzymane w kieszeniach ręce i otwarta, szczera twarz wskazywały, że szuka pracy i że da radę nie tylko ciężkiej robocie, ale i że można mu zaufać. Czasem udawało mu się „na doskok" pomagać przy rozładowywaniu ciężarowych samochodów z warzywami lub drobiem. Tragarze spod Żelaznej Bramy to był dobrze zorganizowany klan ciężko pracujących, silnych żydowskich robociarzy.

W większości należeli do Bundu[45], niektórzy do PPS. Stefan początkowo, jak każdy nowy i obcy, nie cieszył się ich sympatią. Ale po kilku tygodniach, bacznie obserwowany, najpierw zaczął być tolerowany, następnie dopuszczany do rozładunku wspólnego rozładunku, większych transportów. Zapewniało to większy, a co najważniejsze, jeśli nie stały, to przynajmniej bardziej cykliczny zarobek, bez ustawicznego kręcenia głową, gdzieżby tu coś złapać „na doskok". Chociaż jeszcze nie uznano go za swojego, powoli przystawał do miejscowych.

Wśród żydowskich tragarzy Chaim cieszył się największym autorytetem. Wystarczyło, że tylko spojrzał na ciężarówkę załadowaną kilkuset skrzynkami z drobiem i bez wahania wyrokował:

– Na spodzie, w jednej skrzynce brak trzy kury!

– Chaim, skąd ty to wiesz?

– Ja wam to mówię!

Sprawdzano, liczono – Chaim miał rację.

– Panie Stabholz – zwracał się Chaim do właściciela – kradniesz pan własny towar, aby winę zwalić na tragarzy? Chcesz pan, abyśmy się między sobą pożarli? Wtedy uda się panu mniej płacić? No już, odliczaj pan te trzy kury, bo jak nie, samochód będzie tu stać do dnia sądnego!

Pan Stabholz przepraszał, mówił że się pomylił i wszystko wracało do normy. Kiedyś Chaim i Stefan założyli się, kto szybciej rozładuje samochód pełen gęsi. Na jednym samochodzie stał Chaim, na drugim Stefan. Wkrótce Stefan zauważył, że tu nie tylko siła, ale i doświadczenie Chaima jest potrzebne. On tu, w Hali Mirowskiej, był tragarzem niemal od urodzenia. Wiedział, że każda skrzynka, mimo że są podobne, jest jednak inna. Jedna z heblowanego, druga z nieheblowanego drewna. Inna zaś, zużyta po kilkuletniej eksploatacji, wygina się jakby była z tektury i przy lada większym obciążeniu lub tylko przy uchwyceniu w nieodpowiednim miejscu, może się rozlecieć. A wtedy Stabholz nie daruje i to, co stracił, odliczy z dniówki, jakby stracił skrzynkę z mahoniowego drewna. Inna znów twarda, jak z blachy zrobiona, ale za to z desek wystają gwoździe, jak nieopatrznie chwycisz – skaleczenie może być nieliche, a nawet na kilka dni może wyeliminować z roboty.

No i Chaim o kilka skrzynek wyprzedził Stefana. Stojący obok żydowscy tragarze przyglądali się tej próbie sił. Zmęczony Stefan siedział na końcu samochodowej platformy ze spuszczonymi nogami. Po chwili obok niego usiadł Chaim i podali sobie ręce.

– Jak tak dalej pójdzie, to ty, Stefan, za parę miesięcy staniesz się tu szefem żydowskich tragarzy – odezwał się Chaim.

– I co z tego? Wolałbym mieć taką brykę jak ta, na której siedzimy – odpowiedział Stefan. – Wtedy fart by człowieka nie opuszczał...

– Wy tu gadu, gadu, ale kto wygrał zakład? – zapytał ktoś z tragarzy. – Warto sprawę przepuścić przez kojse[46].

Stefan zrozumiał przytyk.

– Panie Stabholz – odezwał się do szefa gęsiego transportu – Nie wie pan, którego dziś mamy?
– Bo co jest? – odpowiedział pytaniem na pytanie Stabholz.
– Wszystkie skrzynki odstawione jak trzeba. Nic nie zginęło. Drób jak ten róży kwiat figuruje? Figuruje. No to mam zaszczyt przypomnieć panu, że dziś mamy Matki Boskiej Płatniczej[47].
– Panie Stabholz, on jest katolik – odezwał się Chaim – A u nich jest taka wiara, że za robotę trzeba płacić.
Stabholz obrzucił spojrzeniem puste już skrzynki, przeszedł pomiędzy straganami z drobiem, aby sprawdzić, czy nikt nie ma zastrzeżeń co do dostarczonego towaru, wtedy mógłby zwalić na Chaima albo na Stefana i coś odliczyć od dniówki. Kiwnięciem głowy przywołał Chaima.
– Masz cztery złote dla obu.
– Dziękuję, panie Stabholz – udając, że nie dosłyszał, odpowiada Chaim.
– Ale Stefanowi też się chyba należy?
– Stefanowi? Temu pobożnemu? Jak on ci się tak podoba, to może byś się ty przechrzcił? Wtedy księdzu byś głowę zawracał, a nie mnie.
Stefan stał obok i nic nie rozumiał, bowiem rozmowa prowadzona była w języku jidysz. Reszta jednak tragarzy doskonale rozumiała, do czego zmierza Stabholz. Chce wygrać żydowskich tragarzy przeciw Stefanowi, licząc na to, że ci nie będą wtrącać się do sprawy w obronie jakiegoś Polaka, a on „najlegalniej" nie wypłaci mu dniówki.
– Panie Stabholz! Co jest? Granda? – już po polsku odezwał się Chaim. Stabholz uspokoił się. Wiedział, że jeśli tragarz spod Żelaznej Bramy użyje wobec patrona-hurtownika słowa „granda", oznacza to wojnę. Jego towaru nikt nie rozładuje, a właściciele straganów nie wezmą jego gęsi, kur czy kaczek nawet za pół ceny. Ale Stabholz łatwo się nie poddawał.
– No, niech stracę! Masz tu jeszcze złotówkę, razem będzie pięć złotych. Podziel się z tym katolikiem.
– Własnymi pieniędzmi z nikim się nie dzielę – odpowiada Chaim. – Idź pan do niego i sam mu daj te złotówkie.
– A bo ja myszuge[48]? No niech będzie, moja strata! Dokładam dwa złote. Razem – sześć.
– Idź pan do niego, daj mu pan dwa złote!
– Chaim, nie bądźcie nachał!
– Ja nachał? Dałeś pan cztery złote z własnej woli? Dałeś. Nawet słowa nie powiedziałem. A teraz pan chce, żebym ja wziął Stefana na swoje utrzymanie?
– Nie ma nic gorszego jak Żyd-przechrzta – powiedział Stabholz i demonstracyjnie odwrócił się od Chaima. Równocześnie kiwnął głową w kierunku Stefana.
– Co słychać, panie Stefanie? – zaczął z głupia frant.
– Niedobrze. Nie chcą płacić za robotę.
– Co znaczy nie chcą? Chcą. Masz pan tu trzy złote i żebyśmy obaj zdrowe byli.
– Za trzy złote to ja trzymam ręce w kieszeni i mam inną robotę.
– Jaką inną robotę?
– Ja się drapię.
– No to masz pan trzy pięćdziesiąt i git. Już się pan nie drapiesz.
– Za trzy pięćdziesiąt to ja wyjmuję ręce z kieszeni.
– A za ile pan pracujesz?
– Za cztery złote. Ani mniej, ani więcej niż biorą inni.
– Stefan! Wy mnie wpędzicie do grobu z torbami.
– Ale weź se pan na drogę kurę do tego grobu, bo umrzesz pan z głodu. Słuchający tej rozmowy tragarze nie ukrywali swego rozbawienia.

– Ale mu przygadał! Tylko gdyby nawet wziął kurę do grobu, to by ją po drodze sprzedał!

Hurtownik wiedział, że Stefan ma za sobą całą tragarską społeczność. Lepiej nie zaczynać, bo to może drogo kosztować.

– No, niech ja stracę. Stefan, ja robię to tylko dla was, bo jesteście taki przyzwoity człowiek. Niech będzie cztery złote.

– Który tam pytał się, kto wygrał zakład? – zwrócił się Stefan do przysłuchujących się sprawie kibiców. Z grupki „osób towarzyszących" wysunął się jeden z tragarzy.

– Masz tu dwa pięćdziesiąt i przynieś pół litra z niebieską. Za resztę może być kiełbasa albo jaki inny ochłap.

– Ja też dowalam dwa pięćdziesiąt – dorzucił Chaim. A zwracając się do Stabholza spytał:

– Panie Stabholz, nic pan nie dorzuci do puli?

– Mogę, ale nie chcę.

– Ale dlaczego pan nie chce?

– Bo się zastanawiam, czy to nie grzech, aby porządni, żydowscy tragarze jedli niekoszerną kiełbasę.

– O to idzie, panie szefie! Za pańskie pieniądze kupi się przyzwoitą koszerną kiełbasę, tylko dla wierzących.

– No to daję złotówkę.

– Dobre i to. Abram, skocz no do cioci Stefy i załatw sprawę.

Po kilku minutach Abram był z powrotem. Dwie półkrówki, kiełbasa, baleron, kaszanka zapowiadały, że wrzuci się coś w dziób, jak Bóg przykazał.

– No, a gdzie koszerna kiełbasa? – spytał Stabholz.

– Przecież leży jak byk – odpowiada Chaim, wskazując na duże pęto krwawej kiszki, przez niektórych zwanej studencikiem albo fiutem.

– To jest granda! Oddajcie złotówkę.

– Idź pan do cioci Stefy, już ona panu odda.

I tak z dnia na dzień rosła sympatia i uznanie dla Stefana wśród żydowskich miejscowych tragarzy. Wspólna robota, wspólne zmartwienia, wspólna pomoc i nadawanie co lepszych fuch, a nawet i wspólne czytanie. W tym środowisku „Kartusz", „Rinaldo Rinaldini" czy „Porwana w noc poślubną" specjalnego zainteresowania nie budziły, podobnie jak i przeznaczona wyłącznie dla żydowskiego ciemnego odbiorcy wyciskająca łzy historia z morałem „O trzech siostrach z Leszna, co się wychrzciły i umarły", satyryczna piosenka „O dzisiejszej modnej biedzie" albo tragiczna „Dom śmierci na Krochmalnej". Szmoncesy Norskiego-Nożyce z teatrzyku na Dzikiej w rodzaju Hajle uj Abisynia, uj niedobrze, uj opinia albo Krukowskiego piosenki o Malci i Mońku – chociaż awansowały często nawet do „Qui pro quo", tu entuzjazmu nie budziły. Ci, którym Krukowski wkładał w usta, że „ogonowi nie wypadłem też spod sroki" raczej z niesmakiem słuchali tych wygłupów przeznaczonych dla całkiem innego odbiorcy. Z dnia na dzień krzepła ich przyjaźń. Chaim należał do Bundu i, jak się później okazało, oddelegowany był do organizowania działalności związkowej wśród żydowskich tragarzy. Stefan z zainteresowaniem przyglądał się, jak występuje wobec Stabholza w sprawie ich towarzyszy pracy, poczuł, że również i on w tym środowisku nie jest zdany wyłącznie na własne siły. Powoli stawał się „swój".

Kiedyś zobaczył, jak przy stoisku z rybami młodzian przewrócił Żydówce stragan i rozbawiony obserwował kobietę mozolnie zbierającą jeszcze żywy towar z powrotem do balii.

– Co to za szczeniak? – spytał Stefan stojącego w pobliżu tragarza. – Na bani czy co?

– Popatrz, w klapie ma mieczyk Chrobrego. To ci z Falangi. Przylazł z kolesiami, ale udają, że się nie znają. Obserwujemy ich już od ładnych paru minut. O, zobacz, tam przy pomidorach.

– Wszyscy Żydzi to oszuści – darł się jakiś inny typ.

– Towar dają oszukany, a ceny biorą jak u Pakulskich.
– Żebyś taki zdrów był – mruknął rozmówca Stefana.
– No to czemu im kota nie popędzicie ?
– Stefan, nie rozśmieszaj mnie. Widzisz, rozdają jakieś hitlerowskie ulotki. A jak my się wtrącimy, to oni tylko na to czekają i będzie wielka chryja. Na pewno jest z nimi fotograf i jacyś pismacy z endeckiego „ABC", z „Małego Dziennika" czy „Warszawskiego Dziennika Narodowego". Tylko czekają, aby napisać, jak to Żydzi biją Polaków...
Dla Stefana sprawa nie była taka prosta. Polacy mają pretensje do Żydów. Ale prawdę mówiąc, dlaczego on miałby trzymać stronę Żydów. Tylko że jaka to znów „sprawa polska", kiedy Żydówce przewraca się stragan z rybami? A pozostali Żydzi w milczeniu muszą przyglądać się jawnej grandzie
– Jakieś małe Hitlerki pod Żelazną Bramą? – starał się zrozumieć sprawę Stefan. Szalę przechylił długi post bez draki, bójek czy innych rozrób. Nudno się człowiekowi robiło. Pójdzie choćby tylko popatrzeć. Wzrokiem szukał Chaima.
– Uważaj, stary. Idzie o to, aby w pobliżu nikt z waszych się nie pętał. Ja którego pomacam, a będzie na was...
– Polska dla Polaków! Jak narodowo-socjalistyczne Niemcy pozbędziemy się Żydów i stworzymy silną, narodową Polskę!! – wykrzykiwał, stojąc na odwróconej metalowej balii po rozrzuconych rybach młodzieniec w korporanckim deklu.
Na najbliższych straganach Żydzi pospiesznie pakowali towar. Jakieś typy w krótkich kurtkach i zawadiackich czapkach prowokacyjnie przechadzały się wśród żydowskich handlarzy, ostentacyjnie roztrącając przechodniów. Mimo zgiełku i krzyków protestujących, policjanci nagle znaleźli sobie jakieś inne, pilne zadania na zewnątrz hali.
Stefan patrzył z zainteresowaniem. Jak to, kupą z kastetami w rękach, korzystając z milczącej pomocy policji? Pewni, że nikt nie odpowie siłą na siłę? I to ma być ta „polska sprawa"? Ale tak prawdę mówiąc, diabli go brali na jedno: takie gnojki udają kozaków! Przecież jakby tak któremu wbić ten dekiel na uszy, to by przez godzinę wołał – mamo! Mimo kotłowaniny nikt Stefana nie ruszał. Czy chronił go „rasowo czysty", „nordycki" wygląd, czy po prostu sama postawa, bo widać było, że takiemu lepiej w drogę nie wchodzić. Jak na złość nikt go nie zaczepiał. A na chama włazić do draki nieproszony, to nie leżało w charakterze Stefana. Kątem oka dostrzegł, że jakiś typ z mieczykiem w klapie podchodzi do straganu z jabłkami.
– No, zaraz będą fruwać owoce – pomyślał.
Przyspieszył kroku i podszedł do przerażonej właścicielki straganu.
– Poproszę pół kilo złotej renety.
Typ z mieczykiem zatrzymał się. Czekał aż sprzedawczyni skończy załatwiać Stefana. Ta trzęsącymi się rękoma wrzucała jabłka na wagę. – I jeszcze ćwierć papierówek.
– Oj, ale skąd ja panu wezmę o tej porze papierówki – z zakłopotaniem odpowiedziała kupcowa.
– Faktycznie, przecież to nie maj. Chciałem powiedzieć jonatany.
– No widzi pan, jak to jest z tymi Żydami! Towar przed Polakami ukrywają, ale dla swoich papierówki na pewno się znajdą – wtrącił się facet z mieczykiem – Czekaj pan, razem poszukamy.
To powiedziawszy, chwycił za stragan i usiłował go przewrócić, niby szukając ukrytych papierówek.
– Pan szanowny łaskawie nie zauważa, że jeszcze nie kupiłem jonatanów i bardzo nieuprzejmie wpieprza się pan w moją sprawę – jak najbardziej spokojnie odpowiedział Stefan. Równocześnie rozejrzał się w sytuacji, bo wiedział z doświadczenia, że wejście na gapę do draki czasem spowodować może nieprzewidziane przykrości. Zaskoczeni inni kupujący zaczęli gromadzić się w grupy z początku cicho, a potem coraz głośniej komentując wyczyny panów z Falangi.

– Maminsynki! Znaleźli sobie przeciwników…

– Panie szanowny, rozumiesz pan coś z tego? Popatrz pan, co tamten wykrzykuje: „ONR – walczy, ONR – czuwa, ONR – nową Polskę wykuwa. Walcząc z Żydami budujemy silną Polskę!"

– Niech ja skonam – powiedział Stefan – obok Grunwaldu, Kircholmu, obrony Częstochowy jeszcze dopiszcie sobie do naszej historii victorię pod Halą Mirowską. Nawet gdybym pół litra likieru na kościach wypił, to bym takiej głupoty nie chrzanił.

Kupujący coraz aktywniej okazywali swoje niezadowolenie.

– Na jaką że cholerę ta awantura ni w pięć, ni w dziesięć, ni kukuryku? – głośno wyrażał swe niezadowolenie jakiś starszy pan ubrany z waszecia, z wąsem podkręconym i solidną antypką[49] w ręku.

Jacyś robociarze, ekspedienci z pobliskich sklepów, polscy tragarze bez stałej partaniny, kręcący się po Hali „na doskok", wykazywali coraz większe zainteresowanie tym, co się dzieje.

– Pogoda w sam raz – zdecydował Stefan. – Tylko że jak ich uszkodzę w samym środku żydowskich straganów, to i tak w gazecie będzie, że Żydzi biją Polaków.

– Panie szanowny, wolnego – zwrócił się do usiłującego przewrócić stragan z jabłkami falangisty. – Taka przewalanka to dobre dla szczeniaka, co udaje urke-burke[50]. Ale pan, człowiek uczony? Zwołaj pan koleżków, pójdziemy na stronę, naradzimy się i jak uderzym w hurt, dopiero robota poleci. Co tam jeden stragan…

Właściciel mieczyka mrugnął na wspólników i cała paczka, krokiem zwycięzców, wolno skierowała się do wyjścia. Za nimi podążali co ciekawsi gapie, tragarze „ręczniaki" i paru ekspedientów z sąsiednich sklepów.

– Więcej was matka nie miała? – spytał wreszcie spokojnie i przyjaźnie Stefan – No to oddajcie teraz te odznaki Chrobrego, bo ani na polskiego króla, ani na Grunwald w takiej frajerskiej robocie nie wolno wam się powoływać. Ale już!!!

Ostatnie dwa słowa Stefan wymówił o wiele głośniej. Jego ogromna sylwetka groźnie górowała nad grupą nadwiślańskich Hitlerków. Podszedł do najbliższego i oderwał mu znaczek wraz z klapą marynarki. Inni tragarze czynili to bardziej delikatnie, ale chyba z równą zaciętością. Milcząc, patrzyli w twarz raczkującemu polskiemu faszyzmowi.

***

Od tamtych czasów minęły już dziesiątki lat. Dziś niewielu pozostało warszawiaków, którzy wiedzą, gdzie przed wojną i przez całą prawie okupację kipiał życiem Kercelak, kto, czym i jak handlował pod Żelazną Bramą. Pozostały legendy, wspomnienia i łezka w oku starych „warszawskich rodaków z dziada pradziada". Nastrój ten jakże trafnie oddawał przed kilkunastu laty Tadeusz Ross w piosence Wspomnienia o Kercelaku[51]:

*Lat temu małowiela*
*– odkąd, nie wiem, nie skłamię*
*– Kipiał życiem Kercelak,*
*Stał sobie kram przy kramie.*

*Kupowano żelastwo,*
*Gołębie i sztajery,*
*Wszystkiego, co warszawskie,*
*Było tu do cholery*

*– Pan szanowny co życzy?*
*– Co paniusia uważa?*

*Ileż swojskiej słodyczy*
*W tych warszawskich wyrazach!*

*Lecz rzeczy przemijają,*
*Czas sentyment spopiela,*
*Historia, zamiatając,*
*Zmiotła też i Kercelak.*

Ten brzmiący jak epitafium wiersz jest jednak dla „warszawskiego rodaka" zbyt pesymistyczny. Bo nie wszystkie rzeczy przeminęły i czas jednak wszystkiego nie spopielił. A historia, zamiatając, chyba tak całkowicie nie dała rady Kercelakowi, bo może dojrzała, że było tam też wiele rzeczy czystych, godnych nieprzemijającej pamięci? I tak godność i swoisty honor wolskiego, praskiego czy czerniakowskiego rodaka jednak tu i ówdzie zostały, stanowiąc dziś niemal nieosiągalny ideał dla wszelkiej maści opryszków i bandziorów, co to w kupie potrafią napaść na staruszka lub „flekować" w piętnastu ot tak dla zabawy Bogu ducha winnego człowieka. Zawadiactwo, chęć do śmiechu i „zgrywa", ale także poczucie sprawiedliwości i patriotyzm często pokazują swoje różki spoza epitafium Tadeusza Rossa.

W czasie okupacji, aż do Powstania Warszawskiego, była na Lesznie knajpa-jadłodajnia „U Antka”. Tylko jedna narożna kamienica przy Okopowej dzieliła ją od Kercelaka niedającego się pożreć przez okupanta. Częste naloty żandarmów konfiskujących – podobnie jak w pobliskim getcie – na własną rękę wszystko, co można było wysłać do Reichu, coraz bardziej zaciskały pętlę na życiu Kercelaka. Ale też pobudzały fantazję i zajadłość. Chęć walki, aby tę pętlę rozluźnić.

Z konieczności działalność na szerszą skalę trzeba było czasem przenieść poza „trefny Kercelak”. Tym bardziej że aresztowania i łapanki, strzelanina, a nieraz i zabici stanowiły groźne ostrzeżenie przed angażowaniem się w rozbudowę niektórych interesów na terenie, który w każdej chwili może być otoczony i „przeorany” przez „panów w blaszanych kapeluszach”. Wprawdzie nadal można tu było dostać miód i masło, białe pieczywo i polędwicę wołową, a dla specjalnych amatorów znalazły się też „rozpylacze dziecinne i dla dorosłych na lany poniedziałek i każdy inny dzień tygodnia”. Wszystko w dowolnym niemal zestawie marek i typów – jednak Kercelak coraz bardziej „blichował[52]”, ale też i coraz bardziej przypominał jeża z nastawionymi na wszystkie strony kolcami.

„U Antka” działy się sprawy wielkie. Dziś powiedzielibyśmy, że knajpa była jednym z ważniejszych ośrodków „cudu gospodarczego”. W małej salce jadłodajni załatwiano interesy w naszych czasach znajdujące się w gestii kilku chyba ministerstw. Decyzje podejmowano w ciągu kilku minut, bez powoływania kolegium czy uzyskiwania zezwoleń banku na wypłaty w dewizach. Tu w odległości pięćdziesięciu czy stu metrów od knajpki zatrzymywały się wielotonowe cysterny z melasą, z której przetworzony bimber jeśli nie docierał na teren całego Generalnego Gubernatorstwa, to na pewno zaspokajał potrzeby Mazowsza, Kurpiów i Podlasia. Oczywiście część produkcji rozlana w butelki Monopolu Spirytusowego, a nawet w oryginalnych flaszkach niemieckich, wędrowała (za marki) do Rzeszy, stamtąd zaś szły aparaty fotograficzne Leica i Exacta, chemikalia, a jak dobrze poszło, to amunicja i broń.

Kiedyś partyzanci zgłosili zapotrzebowanie na kilka ton cementu. Żydzi w getcie dopominali się o chleb i granaty, o mąkę i rewolwery, mięso – natychmiast każda ilość towaru, transportem własnym lub wypożyczonym za łapówkę u Niemców, docierała do klienta. Królowało tu przedwojenne zawołanie Stefana:

– Nie ma glika bez ryzyka!

Przy skromnym, ceratą krytym stoliku, można było usłyszeć takie rozmowy:

– Potrzeba sześć mundurów organizacji Todta[53], auswajsy, karty urlopowe, marszbefele[54] i wojskowe karty na żarcie. Kierunek Włochy.

– A na cholerę że im ta wycieczka?

– Mają świnki[55], chcą przywieźć trochę jedwabiu, pończochy…

– Niemiecki znają?

– Nie.

– Samobójcy.

– Jakie samobójcy? To odczajniaki z Marymontu[56], już trzeci kurs robią.

– I wszyscy żywe wracają?

– Czasami.

– A co z niemieckim?

– Mówią, że kochają Hitlera i jako takie na ochotnika zapisali się do Todta.

– I teraz wracają do Rzymu, do mamusi? Jaki szkop w to uwierzy?

– E, wszystko jest kryte. Mają auswajs, że za dobrą pracę, jeszcze do tego za walkę z partyzantami przeniesieni zostali do Włoch jako wzorowe.

– Ale ślizgawka!

– Odczajniaki!

– Dobra. Mundury mogą se sami skombinować na Wołówce u Lalucyny. Ona zaprowadzi ich do Romka-krawca, to nie moja sprawa, ja ciuchami nie handluję. Reszta tutaj za miesiąc. Aha! Powiedz im, żeby nie obżerali się czekoladą jak te kozaki, co dwa miesiące temu pojechali do Norwegii i nadrukowali sobie do cholery czekoladowych kartek. Od Warszawy po Oslo nie było Meinla, żeby po kilo, dwa czekolady nie wyfasowali. Gnojki byli takie nachalne, że jak ich po pijanemu okradli, to poszli do żandarmerii na skargę. Dopiero moja robota ich uratowała. Bo lepszej lipy auswajsowej w całej Warszawie nie znajdziesz.

„U Antka” Stefan załapał się na robotę wykidajły. Z Żelazną Bramą zerwał, bowiem straciła ona swój poprzedni charakter. Targowisko upodobali sobie różni Stamm[57]– i folksdojcze, a także różni „łobuzi”, którym to mianem określano zwykle lumpa-pijaczynę bez godności, zdolnego do każdego świństwa, któremu można było gębę oklepać, a ten nawet najmniejszego nie przejawiał żalu. Wykidajłą został Stefan nie dlatego, że goście barłożyli lub zbyt wnikliwie badali jakość bimbru. Kiedy czasem było takie podejrzenie, Antek odpowiadał z godnością:

– Karbidówki tu się nie podaje, a białe lachy w lokalu obok – że niby można było pić bez obawy, że się oślepnie.

Na takie numery lokal był to zbyt poważny i żadne tam „Góralu, czy ci nie żal?” rozlegać się prawa nie miało. No chyba że zajrzała tam jakaś przechodząca patrolka. Wtedy co innego. Knajpa swój przepisowy wygląd mieć musiała. Zdarzali się jednak faceci, którym nagle antkowa grochówka, flaczki, pyzy czy golonka zapachniały i wtarabaniali się[58] z pieśnią na ustach.

Takie wycieczki rozkosznych alkoholików robiły nawet dobrą firmę lokalowi. Czasem jednak temperatura zbytnio się podnosiła. Ktoś zaczynał zawodzić „Karpacką Brygadę”, jego koleś zrywał się od stolika, krzycząc, że nie ma czasu, bo musi iść na Berlin, a jeszcze inny wyciągał rewolwer, proponując Antkowi, że albo mu zamiast rachunku sprzeda parabellum[59] albo może, w drodze wyjątku, zabić mu folksdojcza, jeśli mu który szczy do zupy. Wtedy Stefan pochylał się nad stolikiem i łagodną perswazją w ojczystym języku tłumaczył, że powinni opuścić lokal. Tego, co miał parabellum, wyprowadzało się na małe jasne do pobliskiej ubikacji i zabierało broń. Rozrabiaka trzeźwiał wtedy z reguły w tempie przyspieszonym. Bowiem, jak twierdzą znawcy przedmiotu, nic tak nie zwalcza skoków alkoholu w organizmie, jak widok własnego rewolweru w cudzych rękach.

– Przyjdź, pacanie, jutro po żelazko. Z mamusią! A jak nie, to oddam dzieciom, niech się pobawią – kończył Stefan sprawę.

Moja przyjaźń ze Stefanem zaczęła się chyba w dniu awantury z chłopakami z ulicy Wolność. Podziwiałem nie tylko siłę Stefana i posłuch wśród, bądź co bądź, wytrawnych cwaniaków, którym nawet „praca z kosą”[60] nie była obca. Do tego jeszcze dochodziła osobista wdzięczność. Bo gdyby nie Stefan i z uzębieniem mogło być gorzej, a i nie wszystkie żebra zostałyby na swoim miejscu. Od tamtych, zdawało się, jakże odległych czasów minęło około trzech lat. Stefan wprawdzie był za „wykidajłę” „U Antka”, mając zapewniony talerz niezłej grochówki z liczącą się wkładką, ale nie dopominał się już o Rinaldo Rinaldiniego czy Rocambola. Chociaż wiedział, że ma zaległości w Marczyńskim, Nasielskim czy Romańskim, nie szukał już tych książek, rozglądając się raczej za prasą konspiracyjną niż za kryminałami.

Mimo że piętnastoletnia chyba różnica wieku między mną i Stefanem pozostała, to przecież trzy lata okupacji mocno ją zatarły. Z młodego, nie stroniącego od rozróbek i bijatyk uczniaka, dojrzewałem do konspiracji. I chociaż niewiele teraz mówiłem, a jeszcze mniej informowałem Stefana o tym, co robię, przyjaźń i wzajemna sympatia niezauważalnie a systematycznie rosły z dnia na dzień. Stefan chyba już zapomniał, jak to przed paru laty był autorytetem w sprawach awantur i rozjemcą w łobuzerskich nieporozumieniach. Inne nadeszły czasy. Cukierkowa loteria też przeszła do jakichś dawnych, zdawałoby się, zamierzchłych, zamglonych wspomnień. Ja również niemal jak o snach z dzieciństwa myślałem o tych czasach, kiedy stojąc przed nauczycielem, zbierałem myśli, aby odpowiedzieć na pytanie, co to jest współczynnik kątowy funkcji linii prostej lub by pod groźbą dwójki charakteryzować geometryczny dorobek Talesa z Miletu. A ile choler dostało się Cezarowi za to, że zachciało mu się napisać pamiętniki, że to „Galia est omnis divisa in partes tres...”.

Mimo że mieszkaliśmy w jednej kamienicy, widywaliśmy się rzadko. A już na pewno rzadziej niż przed wojną. Obaj zaaferowani, obaj zajęci własnymi sprawami, na zdawkowe „co słychać” odpowiadaliśmy jak to było wtedy w modzie:

– Bębenek – nawiązując w ten sposób do jakże popularnego w czasach okupacji sygnału radia londyńskiego.

Kiedyś Stefan poprosił, abym zastąpił go w interesie.

– Stefan! Co ty? Nie dam rady.

– Dasz. Ja przez kilka dni będę chodził do sądów i ktoś musi mnie zastąpić. „U Antka” spokojni ludzie. A jak trafi się barłoga, każdy na sali pomoże ci go uciszyć. Nie nawalaj w parafię.

I tak ja, były gimnazjalista, awansowałem na „dochodzącego wykidajłę”. Pijaczki zachowywali się jak trzeba, bo też i traktowani byli przez właściciela lokalu, pana Antka, ulgowo. Ale tylko do pewnego momentu. Krecha przekroczona[61], won z lokalu. Nie przeszkadzaj innym w konsumpcji i w interesach. Poważni koncmani w ogóle nie sprawiali kłopotu. A z „blaszanymi kapeluszami” wyśmienicie dawałem sobie radę, jako że w gimnazjum uczyłem się niemieckiego, a znajomość języka pogłębiłem do niemal płynnego opanowania, czytając prasę niemiecką. I jak trafił do barłoga, to też specjalnego kłopotu nie było. Miejscowi znali, wiedzieli, kercelakowski jestem rodak i draki ze mną robić nie należy. I już po kilku tygodniach spotkało mnie coś w rodzaju awansu służbowego. Moje imię Konrad przerobione zostało na bardziej konspiracyjne

– Kondek. Było to wyrazem uznania i szacunku, bo w naszej ówczesnej ferajnie na pseudonim (w przeciwieństwie do przezwiska) trzeba było sobie zasłużyć.

Również nowe typki, co to w czasie wojny przypłynęli „z gównem pod prąd”, tuliły przy mnie uszy, bo to taki szczawik, a podskakuje chyba ma cholerną „zastawę”[62].

Któregoś dnia „U Antka” zjawił się Stefan.
– Kondek, urządzam przyjęcie z alkoholem.
– Rany boskie, Stefan! Wojna się skończyła?
– Idzie o to, aby jednego, może dwóch szkopów nauczyć śpiewać „Góralu, czy ci nie żal”.
– Stefciu! Coś ty? Tyfus podłapałeś? Masz gorączkę? Gadaj jasno.
– Trzeba by się zbratać z wachą na Żelaznej.
– Aleś se znalazł brata! A mówiąc poważnie, za szmugiel do getta się bierzesz?
– Nie o to idzie.
– Łebki?
– Nie mówię tak, nie mówię nie.
– Gadajżesz, do cholery!
– Opowiadałem ci o tym tragarzu Chaimie. Wiesz, że czasem w sądach się widujemy.
– Tak. Nawet wiem kiedy. Jak tylko włosy na folksdojcza przyliżesz, buty wyczyścisz i pod krawat się zameldujesz, od razu widać, że walisz do sądów.
– No właśnie. Ale ostatnio Mefisto zrobił się taki jakiś niewyraźny. Może dostał cynk, żeby uważał? A może wiarę zmienił?
– E, chyba nie. Ja też go trochę znam. On tak samo kocha szkopów jak ty czy ja. Pewnie pogoda się w sądach zmieniła. Ja mogę ci teraz powiedzieć, skoro widzę, żeś sąsiad do sprawy, dawniej mogłem jednego, a nawet parę łebków przeprowadzić na naszą stronę. Ale teraz zrobiło się tak jakoś smrodliwie…
– Jak zwał, tak zwał. Ale Chaim naciska, że cała orkiestra chce iść do lasu czy też na jakieś meliny. A przez sądy nie przejdą…
– To ty teraz chcesz przekonać żandarmów, że powinni przejść na przyzwoitych ludzi i równym krokiem, śpiewając „Góralu, czy ci nie żal”, na czele oddziału żydowskich tragarzy iść do partyzantki? Ale kino!
– Nie twoja sprawa. Idzie o to, że ty umiesz trochę szprechać po niemiecku. Gębę masz taką bezpokutną, okularki. Będą mieć zaufanie. Postawisz im, co trzeba, Antek ładnie obsłuży. Schab będzie i po parę kilo słoniny na szkopskie ryło…
– Ale na waszej drodze stoi żydowska milicja i nasza granatowa[63]. To oni co? Będą tym tragarzom salutować?
– To już sprawa żandarmów. Przecież wszystkich do Antka nie zaproszę. Trzeba gadać z głową, a nie z dupą. Reszta nie twoja sprawa. Ty masz robić wrażenie. Że niby polska gościnność…
– Aleś mnie wrobił…

***

Po kilku dniach do tankowej knajpki[64] weszło dwóch żandarmów. Przepisowo, z żandarmskim fasonem. Krok powolny, długi, mocne uderzenia podkutych butów o drewnianą podłogę. Rozejrzeli się po salce życzliwie, jakby szukali kogoś znajomego. Siedzący przy stolikach goście nawet nie podnieśli głów. Tylko dwóch? Policyjnych syren nie słychać, żadnego szumu na ulicy nie ma. Pewnie za interesem.

Wprowadzony ogólnie w sprawę pan Antoni z przerzuconą przez ramię czystą ściereczką, wyczekując, stanął za kontuarem. Jeszcze bardziej reprezentacyjnie wyglądała w jego ręku półlitrowa butelka z ostentacyjnie naklejoną kartką monopolu spirytusowego.

– Monopol, monopol – zachwalał zawartość butelki, jako że na tym słowie kończyła się jego znajomość niemieckiego. Po czym rozlał ostrożnie i dostojnie, jakby celebrując święty jakiś rytuał, zawartość butelki do czterech musztardówek.

– Matka! – zwrócił się pan Antoni do zarządzającej kuchnią małżonki – Przydałoby się coś zakąsić.

Żandarmi z niedowierzaniem przyglądali się imponującym swą wielkością musztardówkom. Takie „kieliszki" wyraźnie im zaimponowały. Antek ruchem dłoni zaprosił do stolika, a Stefan skinieniem głowy dał znak, abym się ruszył. Dwa kotlety schabowe z kapustą podsunęła pani Antosiowa. Teraz zaczynała się moja rola – znałem niemiecki. Trzeba jednak było uważać, aby żandarmów nie spłoszyć, aby wszystko było naturalne, przyprawione przyjacielskim dla Niemców uśmiechem. Na moim stoliku Antek postawił jeszcze jeden talerz ze schabowym i oczywiście pełną musztardówkę. Takim samym ruchem, jak poprzednio żandarmów, zaprosił mnie do konsumpcji. Stefan, udając, że zwraca się do pana Antoniego, powiedział pod moim adresem: „Pij i udawaj, że to lemoniada, trzeba wejść szkopom na narodową ambicję". Jeszcze do niedawna uczeń gimnazjalny, odkroiłem kawał mięsa, nałożyłem odpowiednią ilość kapusty, przełknąłem i powolnym, jakby znudzonym ruchem sięgnąłem po musztardówkę. Piłem powoli, smakując z demonstracyjną przyjemnością.

Niemcy z uwagą przyglądali się młodemu człowiekowi, dla którego mocna wódka stanowiła jakby najniewinniejszy napój. Sami jednak nadal z respektem patrzyli na stojące przed nimi musztardówki. Pan Antoni, widząc pusty kieliszek, nalał mi ponownie. Zmiatając ze stolika okruchy, szeptem powiedział:

– Stań na uszach, a szkopy muszą pociągnąć. Zagadaj coś...

Znów zabrałem się do schaboszczaka, równocześnie kątem oka obserwując żandarmów. Teraz szybko trzeba zrobić w żołądku podkład pod następną musztardówkę.

– Panie Antoś! Jeszcze dwadzieścia deka zwyczajnej na gorąco. Tylko z chrzanem!

– Już panu służę – odpowiedział pan Antoni na pół z podziwem, na pół z nutką zawodu w głosie, że tyle dobrego jadła pójdzie na koszt firmy.

– Prosit![65] –powiedziałem w kierunku żandarmskiego stolika, wznosząc do góry musztardówkę.

Niemcy, aby nie stracić twarzy, podnieśli także i swoje „kieliszki".

– Prosit!

– Bis auf den Grund leeren[66]!

– Bis auf den Grund[67]– niepewnie odpowiedział jeden z żandarmów. No i zaczęło się. Antoni machał serwetką i nie wypuszczał butelki z ręki. Schaboszczaki mijały się ze zwyczajną na gorąco. Ja zaś w najlepsze rozsiadłem się przy żandarmskim stole i poiłem ich bimbrem jak oseski mlekiem. Wprawdzie butelka nadal była „legalna", monopolowa, a wódka, jeśli czymś różniła się od oficjalnej, to tylko tym, że pan Antoni dość rytmicznie schylał się pod swój kontuar, sięgał do stojącej tam bańki po mleku i uzupełniał zawartość butelki.

– Teraz wałówka i adieu fruziu[68] – powiedział w pewnym momencie jakby do siebie siedzący w kącie przy stoliku Stefan. – Koniec. Ani słowa o interesach. Jutro albo pojutrze na pewno wrócą, to pogadamy.

Pan Antoni przyniósł rachunek. Niedbałym ruchem wyjąłem z kieszeni zwitek zmiętoszonych banknotów i zapłaciłem. Żandarmi z ociąganiem również próbowali sięgać do kieszeni, ale pan Antoni ruchem zamaszystym, dumnym i wykluczającym dyskusje na takie tematy w dobrym towarzystwie cofnął się, wsadził ręce do kieszeni i powiedział w moim kierunku:

– Zagadaj do nich, że dostają prezent od firmy, bo my ich bardzo lubimy. Trajluj, że to wałówka na drogę.

Kładąc zaś przed każdym kilkukilogramową, wcześniej przez pana Antosia przygotowaną paczkę, zwrócił się po polsku bezpośrednio do Niemców:

– Panowie Niemcy. Trochę szpek[69], trochę kiełbasy i po skromnej ćwiartuli...

Przetłumaczyłem. Pan Antoni z miną uszczęśliwioną, cały w uśmiechach znów zwrócił się do mnie:

– A teraz zabierz ich stąd, bo na te mordy patrzeć nie mogę. Jeszcze mi zaszargają opinię.

Robiło się coraz później, nadchodziła godzina policyjna. Klienci od sąsiednich stolików wołali o rachunek i opuszczali knajpę. Ja zaś, tłumacząc, że mieszkam daleko na Pradze także zabierałem się do wyjścia.

– Aufwiedersehen!

– Aufwiedersehen! Wir kommen noch[70] – zapewniali żandarmi. Jeszcze tylko porozumiewawcza wymiana spojrzeń ze Stefanem na temat, jak poszło. Podniesione do góry brwi Stefana mówiły: „Chwilowo – w porządku, co dalej – zobaczymy".

Tuż za drzwiami knajpki wzięło mnie. Przytrzymując sam siebie, krok za krokiem zmierzałem do mieszkania rodziców. Drzwi otworzył ojciec:

– Co się stało? Gdzieś się tak uchlał?

Zbierając wszystkie siły, próbowałem opowiedzieć przebieg spotkania z żandarmami. Mówiłem coś o Chaimie, przekupieniu niemieckiej wachy… Ojciec przerwał te chaotyczne wywody:

– Idź przespać się do Stefana. Trzeba tylko, aby matka zobaczyła cię w tym stanie. Gdzie teraz jest Stefan?

– „„U Antka"".

Kiedy zwalony na łóżko Stefana chrapałem snem dyplomowanego alkoholika, Stefan rozmawiał z ojcem. Jak i kiedy się dogadali, jak nabrali do siebie zaufania, zostanie ich tajemnicą. Czasy bowiem nie sprzyjały zbędnej gadaninie. Tym bardziej że „Wicek", taki bowiem kryptonim od lat miał mój ojciec, reprezentował tradycje konspiratorskie sięgające jeszcze okresu tajnego nauczania za caratu, 1905 roku i okresu Pierwszej Wojny Światowej. I teraz te najświeższe, obejmujące kilka już lat hitlerowskiej okupacji.

Nazajutrz, z głową jak przysłowiowa karmelicka bania, bo tak naprawdę uczta z żandarmami to był mój pierwszy w życiu kontakt z wódką, ojciec ogólnikowo wspomniał, że rozmawiał ze Stefanem, że poruszali różne sprawy.

– Nic z tego nie rozumiem.

– To bardzo dobrze. Może jeszcze ktoś się do was dołączy. Ale to już głowa Stefana. Tylko że to picie z żandarmami zaszczytu wam nie przynosi.

– Ale przecież…

– Wiem. Jeśli każdą musztardówkę można przeliczyć na kilka istnień ludzkich, to trzeba. Zresztą robota była chyba niezła, bo te szkopy znowu przyszły. Właśnie siedzą „U Antka" i chyba coś załatwiają.

Stefan ani słowem nie powracał do wczorajszej libacji. Dopiero pod wieczór odezwał się:

– Tam do ciebie przyjdzie jakiś gość, pogadaj z nim.

Zajrzałem do domu i spytałem, czy nikogo do mnie nie było. Ojciec odpowiedział:

– Jak kto przyjdzie, dam ci znać. Wiem, gdzie cię szukać. Znaczyło, że „Wicek" znał sprawę.

Do rodziców wpadałem na krótko, kilka zaledwie razy w tygodniu. Tak było bezpieczniej. Ojciec urządził w mieszkaniu podpunkt prasy podziemnej, od czasu do czasu składali mu wizyty różni przedwojenni działacze polityczni. Należało więc w myśl elementarnych zasad konspiracji ograniczyć do minimum kontakty nawet z rodzicami. Bo to nigdy nie wiadomo, co za sobą można przywlec. Ale główną przyczyną było, że wiele czasu zabierały mi najprzeróżniejsze okupacyjne obowiązki. Często nawet wieczorem nie wiedziałem, w którym z zakonspirowanych lokali spędzę noc. Najwięcej czasu poświęcałem wszystkiemu, co związane było z bliskim sąsiedztwem getta odległego zaledwie o dwa przystanki tramwajowe. Kiedyś, gdy już po godzinie policyjnej zjawiłem się u rodziców, uciąłem sobie z ojcem rozmowę „na aktualne tematy". „Wicka" szczególnie interesowało przejście przez sądy. Było ono chyba najprostsze, ale było też czymś w rodzaju mocno ryzykownej loterii, wygrana zależała od humoru lub częściej, od wysokości łapówki, jaką otrzymał żandarm.

– Najpierw trzeba odnaleźć woźnego sądowego zwanego przez wtajemniczonych Mefistem z racji ciemnej cery, czarnych włosów i groźnie sterczących wąsów. A potem zapytać o Kopernika.

– Nie rozumiem – z zainteresowaniem i pewnym zdziwieniem wtrącił ojciec.

– To taki á la szyfr. Jeśli zagadnięty Mefisto bezradnie rozkładał ręce, oznaczało, że żandarm łapówki nie bierze. Jak Kopernik na warszawskim pomniku, który z cyrklem w jednym ręku i z kulą ziemską w drugiej nawet gdyby chciał, łapówki wziąć by nie mógł, jako że obie ręce ma zajęte. „Wicek" uśmiechnął się i pomyślał może: „Inna ta dzisiejsza konspiracja niż ta z 1905 roku. Dawniej wypisywano ideały i hasła na sztandarach, a dziś ideały nosi się w sercu, sztandary w konspiracji czekają na zwycięstwo, a codziennej, nieporównywalnie niebezpieczniejszej robocie towarzyszy jeszcze humor i zgrywa".

– Ale te sądy to bardzo cienka nitka. Wystarczy, aby Mefisto dostał kataru albo trafił się żandarm służbista, można zawalić poważną robotę – skomentował.

– Jak będzie potrzeba, to znajdzie się parę innych przejść – pocieszyłem sam siebie.

– A ty tak wciąż koło getta się kręcisz? Nie masz znajomych w śródmieściu?

– Różnych ludzi się zna...

– A jakby trzeba kogoś ze śródmieścia do getta?

– Samobójca? Wariat?

Ojciec pominął milczeniem moją niezbyt mądrą uwagę.

– Tam gdzieś koło Placu Zbawiciela jest taka ulica Worska czy Gaworzyńska...

– Nie wiem. Kręcę się czasem koło Placu Zbawiciela, ale o żadnej Gaworzyńskiej nie słyszałem.

„Wicek" chwilę milczał, a potem jakby tylko cień uśmiechu pojawił się na jego twarzy. Ja również milczałem. Skąd ojciec mógł wiedzieć o zakonspirowanym lokalu na Jaworzyńskiej, gdzie właśnie ukrywała się moja Halina?

***

Jako się rzekło, w domu rzadkim byłem gościem. Rodzice w pełni rozumieli, co robił ich syn. Uwielbiająca mnie moja matka przyzwyczajona była do konspiracji jeszcze z okresu sprzed pierwszej wojny światowej i po prostu uważała, że takie właśnie jest życie. Wysyłanie paczek dla męża najpierw na carski Pawiak, później do więzienia na Daniłowiczowskiej uważała za coś najzwyklejszego pod słońcem. I tylko smutek w oczach, kiedy patrzyła na syna, mówił o tym, co działo się w jej sercu. Ale nigdy o nic nie pytała, nie próbowała zatrzymać. Sama ciężko chora, nie wstawała z łóżka. Ojciec handlował kapeluszami na

Kercelaku i dopiero późnym wieczorem, po powrocie do domu pichcił dla obojga obiad z kolacją. Kiedyś, bodajże wczesną wiosną 1943 roku, stojący przy kuchni „Wicek" odwrócił głowę i spytał:

– A ten twój Mefisto jeszcze funkcjonuje?

– Chodzi jak zegarek.

– Pewniak?

– Jak do tej pory ludzie źle o nim nie mówią...

Ojciec przewracał odgrzewane na patelni ziemniaki, pod kuchenną płytę podkładał jakieś gałęzie i odpadki drewna:

– A gryps do getta może dostarczyć?

– Sam to nie. Ale komuś zaufanemu może wręczyć.

– Idzie o to, że kontakty jakoś dziwnie się pourywały...

– Stefan też ma jakieś możliwości.

– Wiem, ale na cięższy towar. Dogadał się z tymi szkopami z wachy i poniżej pięciu ton nie ma interesu. Ciężarówki, ciężkie platformy konne. Jak dobrze idzie, nieraz po piętnaście, dwadzieścia ton mąki, cukru, warzyw, mleka potrafi przerzucić.

– Taka cicha woda, a jaki hurtownik...

– Kręcą razem z Chaimem. Ale teraz sytuacja poważnie się zmieniła. Wokół getta pojawili się Ukraińcy, Łotysze, esesowcy. Teraz trzeba ratować ludzi.

Kartofle ze skwarkami roztaczały smakowity zapach. Obok stał talerz białego barszczu. Mama z miłością patrzyła, jak szybko i w milczeniu malała postawiona przede mną kopiasta, suto okraszona sterta jadła.

– Za dwie godziny godzina policyjna. Jak dobrze wyciągniesz nogi, to do sądów obrócisz – odezwał się ojciec.

– Ale na noc wrócisz? – z troską zapytała mama.

– Jasne.

Sprawa nie wymagała żadnego specjalnego wysiłku ani konspiracyjnej czujności. Mefisto gryps przyjął i zaręczył, że jeszcze dziś będzie „gdzie trza".

„U Antka" wszystko grało. Nawet najbardziej „zaperfumowani alkoholicy" fason trzymali, wiedząc dobrze, że jak ktoś im ręcznie przemówi do rozumu, nikt im tego nie odbierze, a kaca będą mieli na długo. Pewnego dnia, przy tankowym bufecie stał wysoki barczysty jegomość z musztardówką w jednej ręce i dziesięcioma dekami gorącej kiełbasy na widelcu w drugiej. Pytająco spojrzałem na Antka. Ten nieznacznie wzruszył ramionami: ki diabeł? Przed godziną policyjną obca gęba wśród porządnych klientów?

– Panie Antoś – zwróciłem się do szefa lokalu – Daj pan porcję flaczków, bo godzina się zbliża, a muszę zdążyć do chaty.

W milczeniu, obserwując nieznajomego, czekałem na zamówione danie. Antek z serwetką przewieszoną przez ramię postawił na stole talerz flaczków.

Jadłem powoli, nie spiesząc się. Chciałem sprawdzić obcego. Przecież zbliżała się godzina policyjna. Ja do domu zdążę, bo to dwie minuty drogi, ale jak zachowa się amator gorącej kiełbasy?

– Panie szefie, bułeczkę poproszę, tylko szybko bo godzina nadchodzi.

– Się robi.

Minuty upływały, godzina policyjna zbliżała się, flaków w talerzu powoli ubywało, a nieznajomy przy bufecie najspokojniej zamówił następną porcję kiełbasy. Sytuacja była niejasna.

– Panie szefie, będę płacić – zwróciłem się do Antka.

Ten powoli podszedł do mojego stolika, zainkasował należność i pociągał nosem. Mogło to oznaczać jedno, coś śmierdziało.

– Zjeżdżaj stąd, a ja go zatrzymam i będę się guzdrał z rachunkiem – szeptem odezwał się Antek.

Wstałem i szybkim krokiem skierowałem się do domu. W oknie mieszkania rodziców (mieszkali na parterze) zobaczyłem ojca pilnie obserwującego ulicę. W tej sytuacji należało najpierw dobrze się rozejrzeć, zanim wejdę do domu. I zamiast do mieszkania skierowałem się na podwórko, gdzie mieściła się ubikacja, demonstracyjnie trzymając się za brzuch. Ale na podwórku, oczekując mnie, stał już ojciec.

– Idź do Stefana. Będziesz miał gościa. Możesz z nim mówić. Sprawa poważna.

Po ciemnych, drewnianych schodach wdrapałem się na czwartaka i usiadłem na wyrku Stefana. Kto może złożyć mi wizytę na kilka minut przed godziną policyjną?

Wkrótce drzwi powoli uchyliły się i do pokoju wszedł barczysty amator kiełbasy sprzed antkowego bufetu. Zaskoczenie było pełne, tym bardziej że nieznajomy, nawet kiedy bez zaproszenia usiadł na krześle, nie wyjmował ręki z kieszeni.

– Jestem od „Wicka"

– Od jakiego „Wicka"? Wacka to znam, ale Wicka sobie nie przypominam...

Nieznajomy uśmiechnął się:

– I Stefana nie znasz?

– Stefanów to paru znam. Nawet z jednym chodziłem do szkoły...

– A Chaima?

– Z Żydami się nie zadaję.

Nieznajomy przestał się uśmiechać. Wstał z krzesła, wyciągnął rękę na przywitanie i powiedział:

– Zygmunt jestem.

– Konrad. Bardzo mi przyjemnie.

– No dosyć tej zabawy – odezwał się – Ojciec wam mówił?

– O, mówił. Wiele rzeczy. Jak byłem mały, to różne bajki mi opowiadał...

– Rany boskie! Czy mam zejść do „Wicka", aby poświadczył, że możesz ze mną gadać?

– A idź pan gdzie chcesz. I daj człowiekowi odpocząć. Przychodzisz pan przed godziną policyjną, gadasz o jakichś Żydach i jeszcze udajesz księdza, abym się przed panem spowiadał.

– Byłem na Jaworzyńskiej...

– Nie znam żadnej pani Jaworzyńskiej.

Coś mi zaczęło świtać w głowie. Niedawno ojciec wspominał coś o Placu Zbawiciela, a Jaworzyńska to zaledwie pięćdziesiąt metrów od Placu Zbawiciela. Wyglądało, że Zygmunt na pewno jest tym, o którym mówił ojciec. Sprawa jednak była zbyt poważna. Postanowiłem cierpliwość Zygmunta jeszcze raz wystawić na próbę.

– To może u tej pani Jaworzyńskiej zna pan też i dzieci?

– Nie dzieci, tylko dziecko. Nazywa się Marek i ma kolegę Stasia. Teraz ja wyciągnąłem rękę do Zygmunta.

– Czy mógłby mi pan, ot tak dla czystego sumienia, powiedzieć jak nazywa się ojciec Marka?

– Marek jest synem hrabiego Romana Rozwadowskiego, który obecnie przebywa w oflagu.

Protekcja ojca, znajomość Stefana, Marka Rozwadowskiego, a przede wszystkim Stasia Skripija (organizatora i uczestnika napadu na bank Komunalnej Kasy Oszczędności celem odebrania miliona złotych, jakie Niemcy nałożyli jako kontrybucję na mieszkańców Warszawy) usunęły resztę moich wątpliwości. Skripij o tyle był kolegą siedmioletniego Marka, że obaj bardzo się lubili, zastępował mu ojca i również był oficerem, tylko że zwolnionym z oflagu „ze względu na zły stan zdrowia".

– W porządku, możemy pogadać.

– Interesuje mnie, jakie są możliwości komunikowania się z gettem. Idzie mi szczególnie o możliwości przerzucania ludzi i kilkunastokilogramowych paczek.

W owych czasach o przejściach do getta z oczywistych względów nie rozpowiadało się zbyt szeroko. Ale dla kogoś, kto tak jak ja niemal codziennie „skakał" do getta, przejścia nie stanowiły głębokiej tajemnicy. Wystarczyło dobrze się rozejrzeć, pogadać z jednym lub drugim z „wolskich rodaków", a że i ja, i mój ojciec reprezentowaliśmy firmę „odpowiedzialną", stosunkowo łatwo było uzyskać odpowiednie informacje. Musiał o tym wiedzieć także i Zygmunt, skoro w takiej właśnie sprawie pofatygował się do mnie na czwarte piętro. Ale co Zygmunta mogła obchodzić ulica Jaworzyńska? Nic się tam specjalnego nie działo. Staś Skripij opiekował się małym Markiem i lepił żołnierzyki z plasteliny (o napadzie na bank KKO dowiedziałem się nieco później). Rozwadowska usiłowała handlować ciasteczkami, które piekła razem z mieszkającą wtedy na Jaworzyńskiej Haliną, a których nikt nie chciał kupować, bo twarde były jak warunki Churchilla wobec Hitlera. Ale Zygmunt miał tak mocne polecenie, że wątpliwości być nie mogło. A że nie wszystko było dla mnie jasne, przecież to jedna z ważniejszych zasad konspiracji, aby wiedzieć tylko tyle, na ile to konieczne.

– Najłatwiej jest przejść przez sądy... – zacząłem, ale Zygmunt natychmiast przerwał.

– Sądy znam dobrze, ale teraz ich wartość jako punktu przerzutowego spadła prawie do zera. Po stronie żydowskiej wejścia do sądów obstawione jest szaulisami[71], Ukraińcami i SS.

– Jest przejście na rogu Wroniej i Ogrodowej. W prywatnym mieszkaniu, w suterenie. Po dwadzieścia złotych od łebka. Przez szafę do piwnicy, stamtąd dziurą między rurami kanalizacyjnymi i już jest się w getcie. Tylko że człowiek utytła się jak nieboskie stworzenie...

– To również miniona sprawa. Po ograniczeniu getta Ogrodowa nie sięga żadnej zamieszkałej przez Żydów ulicy. Zresztą już przed paroma miesiącami była tam nieprzyjemna wpadka. Wygarnęli ładnych parę osób.

– Jest jeszcze droga przez garbarnię Pfajffera na Okopowej – kontynuowałem – Ale to droga dla ludzi cierpliwych i o silnych nerwach.

– Słucham, słucham...

– Miejscowy nocny stróż wpuszcza na teren garbarni tylko tuż przed godziną policyjną, a co najśmieszniejsze, wyłącznie chudych. I nie wolno im mieć większego bagażu. Pamiętam, jak kiedyś wyjaśniał jakiemuś nic nierozumiejącemu grubszemu, starszemu panu: U mnie przejście tylko dla turystów, ciężki majdan sprawia porutę[72], a także powoduje trudności komunikacyjne... U Pfeiffera jak w Orbisie[73], ciężki majdan jako trefny i drażniący szkopskie oko w mojej firmie figurować nie ma prawa.

– O co mu szło?

Uśmiechnąłem się zadowolony, że miałem przynajmniej jedną, chociaż mało znaczącą informację, o której Zygmunt nie wiedział.

– Później na terenie garbarni oczekiwało się godzinę lub dwie, zależnie od humoru pana ciecia i... następował początek ceremonii. Najpierw inkasował po dziesięć złociszy od łebka. Następnym punktem programu było, że strupel znikał gdzieś w zakamarkach, a całe towarzystwo, nieraz i ze dwadzieścia osób, czekało na jego powrót. Co bardziej „cykoryjni" rozglądali się z niepokojem, czy gdzieś zza jakichś skrzyń czy belek nie pojawią się żandarmi, ale starzy kursanci byli spokojni. Wiedzieli, że albo za kilkanaście minut, albo może i za godzinę strupel się pojawi. Nikomu się nie spieszyło, bo wszak była godzina policyjna i znaleźć się w getcie o dziesiątej czy dwunastej w nocy na pustej ulicy to było obojętne – i tak godzina policyjna. Spacer zasadniczo różnił się od majówkowego spacerku w Saskim Ogrodzie w południe. Wreszcie zjawiał się właściciel interesu, taszcząc kilka części dwu – lub trzymetrowej skonstruowanej przez siebie

drabiny. Następnie, najpierw w milczeniu, a później klnąc pod nosem Niemców, Żydów i Polaków, którzy bawią się w nocną turystykę, zaczynał szukać po całym gospodarstwie metalowych rurek służących do połączenia poszczególnych elementów tego, co docelowo miało spełniać rolę drabiny. „Panie! Trzymaj pan toto do cholery, bo cały interes się rozrajbuje" – wołał w pewnym momencie do któregoś ze swych nocnych gości. Drabina wydłużała się. Wszyscy przenosili ją pod wysoką chyba na dwa piętra szczytową ścianę. Cienka, składana, oparta o mur drabina wyginała się jak trampolina. Oczywiście wejść na nią mógł tylko ktoś niewielkiej wagi i z minimalnym bagażem. A stojący na dole w ciemnościach przyglądali się ekwilibrystyce, rozważając – spadnie czy nie spadnie. U góry drabina oparta była o zbawczy gzyms szerokości jednej cegły. Miał on kilka metrów długości, które trzeba było przebyć już nie klejąc się do muru, ale po prostu się weń wciskając. Utrata równowagi groziła spadnięciem i co najmniej ciężkim kalectwem. Ostrożnie, stopa za stopą, człowiek posuwał się do zbawczego narożnika. Tam, po drugiej już stronie stała żydowska drabina. Solidniejsza, bo jej właściciel nie musiał się tak bardzo bać niemieckich kontroli jak kolega po drugiej stronie muru. Zresztą nic nie miał do stracenia, bardziej dbał o „orbisowski" komfort. „Aryjczyk" brał dziesięć złotych, Żyd też dziesięć i w ten sposób za dwudziestaka, na własne ryzyko przekradając się nocą przez jakieś śpiące żydowskie podwórko, lądowało się w okolicach Dzikiej czy Stawek. A że przecież to godzina policyjna, na miejscu było coś w rodzaju „hotelu". Za chleb, kawałek słoniny lub szczyptę masła (bo kto wybierał się do getta bez żywności) można się było przespać w mieszkaniu wskazanym w ciemności przez jakąś ledwo widoczną sylwetkę. Nie lubiłem tego przejścia. Składał się na to lęk przestrzeni, skomplikowane ceremonie ciecia, gimnastyka na tej jednej cegle, ale przede wszystkim to, że niewiele można było tamtędy przenieść. Zajmowało to praktycznie całą noc i działało tylko w jedną stronę, bowiem pan dozorca nie życzył sobie przyjmować na noc wracających gości. „Nie da rady, panowie turyści." – wyjaśniał – „Otwieram rano bramę dla rannej zmiany, a tu z garbarni, nad którą wisi niemiecka gapa, wywalają się turyści z gębami umorusanymi i w garniturkach nie pierwszej czystości. Co to? Aniołki? Z nieba sfrunęli? – poduma pierwszy lepszy fokstrot i – krewa. Śpij kolego w ciemnym grobie. U mnie jest jednokierunkowa kolejka turystyczna..."

Przejściem szybkim jest cmentarz żydowski. Prawdę mówiąc, to przejście jakby prywatne, awaryjne. Wacha, jak wiadomo, jest na rogu Okopowej i Gęsiej. Stoi tam dwóch albo czterech żandarmów, czterech żydowskich milicjantów i dwóch policjantów granatowych. Wacha ta na ogół była spokojna. Żydowscy milicjanci z rzadka tylko otwierają bramę, aby przepuścić przez „aryjską" Okopową wóz z ciałami ludzi zmarłych z głodu lub, wyjątkowo, jakiś zamożniejszy pogrzeb. Sztuka polega na tym, aby dostać się na cmentarz. „Najlepsze" było przeskoczenie muru cmentarza przy ul. Młynarskiej, ale do tego trzeba było mieć już pewne zdolności skoczka wzwyż. Skoczyć, błyskawicznie wylądować na wysokim pokrytym tłuczonym szkłem murze, następnie wylądować już na cmentarzu, błyskawicznie założyć wcześniej przygotowaną opaskę z gwiazdą Dawida, no i przede wszystkim błyskawicznie spenetrować teren. Często bowiem alejkami między grobami jeżdżą na rowerach z pistoletami gotowymi do strzału żandarmskie patrole. Tłumaczenie, że się pomyliło drogę, niewiele pomaga. Ważne też jest, aby szybko upatrzyć sobie miejsce na pozbycie się paczki z żywnością, bo jak by „nakryli" z wałówką, to już jak amen w pacierzu jest się na Himmelkomando. Ale jeśli wszystko poszło gładko, trzeba upatrzyć sobie pogrzeb i przyłączyć się do żałobników, przejść przez „aryjską" Okopową i w opasce, jak pan Frank przykazał, przekroczyć bramę już do właściwego getta. Tu wiele zależy od biglu i smykałki. Pamiętam, jak kiedyś ukryłem się przed patrolką w masowym grobie. Chleb, oczywiście uprzednio zapakowany w papier, przysypałem ziemią i szkopy mogli mi nafikać...

– Co jeszcze?– dopytał chciwie Zygmunt, a ja zdałem sobie sprawę, że bez przerwy gadam. Przełknąłem ślinę: – Jest też przejście na Stawkach przez plac-magazyn złomu i wszelkiego żelastwa, czynny tylko nocą. Ale tam przechodziłem zaledwie kilka razy w charakterze parasola...

– Co to znaczy?
– No, że niby jestem taki inteligencik, trochę naiwniak, ale nie szmugler.
– Dlaczego?
– Towarzystwo takie więcej bogobojne.
– Wyrażajcie się jaśniej.
– No, że niby jak tam wlazłem, to se pomyślałem: Kondek bój się Boga, gdzieś ty wlazł? Same oprychy i bandziory. Zdaje się, że to jest taka polsko-żydowska spółka do ograbiania szmuglerów.
– To nie wchodzi w rachubę...
– Acha! Tuż obok sądów jest jeszcze coś w rodzaju drugiego przejścia, na ulicy Białej.
– Tak...?
– Otóż na ulicy Białej jest nietypowy mur oddzielający getto. Taki z nie-heblowanych desek parkan sięgający aż do ulicy Ogrodowej. Tu również, podobnie jak na Młynarskiej, trzeba mieć kondycję: wysoko skoczyć i złapać się za deskę parkanu, podciągnąć się i przerzucić ciało na drugą stronę. Istniała też możliwość odnalezienia zamaskowanej w parkanie dziury, w którą należało wsadzić nogę tak, aby natrafić na stojące za parkanem, już po stronie żydowskiej specjalnie ułożone jedna na drugiej kilka cegieł i dopiero się odbić, aby wysokość, którą należało pokonać, była o tę kupkę cegieł niższa. Nieumiejętne odbicie powodowało, że cegły się usuwały i zamiast przez parkan leciało się do tyłu. Śmiechu było co niemiara, a czasem i strzelanina. Oczywiście paczki ze szmuglem lub jakiś worek przerzucało się wcześniej. Natomiast powrót przez Białą był o wiele prostszy. Wystarczyło, stojąc po stronie getta, rozejrzeć się przez szpary między deskami i uważnie spenetrować „aryjską" stronę ulicy. Kiedyś, pamiętam, byłem wtedy w gumowych pepegach, cholernie mi się spieszyło, zaryzykowałem więc skok na „aryjską" stronę tuż za plecami żandarma patrolującego ulicę. Zbaraniał, kiedy mnie zobaczył, bo przecież jeszcze przed chwilą nikogo tu nie było, a tu nagle widzi moją niewinną, uśmiechniętą gębę, i udało się.
– Słyszałem, że jest jeszcze jakieś przejście po linie, gdzieś na Elektoralnej czy Chłodnej... – powiedział Zygmunt.
– Aaa, to „Sopki Mandżurii". Tam dyrektorem jest pan Kazio... – No i?
– Pan Kazio był przed wojną pomagierem właściciela karuzeli na Wenecji. Puszczał w ruch maszynę, co grała walca „Na sopkach Mandżurii". Teraz wziął się za szmugiel. Ale to porządny chłop, każdemu, do kogo ma zaufanie, pozwala za darmo skorzystać z przejścia. Teraz awansował u nas na „dyrektora" i pseudonim sam się zrobił, „Sopki Mandżurii"...
– Po przejściu w którym miejscu ląduje się w getcie?
– Na podwórku jednego z domów na Ogrodowej, niedaleko gmachu sądów.
Zygmunt zamyślił się. Ze srebrnej papierośnicy, ozdobionej jakimś złotym monogramem z gotyckich liter, wyjął erseksa – papierosy R6 dostępne raczej wysoko postawionym Niemcom lub polskim partyzantom albo dobrze zarabiającym handlarzom czy waluciarzom – i powoli, zaciągając się dymem, zaczął przechadzać się po pokoju. Jego wysoka, barczysta sylwetka jakby wypełniała całe pomieszczenie. Długie esesmański buty zapinane pod kolanami specjalnym cienkim paskiem nawet nie powodowały żadnego skrzypienia podłogi. Spodnie typu Galie[74], jakie przysługiwały tylko wyższym niemieckim oficerom, robiły wrażenie, jakby podkreślały, że mam do czynienia z kimś zupełnie innym niż znani mi dotychczas towarzysze szmuglerskich wypraw. Jasne blond włosy, tyrolski kapelusik z opuszczonym rondem, a przede wszystkim nieprzeciętny, około 190-centymetrowy wzrost i proporcjonalnie szerokie ramiona napawały respektem. Po kilku minutach zamyślonego spaceru (jak to się dzieje, że deski podłogi nie skrzypią pod takim ciężkim facetem, przecież normalnie wystarczy przejść dwa kroki, a cała podłoga skrzypi jak gruźlikowi w płucach) Zygmunt odezwał się:
– A jak wygląda przejście na cmentarz od Młynarskiej?

– Gorzej niż przed miesiącem. Patroli na rowerach tam tyle, że nawet paru metrów bez wpadki się nie przejdzie. Szkopy się wściekli, bo gówniarze urządzili sobie tam zabawę: jeden siedzi w oknie na piętrze naprzeciw cmentarza i daje cynk temu, co stoi koło muru. Jak jedzie patrolka, to ten z góry gwiżdże, a ten pod murem ma przygotowane półcegłówki i jak wariat rzuca, ile tylko może na drugą stronę. Czasem nawet słychać, jak cegła spada na blaszany kapelusz. Szkopy zawsze mają cykorię, bo myślą, że to granaty. A szczeniaki po paru sekundach chodu. Takie sportowcy…

– Głupie gówniarze! Dostanie który w czapę, to przestanie zajmować się sportem. Ale po nocy to chyba nie jeżdżą?

– Pogrzebów w nocy nie ma, to i nikt przez Okopową wtedy się nie szwarcuje.

– A gdyby tak w drugą stronę?

Spojrzałem pytająco na Zygmunta. Z getta na „aryjską" stronę? Towar? Zygmunt na pewno nie reprezentował żadnej organizacji handlowej. A może idzie o ludzi? Jakichś ważniaków, działaczy politycznych, może jakichś kurierów do Londynu, profesorów…

– Zależy tylko, co lub kto ma przeskoczyć mur na Młynarskiej? – odpowiedziałem zaciekawiony – Ale ja nigdy nie patrzyłem na to przejście jak na punkt nadający się do wykorzystania nocą…

– Ale co o tym myślicie?

– Noc, godzina policyjna. Wszyscy śpią. Nikt nie zaryzykuje przerzucania towaru do getta, bo i tak rowerowa patrolka szkopów może go rano nakryć. Myślę, że gdyby była jakaś obstawa, nie musi być kupa luda, wystarczy dwóch, trzech ludzi, ale odczajniaków. Jak Hannibal słonie przez Alpy przeprowadził, to tu przez cmentarny można przerzucić całą orkiestrę symfoniczną. Tym bardziej że dzielnica jest taka trochę zakazana i szkopskie patrole nocą głębiej się na Wolę nie zapuszczają, bo w najlepszym wypadku mogą zgubić bergmana albo parabelkę. Niedawno nawet na Młynarskiej koło Leszna rozbrojono jeden duet, patrolkę z dwóch żandarmów. Oprócz broni cztery tłuczki, granaty z drewnianymi trzonkami im zabrali.

– Kto to zrobił?

– Sportowcy. Skrzyknęło się ich paru, jeden pomalował czarnym atramentem trzonek od młotka, przystawili szkopom do pleców, noc, ciemno, krzyknęli „Hande hoch" i po krzyku. Wszystko systemem bezszmerowym. Nawet sobie Aufwiedersehen powiedzieli.

– I na co im to?

– Jak to na co? Muszą przecież jakoś zarabiać na życie. Widocznie mieli obstalunek na tłuczki z bergmanami, to musieli się wywiązać. Zygmunt wyciągnął z papierośnicy erseksa i znów zaczął swoim kocim krokiem spacerować po pokoju:

– Kto tu jeszcze śpi? – zapytał niby z innej beczki.

– Jak to kto, ja.

– Na trzech siennikach? – parsknął.

– Czasem trafi się jakiś gość… – odpowiedziałem, sepleniąc.

– Cztery kubki, blaszane talerze, nocnik pod łóżkiem, kibel jak w dwudziestoosobowej celi na Pawiaku, a pod siennikami jeszcze dwa podgłówki wypchane sianem! Aleś ty człowieku konspirator jak z koziej dupy trąba! Nie spodziewałem się takich jędrnych sformułowań w ustach Zygmunta. Jego wykwintny język, timbre głosu, spokój, niemal dostojeństwo w formułowaniu zdań, i nagle tak dosadne określenie. Ujęło mnie to jakoś.

– A co mam robić? Może sienniki mam wywiesić za okno, aby nie raziły waszych oczu? A jak drzwi się otworzą i wejdzie ktoś z prośbą o nocleg, co mam powiedzieć? Że nie mam siennika?

– To goście przychodzą i po godzinie policyjnej? – z widocznym zainteresowaniem spytał Zygmunt. – A co na to dozorca?

– Dozorca jest taki zaspany, że nic nie widzi. Poza tym bardzo szanuje Stefana…

– Acha...

Znów nastąpiła pauza w rozmowie. Zygmunt podszedł do okna i przez firanki patrzył na ciemną o tej porze studnię podwórka, na zasłonięte czarnym przeciwlotniczym papierem okna sąsiadów z przeciwka.

– Co za towarzystwo tam mieszka?

– Zwyczajni ludzie. Trochę handlują, trochę szmuglują, paru pracuje...

– U Niemców?

– Taki by tu się nie uchował. Są nawet dwie prostytutki, ale porządne kobiety, bo nikt nigdy u nich Niemca nie widział.

– Tu przez Leszno[75] idą „placówki”[76] wychodzące przez wachę przy Żelaznej... Tam, zaraz obok żydowskiego Arbeitsamtu[77], mieści się w gmachu byłego gimnazjum Collegium[78]...

– Tak. Wychodzą około ósmej, dziesiątej rano, a wracają koło osiemnastej, a nawet dwudziestej. Pilnują ich Niemcy lub Kałmuki. Jak wychodzą, to mają w plecakach lub ręcznie szytych woreczkach różne rzeczy do sprzedania, marynarki, spodnie, ręczniki... Znam kilka wypadków, że w taki sposób wyniesiono z getta kilkutygodniowe, uprzednio uśpione niemowlę. Jedna z takich dziewczynek żyje, ma już pół roku. Kiedy ludzie z placówki wracają, plecaki mają pełne kartofli, buraków, marchwi... A wtedy najważniejsze, żeby jakoś bezpiecznie przejść przez wachę, nie narazić się szkopowi lub granatowemu i aby żydowski milicjant nie zażądał dla siebie zbyt wysokiej doli.

– Mieliście już kogoś z takiej placówki?

– Owszem, Bronkę, znajomą mego ojca jeszcze sprzed wojny. Zachciało się szkopom wywieźć ich gdzieś na nocną zmianę. Jechali ciężarówkami. Jak Bronka mijała nasz dom, nie zdzierżyła i w pełnym biegu wyskoczyła z samochodu. Zrobiła kilka kozłów, stanęła na nogi i jak w dym poszła na Leszno. A godzina była wpół do dziesiątej wieczorem. Cieć najpierw zbaraniał, bo myślał, że to jakaś nocna rewizja i że szkopy idą po kogoś. Patrzy przez kraty w bramie, a tu Czech. Sprawa jasna... Bronka z udaną swobodą powiedziała „dziękuję” i pewnym siebie krokiem skierowała się na właściwą klatkę schodową. Strupel[79] nawet za nią nie spojrzał. Bo po co mu to? Przecież nikogo w nocy do domu nie wpuszczał! A tu nagle energiczne pukanie do drzwi. Struchleliśmy, bo sienniki były zajęte przez gości, a walenie do bramy też słyszeliśmy. Farfałn dy klaczkies[80], czyli w żłobie leży, pomyślałem, i z udanym spokojem otwieram drzwi. Patrzę – Bronka. „Serdeńko” – mówię – „czy ty nie wiesz, kiedy porządny katolik składa wizyty?” Bronka zdejmowała z siebie jakieś łachy. Elegancko połatana jesionka z podszewką przystosowaną do szmuglu, że i dziesięć kilo kartofli bez śladu się zmieści, kilka spódnic, jakieś złożone teraz na wyjątkowo obfitym biuście, sukienki, bluzki. „Trafiłaś sama? Nikt cię nie widział?” „Tylko dozorca, jak otwierał bramę. Ale patrzył na mnie jak na szybę”. „A co, miał wołać hosanna!? To taki gapa. Jak trzeba, to nie widzi, a czasami to i słuch ma wyjątkowo kiepski”.



Fryda/Franka Zgodzińska z wyniesioną przez nią z getta siostrzenicą Wiesią. Warszawa 1945 r.

– No ale teraz, jak widzę, gości nie macie – przerwał mój potok wymowy Zygmunt.
– To jest punkt przejściowy. Każdy załatwia sobie stały przydział i wali na pewniejszą metę.

– Ale gdyby tak ktoś do was przyszedł i powołał się na Zygmunta?

– Na tę chatę można liczyć. Ale powołać się na jakiegoś Zygmunta to każdy potrafi. I bądź tu mądry, z jakim Zygmuntem jest spowinowacony! A może z tym, co stoi na słupie[81]? Niech przyjdzie, ale nawet król Zygmunt to dla mnie nie firma.

– Więc co?

– Coś więcej. Na przykład „Zygmunt ze słupa, co Szymona udaje”.

– Jakiego znów Szymona?

– Nie słyszeliście o świętym Szymonie Słupniku?

– Ach tak! Więc „Zygmunt ze słupa, co Szymona udaje”?

Zygmunt znów przerwał, a ja ze złością przyglądałem się trzem nieszczęsnym siennikom. Wypisz wymaluj jak przed wojną w Cyrku braci Albertynów.

– Te dwa sienniki trzeba będzie zlikwidować, a ja wam załatwię dwie pikowane, watowe, cienkie kołdry. Upchacie gdzieś pod jeden legalny siennik. W potrzebie będzie można na nich dość znośnie spać. Wygody może mniej, ale za to śladów i podejrzeń jeszcze mniej. I wyrzucicie ten cholerny nocnik. Kto to widział, żeby dwudziestoletni chłopak siusiał w nocy. Acha! Przerwałem wam, kiedy zaczęliście mówić o „Sopkach Mandżurii”. Co teraz słychać u „dyrektora” Kazia? Interesuje mnie nie tylko mąka, chleb, słonina, cebula czy inne warzywa, ale też towar naprawdę trefny…

– Któregoś dnia wydałem wszystkie pieniądze na szmugiel – ciągnąłem swe opowiadanie. – Było tam tego parę kilo słoniny, trochę cebuli, kartofli. Pamiętam, że nawet szarpnąłem się na dwa kilo truskawek, cały majdan ważył z dziesięć kilo. A tu, jak na złość, w sądach jakiś cholerny żandarm, cieć u Pfeiffera przerwał turystykę, a z przejścia na Stawkach nie chciałem korzystać, aby guza nie zarobić. Leżę i kwiczę! Nawet parkan na Białej obstawiony jakby miał Hitler przejeżdżać. Gorąco jak cholera. Dobytek dojrzewa, w plecaku robi się kompot ze słoniny, cebuli i truskawek. Lecę na Młynarską, a tam też nastrój świąteczny. Cegieł nie ma, na murze wmontowane nowe szkło, chłopaczki-dowcipnisie gdzieś poznikali. Jednym słowem dookoła czysto, a coś śmierdzi. Akurat spotkałem Stefana i opowiadam mu, jak sytuacja wygląda. Ten potwierdził, że szkopom zebrało się na jakąś akcję wzmożonej kontroli szmuglu i że trzeba przeczekać. „Ależ człowieku! Nie będę przecież skakał do getta z truskawkowo-słoninowym kompotem!" „Pamiętasz pana Kazia?" „Tego, co na karuzeli chłopakom szpilory[82] zasuwał?" „Ten sam. No to idź do niego. On ci chyba pomoże. Powołaj się na mnie" – podał mi adres jakiegoś domu na Chłodnej czy Elektoralnej. Jak będzie pan miał zamiar skorzystać z tego przejścia to, oczywiście, przypomnę sobie dokładniejszy adres... Zygmunt uśmiechnął się i kiwnął głową. Widać było, że akceptuje moją krótką pamięć i rozumie, że jeszcze nie czas, aby niepotrzebnie dekonspirować widocznie dobrze zamaskowany punkt przerzutowy.

– I co dalej?

– Najpierw wchodzi się na podwórze szarej, chyba sześciopiętrowej kamienicy. Jedno z tych podwórek, jakie po 1939 roku ostały się jeszcze gdzieś na Hożej, Wilczej lub w czynszowych kamienicach Pragi. Prostokątne, betonowe klepisko obramowane czterema ścianami mieszkań, niemal do cna poczerniałymi po niedawnym oblężeniu Warszawy. W połatanych po bombardowaniach oknach gdzieniegdzie uchylone lufciki, a w nich głowy tu i ówdzie ostałych się, przedwojennych służących. Dawniej atrakcją dla nich były podwórzowe orkiestry, „artystyczne" zespoły połykaczy ognia z „kobietą-wężem", która rozkładała pocerowany dywanik obok trzepaka i wyczyniała różne wygibasy, piruety i szpagaty „niedawno z miasta przywiezione". Szef zespołu wykrzykiwał: „Szanże raz – nima. Szanże dwa – jest." I wyciągał ze sfatygowanego cylindra królika albo papugę. Dziś „ansambel"[83] spod trzepaka stał się rzadkością. Zbyt często zdarzało się, że obciążony artystycznym ekwipunkiem zespół (papuga, katarynka lub harmonia, dywanik) nadziewał się na patrol żandarmów lub budę i całe towarzystwo lądowało na Skaryszewskiej, gdzie był obóz zbiorczy ludzi zatrzymanych w łapankach. Jedni jechali do Oświęcimia, inni do fabryk zbrojeniowych w Rzeszy, a jeszcze inni, którzy mieli najwięcej szczęścia, szli do niemieckiego bauera do pracy na wsi. Orkiestry podwórzowe też musiały zmienić swój repertuar. „Ostatnia niedziela" czy „Już taki jestem zimny drań" teraz nie pasowały do ogólnego nastroju. Za to „Siekiera, motyka, bimber, alasz – przegrał wojnę głupi malarz", piosenki legionowe lub satyryczna „Żandarmy się pchają i wszystkim wygrażają" – tego słuchać można było bez znudzenia. Zawinięte w papierek pieniądze leciały z każdego niemal okna. Żniwo, że tylko zbierać! Ale wtedy z reguły przed bramą „na świecy" stał szef zespołu i obserwował. Jak tylko spostrzegł „panów w blaszanych kapeluszach", krótkim i nie dla każdego zrozumiałym okrzykiem „hipisz"[84] dawał sygnał do zakończenia koncertu. Banjo czy skrzypce wędrowały pod jesionkę, właściciel harmonii łapał się za brzuch i wpadał do podwórkowej ubikacji, lufciki się zamykały i kamienica wracała do normalnego, okupacyjnego wyglądu. W takim to domu na przeciwległym od bramy końcu podwórka, w mieszkaniu na piątym piętrze oficyny spotkać można pana Kazia. Schludnie ubrany, spodnie zaprasowane „w kant", pod krawatem, w niczym nie przypominał przedwojennego dyrektora karuzeli z Wenecji. Kiedy pierwszy raz zgłosiłem się pod wskazany adres, pan Kazio zapytał: „Słyszałem, że

chcesz „za frajer” skoczyć do getta?” Potwierdziłem. „U nas nie ma nic za frajer. Słuchaj uważnie. Pojutrze, bo pracujemy ulgowo trzy dni w tygodniu, aby nie było poruty, bo kuchty w oknach kikują na wszystko, że o mało im ślepia na wierzch nie wyliżą. Przyjdziesz tu trzy razy. Pierwszy raz około dziesiątej rano, drugi raz około dwunastej, a trzeci najpóźniej o szesnastej. Za każdym razem przyniesiesz po 10–15 kilo towaru. Tu jest karteczka, co masz kupić. A tu są cztery górale na towar. Za każdym razem masz być inaczej ubrany. W okularach i w płaszczu, a pod nim towar, aby w oczy się nie rzucało, a raz do figury. Raz teczka, a raz paczka opakowana w szary papier i obwiązana sznurkiem. Do każdego majdanu ma być przypięta karteczka, ile czego jest i ile kosztowało. Idzie o to, aby nie było widać, że cały dzień po podwórku kręci się jeden i ten sam facet i nic, tylko robi za wielbłąda. Kapujesz?” „Jasne. A swój towar też mogę przynieść?” – zapytałem. – „Przecież wiem, że nie idziesz za turystę.” „No ale co dalej? Co będzie po ostatnim kursie, po szesnastej?” „Nie twoja głowa” – odpowiedział – „Posiedzisz tu, popatrzysz, czegoś się nauczysz...” Dalej nie pytałem. Sopki Mandżurii wiedział, co to konspiracja. Dostałem pieniądze, sznurek, dwa arkusze papieru i skierowałem się do drzwi. Około piątej po południu wniosłem na piąte piętro ostatnią paczkę. Mieszkanie składało się z pokoju i kuchni. W obu pomieszczeniach od okna aż do drzwi na grubych sznurach rozwieszona była świeżo uprana bielizna. Pośrodku pokoju, nad zwisającymi spod sufitu ręcznikami i różnymi częściami męskiej i damskiej garderoby stał stół, przy którym siedziało trzech mężczyzn. Wyglądało na jakieś przyjęcie. Pośrodku, między kilkoma pokrajanymi w plasterki pomidorami, pęczkiem rzodkiewek i białym serem, jednoznacznie figurowała do połowy już rozlana półlitrowa butelka wódki. Z kuchni dolatywał brzęk zmywanych, zapewne przez gospodynię, naczyń oraz przyciszona rozmowa z jakimś mężczyzną w tramwajarskim mundurze. Dwóch siedzących przy stole obrzuciło mnie badawczym spojrzeniem. Trzeci, którym był pan Kazio, podniósł się z krzesła i zaspokoił ich ciekawość. „Poznajcie się panowie – kolega.” Nieznajomi podali mi ręce, mamrocząc pod nosem swoje nazwiska czy też pseudonimy. „Uhm hrr... ski.” „Wrhamchł... wieź.” Odmruknąłem pod nosem też jakiś wyraz, który, pamiętam, kończył się na ara: „Kwahagh... ara.” Wyglądało to nawet dość autentycznie, bowiem taka już była całkiem niegłupia zasada, aby każde lipne papiery miały nazwisko raczej popularne, tym bardziej trudne do sprawdzenia, że Kowalskich, Kwiatkowskich czy Giełżyńskich znaleźć można było wszędzie, co stanowiło pierwszy element utrudniający sprawdzenie jakiegoś ausweisu czy bescheinigungu[85]. Z kuchni wyszedł tramwajarz i zabrał przyniesioną przeze mnie paczkę. Zmywanie naczyń ucichło, dał się natomiast słyszeć szelest papieru otwieranej paczki, a następnie znów ciche szeptanie. Nikomu nie zbierało się na rozpoczęcie rozmowy. Bo i o czym? Przecież każdy tu przyszedł ze swoimi zmartwieniami, każdemu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Mijały minuty i kwadranse. Pan Kazio zabrał się do czytania Nowego Kuriera Warszawskiego, dwaj pozostali wyciągnęli ze stojącej w progu pokoju biblioteki jakieś książki i z powrotem zasiedli przy stole. Aby wygodniej było im czytać, trochę przestawili całą zastawę. Zza gazety wychyliła się głowa pana Kazia: „Panowie! Czytajcie sobie ile wlezie, ale zastawy prawo na stole w całej okazałości, swobodnie figurować. Łapcie się za chleb, ser czy pomidory, żeby mi było widać, że zabawa jest przepisowa. Najmłodszy rozlewa. Ale tak tylko dla oka, picie nie przymusowe. Idzie o to, aby waniuch był okazały. No i żeby fason był przepisowy” – tu zwrócił się już bezpośrednio do mnie – „Puść tę starą blać, co śpiewa Stern von Rio.” Zrobiłem, co do mnie jako najmłodszego należało, i zdjąłem marynarkę. Również i pozostali goście poszli za moim przykładem. Gramofon grał niemiecki szlagier i tak na oko nastrój był całkiem przyjemny. Para z kuchni utrudniała oddychanie i powoli zamieniała pokój w łaźnię. „Ej! Panie wajchowy! Nie hajcuj pan tak, bo już jesteśmy przyrumienione” – zawołał w kierunku kuchni pan Kazio. „Tu jest pranie. A jak wam za gorąco, to od tego Bozia dała człowiekowi lufcik, aby se otworzył” – brzmiała uprzejma, ale stanowcza odpowiedź. Czas mijał powoli. Wkrótce okazało się, że najlepiej wybrał lekturę Sopki Mandżurii, który mimo otwartego lufcika z nonszalancją wachlował się Nowym Kurierem Warszawskim: „Patrzcie panowie, szmatławiec, a jaka dobra gazeta. I powachlować się można, i nic lepszego

do wychodka nie znajdziesz." Komentarz pana Kazia został bez odpowiedzi. Każdy miał swoje problemy. Wiedzieliśmy, że za nami zaledwie połowa roboty, a ta druga, chyba jeszcze trudniejsza, dopiero się zacznie. „Panowie, już dziesiąta. Chyba nikogo już cholera nie przyniesie. Ale na wszelki wypadek weźcie na talerzyki te parę rzodkiewek i po pomidorze. Na koszt firmy" – powiedział wyjaśniająco Sopki Mandżurii – „Za godzinę albo dwie trzeba będzie wszystko uprzątnąć i pozdejmować ze sznurów pościel i bieliznę. Ja tymczasem zobaczę, co słychać na schodach..." Uchylił bezszelestnie drzwi prowadzące na klatkę schodową. Po kilku minutach wrócił równie cicho jak wyszedł. „Jak w Rzymie, Żydzi nie śpią, a szkop drzymie" – powiedział wyjaśniająco. W pokoju zjawiła się przebywająca dotąd w kuchni żona naszego gospodarza. Bez słowa zabrała się do uporządkowania stołu. Półlitrówka powędrowała do kredensu. Krytycznym spojrzeniem obrzuciła cztery kieliszki jeszcze z kilkoma kroplami wódki, którą przed paru godzinami nalałem „dla optyki". „Panowie, osuszcie to" – odezwała się – „Tu nawet nie ma pięciu gramów w kieliszku, przynajmniej humor się wam poprawi. A do zlewu przecież nie wyleję." „Na koszt firmy" – znowu uprzejmie dodał pan Kazio. Wypiliśmy w milczeniu. Para z kuchni już dawno przestała się wydobywać i poprzez czarny, zaciemniający, przeciwlotniczy papier powiało przyjemnym, letnim, orzeźwiającym powietrzem. Gospodyni zebrała resztę talerzy i odezwała się do męża: „Wacek, wliź no na stół i pozdejmuj te łachy ze sznurów." Jeszcze mokrą bieliznę składali w specjalnie przyniesionej z kuchni misce. Następnie Wacek zaczął zdejmować sznury, a właściwie jeden długi, kilkudziesięciometrowy, który od gzymsu nad oknem do przemyślnie skonstruowanej deski z powbijanymi hakami, umocowanej na przeciwległej ścianie, stanowił jedną całość. Teraz dwukrotnie go złożył tak, że wyszła z tego poczwórnej grubości kilkunastometrowa lina. Z kolei mniej więcej co jeden metr na linie zaczął wiązać supły. Były one tak szerokie, że razem z objętą dwiema nogami liną stanowiły mocną podporę dla każdego, kto miał wkrótce, po szczytowej ścianie muru spuścić się „na drugą stronę". Gospodarz obrzucił każdego z nas taksującym spojrzeniem i powiedział: „Tak na oko żaden z szanownych panów nie waży więcej niż sześćdziesiąt-siedemdziesiąt kilo. Razem z towarem będzie, powiedzmy, dziewięćdziesiąt. A ta lina wytrzymuje łatwo trzysta kilo. Sam sprawdzałem. Po tych supłach schodzi się jak po schodach na Poniatowszczaku[86]. Tylko trzeba się trzymać i nie mieć cykorii. Puścisz się, strefisz i spadasz na mordę z piątego piętra do getta. A tam pogotowie po ciebie nie przyjedzie, najwyżej Ostatnia Posługa" – spojrzał na zegarek. – „Dwunasta. Mniej więcej za godzinę zaczynamy. A teraz musicie przebrać się w gustowne garniturki bardziej odpowiednie na tę uroczystość." Słysząc to, gospodyni bez słowa skierowała się w stronę stojącego w kącie pokoju łóżka i podniosła zwisającą aż do podłogi kapę. Klęcząc, wyciągnęła dwie zapakowane w szary papier paczki z napisem zrobionym atramentowym ołówkiem „szmaty dla handlarza". Pan Kazio rozwiązał sznurki: „Panowie! Wyskakiwać z ancugów[87] i kto chce, niech porozwiesza swoje do szafy na wieszaki. Chyba że ktoś chce być za eleganta w getcie, to zanim ubranko zrzuci, niech pamięta, aby na dole apiać się przebrał. Tu, w paczkach leżą ciuchy, w które się przebierzecie na drogę. Ja tymczasem polecę zobaczyć, co słychać w Rzymie." Po kilku minutach cała nasza czwórka, stojąc w kalesonach, gmerała w stercie niewyobrażalnie brudnych, porwanych i połatanych łachów. Jedne spodnie miały nogawkę tylko do kolan, mimo że inne, połatane nie tylko nóg nie przykrywały, ale nawet przeświecały innymi częściami ciała. Każdy wciągał na siebie, co tylko jako tako pasowało i wyglądało. Nawet na super gangsterskim filmie żaden reżyser takich typów by nie wymyślił. Do pokoju weszła gospodyni. Obrzuciła nas taksującym spojrzeniem i poprosiła do sąsiedniego, mniejszego pokoiku. Tu na węglowej kuchni stało kilka garnków i duży żelazny sagan. „Strój panów jak na przebierańców niekompletny" – powiedziała z uśmiechem. – „Spuszczać się będziecie na tle brudnej, czarnej, szczytowej ściany. Każda biała plama twarzy czy rąk, mimo nocy, dla przyzwyczajonego do ciemności oka widoczna jest wyraźnie. Dlatego trzeba przybrudzić twarze i ręce, a jak ktoś ma przykrótkie spodnie, to i nogi pomalujemy sadzami spod tych garnków. Nie obawiajcie się, na dole czeka na was woda i mydło, paczki z waszymi ubraniami zostaną spuszczone na sznurku, tak że rano

wyglądać będziecie jak te lalki.” Gospodyni rozłożyła na podłodze gazety, na których należało stać, i przystąpiliśmy do pacykowania się sadzami. „No panowie. Teraz jesteście bezpieczni” – odezwała się gospodyni z humorem. – „Gdyby was teraz Niemcy zobaczyli, zamiast strzelać, pękliby ze śmiechu.” „Można powiedzieć, że wynaleźliśmy nową, polską Wunderwaffe” – odezwał się jeden z przebierańców. Minęło kilka minut. Z klatki schodowej w cichobiegach (tak nazywaliśmy gumowe pantofle, pepegi) wrócił pan Kazio. „Młodziak pójdzie pierwszy” – powiedział, wskazując na mnie palcem. – „Reszta musi z dziesięć minut poczekać, bo musimy dobrze rozejrzeć się w sytuacji. Jak do tej pory, wszystko jest jak w Rzymie...” Każdemu z nas przyjrzał się dokładnie: „Towarzystwo wypolerowane na glanc. Jednym słowem płyń barko moja, pogoda sprzyja...” Sopki Mandżurii przyniósł z kuchni duży, francuski klucz, wziął pod pachę leżącą na podłodze linę i... zapalił papierosa, który następnie ukrył w prawie zamkniętej dłoni. Wtedy dopiero skierowaliśmy się do prowadzących na klatkę schodową drzwi. Trzymając się poręczy, krok za krokiem zeszliśmy pół piętra niżej. W ciemności bladą jasnością księżyca majaczył prostokąt okna. Stanęliśmy po obu jego stronach. Tam na dole było getto. Przez kilka minut pan Kazio krótkimi pociągnięciami podtrzymywał żarzący się płomyk trzymanego w zamkniętej prawie dłoni papierosa. Równocześnie obserwował dach i górne piętra niemal niewidocznej w ciemnościach potężnej bryły gmachu sądów. „Na dachu jest zawsze szkop i ma zainstalowany tam reflektor. Łazi i nudzi się. Od czasu do czasu zaświeci, pogapi się po getcie i znów sterczy jak na weselu. Ale po jedenastej dekuje się chyba gdzieś za kominem albo na wcześniej przygotowane jakieś wyrko, bo jeszcze nigdy nie szlajał się dłużej niż do jedenastej czy dwunastej.” To mówiąc, cofnął się od okna tak, aby na wszelki wypadek nie być widocznym z sądów, i mocno się zaciągnął papierosem. Potem wyciągnął rękę bliżej okna, sam ukrył się za okienną wnęką i z uwagą patrzył w dół. Spoglądałem w tym samym kierunku. Po chwili gdzieś na dole zamigotał podobny, ledwo widoczny ogienek. Zapomniałem dodać, że okno było zakratowane trzema pionowymi i poziomymi sztabami żelaznymi, grubymi niemal jak szyna tramwajowa. I mimo że powierzchnia okna liczyła około metra kwadratowego, kraty zajmowały tyle miejsca, że nawet bochenek chleba z trudem udałoby się przecisnąć. A o wyrwaniu czy choćby tylko ruszeniu ich o milimetr nawet mowy być nie mogło. Raczej szczytowa ściana by runęła, nim jakaś siła zdolna byłaby ruszyć tak solidną konstrukcję. Pan Kazio wziął leżący na schodach francuski klucz. Jeszcze raz dał sygnał papierosem, poczekał na podobną odpowiedź z dołu i przyłożył tuż przy murze klucz do jednej z poziomych szyn. Drugą ręką chwycił w najwyższym punkcie szynę pionową: „Trzymaj kratę, bo swoją wagę posiada” – powiedział. Dał się słyszeć cichy zgrzyt, krata najpierw przesunęła się w lewo wraz z kawałkiem muru, który idealnie pasował do wnęki, gdzie jeszcze przed minutą tkwiła groźna szyna. Trzymałem ruchomą już kratę i wraz z panem Kaziem najpierw powoli wyjęliśmy ją z okna, a następnie cichutko oparliśmy o schody. Ważyła dobrze ponad pięćdziesiąt kilo. Następnie pan Kazio umocował linę na grubej, żelaznej belce konstrukcyjnej domu, sterczącej jak na zamówienie o jakiś metr nad oknem. Cała operacja wyjęcia kraty i zawieszenia liny trwała nie dłużej niż pół minuty. „Kręci się jak na przedwojennej karuzeli” – szepnąłem. „Lepiej” – odpowiedział pan Kazio – „Większa satysfakcja z roboty. Teraz poczekaj, przyniosę dla ciebie majdan. Wszystkie łachy spuścimy na końcu.” Po kilkunastu sekundach był już z powrotem. Do ważącej około piętnastu kilogramów paczki przytwierdzony był solidny pasek, który trzeba było przełożyć przez kark i pod ramionami. W ten sposób tworzył się nawet dosyć wygodny plecak. „A teraz ciach babkę w piach. Łapaj się za sznurek.” Wysunąłem głowę przez okno. Gruba, spleciona lina dyndała mi przed oczyma. Pan Kazio szarpnął ją do góry. Lina naprężyła się i natychmiast przestała się huśtać. Nieco poniżej, ale jeszcze w zasięgu wzroku majaczył zbawczy, solidny supeł. „No! Nie nawalaj w parafię!” – pan Kazio wyczuł, że chodzenie nocą po linie nie jest moją specjalnością. – „Usiądź na parapecie i złap się rękoma za linę. Solidna, co? Jakby była z żelaza. A teraz wymacaj nogami supeł. Masz? To dobrze. No to czego stoisz? Chcesz się nocą opalać przy księżycu? Ruszaj się, ludzie czekają!” I tak krok za krokiem, a raczej supeł za supłem schodziłem w absolutnych

ciemnościach. Dopiero nad ranem, kiedy wychodziłem z żydowskiego domu na Ogrodowej, spojrzałem w górę. O nie! Z powrotem to już mnie żadna siła nie namówi na taki alpinizm! Dobrze że w nocy nie było widać, gdzie mnie diabli niosą... W pewnym momencie poczułem, że ktoś chwyta mnie za ramiona. Obok stało jakichś dwóch mężczyzn. Zdziwiłem się, że nie nosili na ramionach lenty z gwiazdą Dawida, ale kiedy później o to spytałem, otrzymałem taką mniej więcej odpowiedź: „Panie! Czy to taki luksus, Żyd z gwiazdą Dawida w getcie, po godzinie policyjnej, przyłapany na szmuglu. Tyle grzechów na raz, to może być jeszcze jeden. A poza tym nawet nocą miło jest poczuć się na chwilę człowiekiem...” – recytował jeden. „Czemu mnie tak trzymacie? Pokażcie panowie tylko, gdzie mam iść.” „Panie! Pan jeszcze nie jest na ziemi. Pan jest na dachu, tylko że na wysokości pierwszego piętra. A dach pochyły, ciemno. Jak byśmy pana puścili, to spadasz pan nie gorzej niż śliwka w kompot. Po co to panu?” Po pokrytym papą, mocno pochyłym dachu doprowadzono mnie do otwartego okna jakiegoś mieszkania. Uchyliłem „przeciwlotniczy” koc, zeskoczyłem na podłogę i z ulgą zdjąłem swój plecak. Stojąca na stole, maksymalnie przykręcona naftowa lampka nawet nie sięgała swym światłem krawędzi stołu. W ciemnościach majaczyło kilka męskich postaci. Zrobiło mi się tak jakoś byle jak. Pierwsze wrażenie gorsze niż u bandziorów na Stawkach. „Jak tam kompot słoninowo-truskawkowy?” – usłyszałem nagle. „Stefan! Skąd cię tu przyniosło?” „Turystyka, bracie, turystyka. A co tam na Lesznie?” „Też turystyka. Mam teraz na składzie troje. Wiedzą, że poszedłem w gorod. Powiedziałem, że wrócę jutro wieczorem przed godziną policyjną. I żebym na uszach miał stanąć, muszę wrócić, bo oni tam nerwowo nie wytrzymają. Wszyscy jeszcze dwa dni temu byli w getcie. Teraz każdy szmer napawa ich przerażeniem. Jedynie przy mnie czują się pewnie i swobodnie. Po prostu moja obecność podtrzymuje ich psychicznie.” „Znam to, znam. Sam byłem matką...” Minęło kilka minut, w oknie ukazała się druga umorusana postać. Przybyły niepewnie rozejrzał się po mrocznym pokoju i z ulgą zdjął z pleców swój bagaż-plecak. „Panowie. Tam w kącie stoi balia, obok mydło i ręcznik” – usłyszałem głos jednego z siedzących w mroku osobników. Zdejmujcie wasze szmuglerskie ubranka. Za parę minut zrzucą wam wasze reprezentacyjne ciuchy. „Kondek, przedstaw się” – usłyszałem głos Stefana. – „To jest Chaim, ten tragarz, odczajniak spod Żelaznej Bramy. Opowiadałem ci o nim.” Z ciemności wysunął się jakiś człowiek z wyciągniętą w moim kierunku dłonią.

„Chaim.” „Kondek.” Zacząłem się rozbierać. Woda w balii wkrótce przybrała kolor atramentu. Dopiero kiedy nalano świeżej, można się było jako tako umyć i wrócić do normalnego wyglądu. Na swoją kolejkę czekał już stojący w kalesonach następny turysta. Po chwili przez okno wszedł trzeci podróżnik. Zaraz po nim rozpoznałem Sopki Mandżurii z czterema paczkami ubrań i, oprócz tego, największym chyba bagażem na plecach...

– Ale dlaczego nie stosują czegoś w rodzaju kołowrotka napinającego linę? – zapytał przytomnie Zygmunt.

– Zdaje się, że były takie próby – odpowiedziałem, kłamiąc–Ale okazało się, że to sprawa zbyt skomplikowana. Na dole, jak się rano zorientowałem, jest to bardzo stromy dach jakiegoś dawnego składu desek. Z kołowrotka lina mogłaby się ześlizgnąć, tym bardziej że właściwie są to cztery splecione liny. A znów dwóch ludzi na górze, na klatce schodowej musiałoby tę linę kierować na kołowrotek. A jakby „technika nawaliła”? I gdyby ktoś wtedy wisiał na linie? Dziękuję za taką przyjemność. Tym bardziej że przecież mogą się otworzyć drzwi jakiegoś mieszkania i ktoś mógłby „nakryć” szarpiących się z liną po nocy dwóch nieznajomych osobników.

– A skąd się wzięła ta szyna, do której lina jest umocowana?

– To już ręka pana Boga. Nie wiem, żydowskiego czy chrześcijańskiego. Ale tak się złożyło, że w czasie oblężenia Warszawy w 1939 roku w to miejsce uderzył pocisk artyleryjski. Wyrwał kawał muru i obnażył belkę stropową. Reszta to już chyba głowa pana Kazia, Chaima albo Stefana.

– No, na dziś to chyba wystarczy – powiedział po krótkim namyśle Zygmunt. Rozejrzał się po pokoju i zapytał: – Chociaż Żydem nie jestem, przenocujecie mnie?

– Nawet na dwóch piernatach, bo wszystkie pokoje wolne – powiedziałem tak szarmancko, że chyba lepiej by tego nie zrobił dyrektor hotelu Ritz.

– Aha i jeszcze jedno. Czy znane jest ci przejście przez gmach Collegium”? Tam jest żydowski Arbeitsamt, tuż koło wachy na Żelaznej.

– Tego przejścia unikam. Wiem, że teoretycznie może tam przejść wielu ludzi, ale roi się tam od szmalcowników. Aż dziwię się, że nikt nie popędził im kota.

– A czy potraficie odróżnić szmalcownika Polaka od szmalcownika folksdojcza albo od rdzennego Niemca? Oprócz tego są tam też przecież i ludzie przyzwoici oczekujący na przejęcie swoich przyjaciół, znajomych, krewnych... To nie jest taka prosta sprawa. No, ale dosyć się już nagadaliśmy, dobranoc. Jeszcze powrócimy do tej sprawy.

Od tej nocnej rozmowy minęło kilka dni. W getcie rozszalała się akcja wywożenia ludzi na Umschlagplatz[88]. Stefan nie pokazywał się już od kilku tygodni i stałem się pełnym gospodarzem mieszkania. Zgodnie z przyzwoleniem, które brzmiało „możesz z mieszkaniem robić, co chcesz, i mieszkać, z kim chcesz", jego kawalerka stała się już nie punktem przerzutowym, ale czymś w rodzaju hotelu dla znajomych i nieznajomych mi ludzi.

– Płać tylko w moim imieniu regularnie komorne, a reszta mnie nie ob chodzi – powiedział, wychodząc.

Pewnego dnia ktoś zapukał do drzwi. W liczącej około szesnastu metrów kwadratowych kawalerce znajdowało się akurat czterech uciekinierów z getta. Natychmiast wszyscy, zgodnie z opracowanym i wielokrotnie trenowanym planem, znaleźli się na swoich miejscach. Dwoje do szafy i dwoje pod łóżko.

Z duszą na ramieniu otworzyłem drzwi. W progu stał mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat.

– Pana Stefana nie ma – powiedziałem.

– Ja nie do pana Stefana. Jestem z polecenia Szymona Słupnika. Uśmiechnąłem się i szerzej otworzyłem drzwi. Nieznajomy rozejrzał się po pokoju i usiadł na jedynym krześle.

– Nazywam się Mietek.

– Konrad, bardzo mi przyjemnie. Słucham pana?

– Zygmunt prosi, aby był pan jutro o godzinie dziesiątej koło wachy na Żelaznej.

– Będę.

Mietek rozejrzał się powtórnie po pokoju. Wzrok jego na dłuższą chwilę spoczął na wysoko zasłanym dwoma siennikami łóżku i na stojącej w kącie szafie.

– Pusto tu jakoś, cisza i spokój. Nie nudzicie się w tej samotności?

– Dużo czytam. Robię maturę na kompletach.

– Na dole u „Wicka" są dla ciebie jakieś piernaty i koce. Będziesz mieć miękko i ciepło – dorzucił, jakby nie widząc wysoko posłanego łóżka.

– Bóg zapłać.

Mietek wstał i jeszcze raz rozejrzał się po pokoju:

– A te sienniki to znieście do „Wicka". On już jakoś się ich pozbędzie. No to cześć! Do jutra, do dziesiątej...

Mietek wyszedł. Usiadłem i zacząłem wyglądać przez okno. Minęła dobra minuta, zanim dałem odpowiedni sygnał, że ukryci mogą już wyjść: dwa szybkie uderzenia w stół, przerwa, jedno. Sygnał musiał być powtórzony trzykrotnie.

Najpierw otworzyły się drzwi szafy, a następnie spod łóżka wyczołgała się pozostała dwójka.

– Czemu nas tak długo trzymałeś po wyjściu gościa? – spytała Franka[89].

– To były ćwiczenia w warunkach bojowych. Szło o to, aby w sytuacji maksymalnie przybliżonej do prawdziwego niebezpieczeństwa wytrzymać nerwowo i zachować całkowite zdyscyplinowanie.

– Ale nam świetnie poszło – z radośnie uśmiechniętą miną powiedział Karol po wyjściu z szafy. Niczego się nie domyślił! Zdaliśmy egzamin.

# Drogi Czytelniku,

Fakty, które opisałem, są drobnym wycinkiem martyrologii i oporu Żydów i Polaków w tych bodajże najtrudniejszych w historii obu narodów latach. Wiele na ten temat napisano, wiele problemów opracowano naukowo, o wielu, często na pewno nie *sine ira et studio*[90], mówi się i dyskutuje. Na pewno nie wszystko i nie wszędzie wyglądało tak, jak to próbuję przedstawić. Kilkakrotnie zamierzałem przerwać pisanie, częstokroć bowiem przedstawione fakty przypominają film przygodowy, nieoddający grozy, barbarzyństwa i bohaterstwa tamtych dni. Ale ja żyłem właśnie w takich, jak opisywane warunkach, współdziałałem z takimi, jak opisywani tu ludźmi. Niechaj stanowi to drobny przyczynek do tego, co wielu z nas, jakże często w innych, trudniejszych warunkach przeżyło. Widziałem śmierć i barbarzyństwo, cynizm i upodlenie. Mimo że byłem Polakiem, byłem „szmalcowany". Potulnie, bez oporu oddałem hienom to, co miałem wartościowego (dwa kapelusze, sześć koszul, sto dwadzieścia płyt gramofonowych), bo takie wyjście było lepsze niż „stawianie się" i spowodowanie większej wsypy.

Jak w zrozumiały sposób dla każdego, co tych czasów nie przeżył, napisać o mordowaniu narodu i o tym, że równocześnie w getcie krążyły okupacyjne dowcipy, że śpiewano po polsku i po żydowsku ad hoc sklecone antyhitlerowskie piosenki, a powszechnie znana w getcie postać, niby to pomylony, młody Rubinstein produkował się na ulicach skoczną piosenką, której refren, o ile pamiętam, brzmiał „geb a weg dy bone yn sig giten tug" (oddaj bony i żegnaj).

To, co opisałem, na pewno zaledwie dotyka pewnych problemów, niektóre sytuacje tworzą jakby sztuczni, papierowi ludzie. Na pewno Chaim, Sopki Mandżurii, a także i Stefan żyli ze szmuglu. Ale oni przerzucali do getta tony żywności! Robili to w sytuacjach wymagających na pewno nie mniejszego bohaterstwa i odwagi od tych, jakie pokazuje się nam dziś w najlepszych sensacyjnych, kryminalnych czy kowbojskich filmach. Z tą różnicą, że mieliśmy przeciw sobie najokrutniejszy aparat policyjny świata! Jakże popularne było wówczas w getcie powiedzenie, że po wojnie należy w Warszawie postawić pomnik Nieznanego Szmuglera. Bo przecież wielu poległo. Jak ocenić takie postawy? Na jakiej wadze je wyważyć?

Wyznaczone przez Mietka spotkanie na Żelaznej koło budynku Collegium pozwalało się domyśleć, że wezmę udział w jakiejś akcji przerzucania ludzi na „stronę aryjską". Tym bardziej że marzec 1943 roku to już nie był okres szmuglu do getta. Wszelkie możliwe przejścia nastawione były obecnie niemal wyłącznie na kierunek odwrotny. Na transport broni czy żywności gmach Collegium się nie nadawał. Równocześnie wiadome było, że to przejście tuż obok wachy na Żelaznej było wyjątkowo trefne.

W pobliżu gromadziły się dziesiątki ludzi oczekujących na umówione i tak lub owak opłacone przejście swoich krewnych lub znajomych. Obok nich, bacznie obserwując wszystko, co dzieje się przy przechodzeniu cywilnych osób przez wachę, kręciły się jakieś podejrzane typy, z nie mniejszym zainteresowaniem przyglądając się i taksując wszystkich przekraczających zbawczą granicę na „aryjską stronę".

Równie dokładnie obserwowana była brama Collegium wychodząca na Leszno. I chociaż z bramy tej korzystali i Polacy, i Niemcy pracujący w Arbeitsamcie, co teoretycznie powinno ułatwić wmieszanie się Żyda w wychodzącą grupę cywilów, praktycznie rozpoznanie uciekiniera z getta było stosunkowo łatwe. Rozbiegane oczy, często wyniszczona głodem twarz, zbyt szybki krok albo też przesadna, demonstracyjna pewność siebie, z reguły zdradzały człowieka, który wiedział, że właśnie stanął przed ostatnią szansą uratowania życia.

Typy w tyrolskich kapeluszach z piórkiem (jak rozpoznać, czy to Niemiec folksdojcz, czy też ucharakteryzowany na szkopa szmalcownik), cwaniaczki w czapkach oprychówkach i z rękoma w kieszeniach, nawet jacyś zalani faceci, łudzący się, że przy okazji szmalcowania kapnie i im kilka złotych na pół litra. Polacy wyczekujący na swoich przyjaciół, kolegów, znajomych trzymali się z dala, wiedząc, że nie pasują do tego towarzystwa. Oni dopiero w ostatniej chwili podchodzili do opuszczającego getto, i biorąc pod rękę (z własnego doświadczenia wiem, jak ważnym momentem psychologicznym dla prześladowanego Żyda był fakt, że tu, po „aryjskiej stronie" ktoś odważa się wziąć wyklętego pod rękę, jakby mówiąc – możesz na mnie liczyć, bądź spokojny, wszystko w porządku), prowadzili go na upatrzoną „melinę". Oczywiście taka dwójka miała nikłe szanse uniknięcia szmalcu. Dla hieny było obojętne, czy szantażuje Żyda, czy Polaka, samotna dwójka to nie był przeciwnik, z którym należało się liczyć. Pozostawała jeszcze nikła nadzieja, że Żyd okupi się jakimś zegarkiem czy obrączką ściągniętą z palca i potrafi przekonać prześladowcę, że naprawdę nic więcej nie ma. Punkt dziesiąta znalazłem się obok gmachu Collegium. W bramie zauważyłem potężną sylwetkę Zygmunta. Gdybym go nie znał, nie ulegałoby najmniejszej wątpliwości, że to prawdziwy Niemiec „na dorobku". W promieniu kilkunastu metrów od bramy była cisza i spokój. Szmalcownicy, którzy bramę uważali za swoją, teraz się z niej wynieśli. Małe rybki wolały być z daleka od rekinów. Po drugiej stronie ulicy zauważyłem szczupłą sylwetkę Mietka. Spojrzałem w kierunku wachy. Obok żydowskich i granatowych policjantów stali dwaj znajomi żandarmi, których tak „serdecznie" niedawno gościłem „U Antka". Łatwo można się było zorientować, że biorą udział w akcji zaplanowanej i zorganizowanej, a nie w jakiejś improwizacji.

W bramie Collegium ukazała się kobieta z twarzą ukrytą za krótką, żałobną woalką. W tym momencie zbliżył się Mietek i powiedział:

– Podejdź do niej. Przedstaw się, chwilę postójcie, a potem wolno, pamiętaj, wolno idźcie w kierunku Wroniej do postoju dorożek.

Kobieta w woalce na chwilę stanęła w bramie, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą robić.

– Kondek jestem.

Kobieta, jak się później okazało, nie dosłyszała umówionego hasła. Przerażona patrzyła na nieznajomego, spodziewając się najgorszego.

– Proszę pani. Kondek jestem. Nazywam się Kondek – powiedziałem nieco głośniej i wziąłem ją pod rękę. Gdyby nie to, nieznajoma chyba by zemdlała. Śmiertelne napięcie, przerażenie, a po chwili gwałtowna ulga, że jednak wszystko jest w porządku, sprawiły, że nie miała sił utrzymać się na nogach.

– Proszę się mnie trzymać. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło – powiedziałem twardo.

To zdanie jakby przywróciło jej siły. Powoli szliśmy w kierunku Wroniej. Kątem oka widziałem, jak hieny zaczęły wymieniać między sobą jakieś uwagi. Zanosiło się na szmalec.

Już poza zasięgiem oczu żandarmów i towarzyszących im polskich i żydowskich pachołków, kiedy skręciliśmy we Wronią, podszedł do nas jakiś typ.

– Pani szanowna – odezwał się zapijaczonym głosem – jak pragnę wolności, my się skądś znamy. Czy pani nie nazywa się Rosenbaum? Nieznajoma zaniemówiła. Czułem, jak drży w przerażeniu. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, zdawała sobie bowiem sprawę, że cokolwiek powie i tak sytuacji nie zmieni.

– Panie szanowny! Bądź pan taki ładny i nie wskakuj w cudzą paradę – odezwałem się z pozorną uprzejmością językiem zrozumiałym dla takich typów. Nie na darmo sporą część mej edukacji wyniosłem z Woli, z Kercelaka.

– Spływaj, szczawiku – odpowiedział typ.

– O nieładnie! Za warzywo mnie pan bierzesz? Będę musiał się poskarżyć…

Typ rozejrzał się po ulicy. Udając, że szukam „zastawy”, ze spokojem spoglądałem na przechodniów. Tak naprawdę nie bardzo wiedziałem, co dalej robić. Mietek nie wyglądał na takiego, co mógłby przyłożyć rękę do rozróby. Równocześnie nie wolno było dopuścić do awantury. Bez względu na wynik, moja podopieczna nie uszłaby cało.

Kątem oka jednak spostrzegłem, jak z drugiej strony ulicy podchodzi w naszym kierunku Stefan.

– Co jest? Jakieś nieporozumienie towarzyskie? – spytał niewinnie.

– Panie szanowny. To Żydówka – jakby tłumacząc się, podpowiedział szmalcownik.

– A mnie, proszę pana, ten pan nazwał szczawikiem – z udanym żalem poskarżyłem się na szantażystę.

– O nieładnie! – powiedział Stefan, zwracając się do mnie – I pan pewnie czuje żal do tego pana?

– Bardzo duży, proszę pana. Jak można tak mówić!

Szmalcownik nic nie rozumiał. Czuł tylko, że sytuacja, w jaką wdepnął, nie jest całkiem jasna.

– No to jak on nie rozumie ludzkiego słowa, to porozmawiajmy inaczej.

– Spływaj – usłyszałem stanowczy głos Stefana.

Wszystko razem trwało może dziesięć sekund. Spokojnym krokiem, trzymając pod ramię nieznajomą, oddaliliśmy się z niebezpiecznej strefy. W ostatniej chwili dostrzegłem jeszcze Zygmunta, jak razem ze Stefanem biorą udział w bardzo serdecznym „łomocie” tego, co spotkał „znajomą” Żydówkę na Wroniej.

Dalsza droga była już prawie bezpieczna. Wprawdzie co chwilę jakiś typ starał się zbliżyć do spokojnie idącej starszej pani w woalce, której towarzyszył młody człowiek w okularach, ale jednak żaden nie miał odwagi zajść im drogi. Tym bardziej że kilkadziesiąt metrów za nimi po obu stronach ulicy szli Zygmunt w swoim tyrolskim kapeluszu i Stefan. Na rogu Wroniej i Chłodnej stały dorożki. Kobieta w woalce instynktownie przyspieszyła kroku, jakby wierząc, że niebezpieczeństwo minie, jak tylko dorożka ruszy.

– Dokąd chce pani jechać?

– Na Moniuszki.

Dorożkarz usłyszał nazwę ulicy i ruszył bez słowa.

Nonszalancko rozparłem się na siedzeniu z miną, jakbym wybierał się na spacer w Aleje Ujazdowskie. Równocześnie jednak bacznie obserwowałem ulicę. Widziałem, jak odprowadzają nas wzrokiem Stefan i Zygmunt. Ale w tej sytuacji najważniejsze było, że nie widziałem, aby ktokolwiek wybierał się za nami.

Dorożkarz zaciął konia batem i lekkim truchtem przecięliśmy Chłodną, a następnie przez Żelazną i Złotą dotarliśmy do Moniuszki.

– Proszę się tu zatrzymać– powiedziała nieznajoma, kiedy dorożka skręcała z Marszałkowskiej do celu.

– Niech pani zdejmie woalkę. Niepotrzebnie rzuca się w oczy – powiedziałem.

– Tak, to prawda, chyba przeszarżowałam – powiedziała nieznajoma i na jej twarzy po raz pierwszy pojawił się uśmiech.

– Panie szefie, ile za kurs? – spytałem dorożkarza.

– Jak dla pana to dziesięć złotych.

– Co tak mało?

– Nie na wszystkim można zarobić – dwuznacznie odezwał się dorożkarz.

– Dziękuję panu – powiedziała nieznajoma. I panu też – dodała, zwracając się do mnie.

Odwróciła się i szybkim krokiem, ale już bez woalki, poszła wzdłuż ulicy. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że była to matka znanej polskiej aktorki.

***

Z przejścia przez żydowski arbeitsamt korzystaliśmy jeszcze przez kilka dni. Od strony getta dostęp do gmachu Collegium był dla Żydów coraz trudniejszy, samo getto bowiem skurczyło się do kilkunastu zaledwie ulic. Dotarcie do Arbeitsamtu oznaczało jakby przejście przez „ziemię niczyją", znajdującą się pod baczną kontrolą szaulisów, Ukraińców i Niemców. Zdarzało się często, że nawet najbardziej „żelazne" papiery nie były przeglądane, a seria z ręcznego karabinu maszynowego kończyła sprawę. Nasza czwórka, z Zygmuntem na czele, bezpiecznie przeprowadziła „na tamtą stronę" kilkanaście osób. Nie każdemu przejściu towarzyszyły tak pełne napięcia sytuacje, jak w wypadku nieznajomej w woalce. Zygmunt, Stefan, Mietek i ja zdołaliśmy jednak nieco przyhamować bandyckie poczynania szmalcowników. Do „naszych" spraw nikt nie ośmielił się nosa wetknąć, pamiętając, jaki „łomot" zainkasował ten, co to niby skądś znał panią w woalce.

Grubą jednak przesadą byłoby mniemać, że na pewne zmniejszenie aktywności szmalcowników pod gmachem „Collegium" wpłynęła wyłącznie postawa naszej czwórki. Prasa cywilna i wojskowa polskich organizacji podziemnych ostro piętnowała wszelkie próby szantażu, wzywając do pomocy ukrywającym się Żydom, a szmalcownikom grożąc wyrokami śmierci.

I tak, już 19 marca 1943 roku w Biuletynie Informacyjnym ogłoszony zostaje specjalny komunikat Kierownictwa Walki Cywilnej Armii Krajowej, w którym Polacy mogli m.in. przeczytać: „Społeczeństwo polskie, mimo że samo jest ofiarą okropnego terroru, ze zgrozą i współczuciem patrzy na mordowanie przez Niemców resztek ludności żydowskiej w Polsce. Założyło ono przeciwko tej zbrodni protest, który doszedł do wiadomości całego wolnego świata, zaś Żydom, którzy zbiegli z getta lub obozów kaźni, udzieliło tak wydatnej pomocy, że okupant opublikował zarządzenie, grożące śmiercią tym Polakom, którzy pomagają ukrywającym się Żydom. Niemniej znalazły się jednostki wyzute ze czci i sumienia, rekrutujące się ze świata przestępczego, które stworzyły sobie nowe źródło występnego dochodu przez szantażowanie Polaków ukrywających Żydów i samych Żydów.

Kierownictwo Walki Cywilnej ostrzega, że tego rodzaju wypadki szantażu są rejestrowane i będą karane z całą surowością prawa, w miarę możności obecnie, a w każdym razie w przyszłości".

Kilka miesięcy później Kierownictwo Walki Podziemnej ogłosiło, że Sądy Specjalne Cywilne Okręgu Warszawskiego i Krakowskiego skazały za współpracę z policją niemiecką na karę śmierci i utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych:

– Tadeusza Stefana Karcza, zamieszkałego w Warszawie – za to, że wydał Niemcom Żydów, obywateli polskich.

– Franciszka Sokołowskiego, zamieszkałego w Podkowie Leśnej, konfidenta i szantażystę.

– Antoniego Pajora, zamieszkałego w Dobranowicach koło Wieliczki – za to, że tropił działaczy niepodległościowych i denuncjował Polaków ukrywających Żydów.

– Antoniego Skoczyńskiego, wikarego w Luborzycy, w powiecie Miechów – za to, że spowodował aresztowanie i następnie rozstrzelanie przez Gestapo 23 Polaków.

Wszystkie wyroki wykonano przez zastrzelenie.

Siedziałem sam w pustym pokoiku Stefana. Jeszcze przed dwoma dniami było tu pięć osób. Franka, dziesięcioletni Musi, jakiś gimnazjalny profesor matematyki, pianista Karol, Halina. W dzień siedzieli na podłodze pod otwartym oknem, rozmawiali szeptem, czytali. Sąsiedzi z przeciwka mogli godzinami patrzeć, co się w pokoju dzieje, widzieli tylko mnie, czytającego przy stole lub jedzącego śniadanie czy obiad. Na kolację okna zasłaniało się przeciwlotniczym papierem, zapalało światło i wtedy siedzący pod okiennym parapetem mogli wstać i rozprostować kości. Cisza obowiązywała jednak przez dwadzieścia cztery godziny...

Ktoś zapukał do drzwi. Dwa krótkie uderzenia, jedno dłuższe, dwa krótkie, jedno dłuższe, dwa krótkie, jedno dłuższe. W drzwiach stał Stefan.

– Co tu tak pusto?

– Wczoraj rano zaczepił mnie w bramie dzielnicowy. Spytał, czy to ja mieszkam na piątym piętrze. Odpowiedziałem, że tak, a na to on: „Panie, zrób pan tam u siebie porządek. Sąsiedzi się skarżą. Usuń pan to...” A ja: „Tak jest, panie władza. Jutro będzie czyściutko, że palce lizać, dziękuję za zwrócenie mi uwagi.”

– Ilu miałeś wtedy ludzi?

– Pięcioro.

– No i co? Rozrzuciłeś?

– Tak. Trochę na łapu capu, ale wszyscy cali i zdrowi.

– A gdzie ty masz te swoje meliny?

– Nie twoja sprawa.

– Ale dzielnice możesz powiedzieć. Czasem taka ogólnikowa informacja może się przydać...

– Dwie na Czerniakowie, na Jasnej, Grochowie, nawet w dzielnicy niemieckiej, Śródmieście.

– Nielicho! A co jedzą?

– Niektórzy mają trochę forsy, to im kupuję. Ale wiesz co, Stefciu, skoro już mówimy o żarciu, to mam dla ciebie smutną wiadomość.

– Co się stało?

– Jerzy, Karol, ten pianista, Halina, no i jeszcze parę osób, nie wyłączając mnie, zżarliśmy ci cały twój zimowy przydział kartofli...

– Rany boskie! Przecież tam było z pięćdziesiąt kilo!

– Ale policz, ile narodu będzie cię dobrze wspominać!

– No i co mam teraz powiedzieć na tę aprowizacyjną wiadomość?

– Ja to bym wiedział, co powiedzieć – odezwałem się z udanym zamyśleniem.

– No to pies wam wszystkim mordę lizał! – skomentował sprawę Stefan.

– Amen! – zakończyłem rozmowę na tematy aprowizacyjne.

Stefan usiadł na łóżku i w zamyśleniu rozglądał się po pokoju. Widać było, że jest gdzieś daleko, poza zainteresowaniem sprawami aprowizacyjnymi, starając się ukryć prawdziwy cel swojej wizyty. Zbliżył się do okna i rozejrzał po podwórku.

– Śmierdząca sytuacja – powiedział – Temu dzielnicowemu ktoś tę robotę nadał i to jakaś wsza z tego domu. Może te dwie lalunie z parteru?

– Wykluczone. Dzielnicowy we własnej dzielnicy do burdelu nie chodzi.

– To kto?

– Zagraj w orła i reszkę.

– Masz rację, nie czas teraz dociekać kto. Ważne, że mają cię na muszce. A swoją drogą ten dzielnicowy to porządny chłop. Musisz się urywać.

– To nie problem. Ale szkoda lokalu.

– A czapy ci nie szkoda?

– Też racja – burknąłem.

Stefan znów zaczął chodzić po mieszkaniu. Machinalnie poprawił serwetkę na stole. Pstryknął parę razy palcami w wiszące nad kuchnią garnki, poprawił stojące przy stole krzesło.

– Słuchaj, Kondek, sprawa jest poważna. Szkopy cholernie nadepnęli mi na odcisk. Więc nie pajacuj i dobrze zastanów się, zanim coś powiesz.

– Słucham?

– Masz jakieś dotarcie na Umschlagplatz? – Nie.

– Wiesz, dokąd idą transporty?

– Wiem tyle albo niewiele więcej co inni, podobno do Treblinki.

– Czy stamtąd ktoś już wrócił? Czy można dowiedzieć się, co się tam dzieje?

– Słyszałem o takich, co tam byli. Pojechali jako pomocnicy maszynisty parowozu. Szczegółów nie znam, ale wiem, że sprawa jest beznadziejna.

– Powiedz mi tylko, czy wiesz, jacy ludzie tam się wybrali. Idzie mi o to, czy chłopaki z ikrą.

– Bo ja wiem? Zdaje się, że jakiś inżynier, jakiś handlowiec.

– Toś mnie trochę pocieszył.

– Ale powiedz wreszcie, o co idzie! Wypytujesz, a nie mam pojęcia, do czego zmierzasz.

– Wczoraj w czasie akcji milicja żydowska wygarnęła Chaima.

– Jeśli wczoraj, to być może jeszcze jest na Stawkach.

– Już tam byłem. Dałem w łapę, komu trzeba i nawet razem ze szkopem chodziliśmy po wagonach. Ale Chaima nie było.

Stefan znów zaczął w zamyśleniu chodzić po pokoju. Otworzył szafę i przeglądał zawartość. Były tam moje koszule, trzy krawaty, kapelusz, skarpetki i inne szczegóły kawalerskiej garderoby.

– Który numer butów nosisz?

– 28, bo co?

– Jadę do Treblinki. Jak udało się jakiemuś inżynierowi, to i mnie się uda. Tego szkopom nie podaruję!

Zapadła cisza. Usiadłem przy stole i zacząłem się zastanawiać nad sytuacją. Znałem wyniki podróży do Treblinki Stasia Skripija. Zaliczałem się do niewielu, którzy w Warszawie mieli w owym czasie pewne pojęcie o tym, co to jest Treblinka. Stefan zdjął buty i wyciągnął się na łóżku. Patrzył w sufit. Sprawiał wrażenie człowieka, który spał tylko z otwartymi oczyma.

– Stefan. Czy ty zdajesz sobie sprawę, co to jest Treblinka? – zapytałem – To nie Oświęcim, gdzie ludzie nawet po parę lat jakoś przetrzymują. To obóz zagłady. Tam już piece i gaz nie wystarczają. Trupy pali się w masowych dołach...

Stefan nic nie odpowiedział. Wstał z łóżka i włożył moje buty. Z szafy wyjął najlepszą koszulę i krawat.

– Kondek, widziałem u ciebie takie srebrne spinki z niebieską emalią. Pożycz...

– Leżą tam, koło koszul.

– Zabieram trochę twoich łachów, bo muszę wyglądać jak człowiek. Pod krawatem i w modnych pantoflach. O, widzisz? Nawet ten kapelusz pasuje jak ulał. Rany boskie! Pierwszy raz w życiu będę paradował w dęciaku. Gdyby mnie tak zobaczyli przed wojną w Wenecji, to by forsę płacili, żeby mnie obejrzeć i się pośmiać.

– Stefan! Czy to nie jest pomysł „na wariata”?

– Chrzanisz. A jeśli nawet, to co? Jak chłopaki z Marymontu jeżdżą „na wariata” do Włoch to ja nie pojadę sto parę kilometrów? I to z dobrymi papierami!

Wziął do ręki stojące na stole lusterko, przeczesał swoje blond „aryjskie” włosy i zaczął się przebierać. W koszuli i krawacie, w kapeluszu i w swoim odprasowanym garniturze wyglądał nawet na szkopa.

– Opuść rondo z tyłu – poradziłem – Szkopy tak się noszą.

Jeszcze raz wziął do ręki lusterko, przyczesał włosy, przyjrzał się swojej nowej sylwetce, zapastował buty i rozejrzał się po pokoju. Widać było, że poza „fasonem” i pozornym lekceważeniem powagi decyzji, którą podjął, zdawał sobie jednak sprawę, że zamierza dokonać wyczynu, jakiego nikt jeszcze nie dokonał. Widziałem, że nie było siły, która byłaby zdolna zmienić jego zamiar.

– Stefan, nie wiem, jak głęboko siedzisz w robocie. Ale uważam za swój obowiązek przypomnieć ci, że to, co działo się z Żydami do tej pory, to chleb z masłem. Obecnie Niemcy przystąpili do wymordowywania całego narodu i każdego, kto im w tym będzie przeszkadzał. To już nie szmugiel do getta...

– No i właśnie dlatego trzeba. Zresztą, co tu gadać, kiedy nie ma o czym mówić. Trzymaj się chłopie! Po wojnie oddam ci dwa kapelusze. A jak wrócę, to we trzech z Chaimem musimy jakąś butelczynę obalić! Podał mi rękę, jeszcze raz powiedział „trzymaj się”. I nikt go więcej nigdy nie widział. To był naprawdę mocny facet. I dobry Polak.

Nie pamiętam, jak naprawdę nazywał się Stefan. Zawsze był tylko Stefanem dla uwielbiających go młodych mieszkańców Kercelaka i okolic. Był jedynym znanym mi z czasów okupacji człowiekiem nieposługującym się pseudonimem. Zygmunt zmarł w dość tragicznych warunkach bodajże w 1946 roku. Mały, dziesięcioletni Musio wyszedł pewnego dnia z mieszkania z zamiarem wyjazdu do znajomych i więcej nie wrócił. Dziewczynka wyniesiona z getta w plecaku przyjęta została do sierocińca im. ks. Boduena i tam przetrwała Powstanie Warszawskie, a potem cały sierociniec ewakuowano do klasztoru. Po wojnie wyjechała do ciotki do Kanady. Ukończyła uniwersytet w Toronto, wyszła za mąż za Kanadyjczyka niemieckiego pochodzenia. Wszyscy pozostali przeżyli wojnę i rozpierzchli się po całym świecie. Czasem w listach z Australii, USA, Kanady czy Szwecji wspominają czasy szowinizmu, czasy „lepszej" rasy. Przeżycia, które opisałem, stanowią część moich okupacyjnych doświadczeń. Nie mają na celu utrwalania przygód. Chciałem Czytelnikowi zwrócić uwagę na tą, bodajże najprostszą i najbardziej ludzką formę niesienia pomocy, jaką było zaspokojenie własnej, oczywistej, wewnętrznej potrzeby, że tak po prostu trzeba. Nie umniejszając w niczym wysiłku ludzi z organizacji, które działały z pobudek moralności chrześcijańskiej bądź patriotycznego obowiązku, trzeba powiedzieć, że byli również ludzie, którzy pomoc Żydom uważali za sprawę, dla realizacji której nie jest potrzebna żadna pobudka patriotyczna, religijna czy moralna, działali odruchowo, jakby reagowali na klęski żywiołowe, niosąc pomoc dla ofiar katastrofy kolejowej. Źle, bardzo źle byłoby z ludzkością, gdybyśmy w takich sytuacjach tracili czas, cenniejszy niż kiedykolwiek, na zastanawianie się, czy nasza pomoc zgodna jest z dziesięciorgiem przykazań, Biblią czy Talmudem. Bycie człowiekiem oznacza wychowanie w sobie człowieka. Może są to sprawy zakodowane w genach, a może nabyta pogarda do wszystkiego, co głosi, że jeden człowiek jest lepszy od drugiego i jeden naród lepszy od drugiego...

Po przeczytaniu tej książki w maszynopisie moja córka spytała:

– Tato, przedstawiasz Polaków w dobrym świetle, tylko szmalcowników widzisz jako szumowiny i przestępców. Ale dlaczego na żaden transport do Treblinki czy Oświęcimia dobrzy Polacy nie dokonali nigdy napadu i nie uwolnili przyszłych ofiar?

– To było możliwe, ale byłoby głupotą. Na transport Polaków do Oświęcimia też nigdy nie zrobiono zamachu. Pociągnęłoby to za sobą olbrzymie ofiary w ludziach, a uratowani z takiego transportu zostaliby błyskawicznie wyłapani, dla przykładu. Z powodzeniem napadano na auta wiozące więźniów na śmierć, ale nie na pociągi z tysiącami ludzi, to było nie do przeprowadzenia w tamtych warunkach.

– Dlaczego w czasie powstania warszawskiego alianci zrzucali broń, amunicję i żywność, a nad gettem nie pokazał się żaden ich samolot? Podniosłoby to przecież na duchu walczących bojowników z getta i napędziło strachu bezkarnie znęcającym się Niemcom, Kałmukom czy szaulisom.

Zapytała znowu, śledząc uważnie moją nerwową mimikę, dowód niepewności. – Kto w czasie wojny był tak nieczuły, że nie chciał przyjąć do wiadomości udokumentowanych fotografiami informacji o męczeństwie, śmierci i bohaterstwie milionów ludzi?

Na te pytania nie znalazłem od razu gotowych odpowiedzi.



Kondek i Halina, Ciechocinek, 1955 r.



Od lewej: Halina, dzieci Robert i Aniela oraz Kondek, Warszawa, 1959 r.

**Konrad Świerczyński** urodził się w Warszawie w 1922 roku. Przeżył wojnę w Warszawie angażując się w pomoc prześladowanym Żydom. Za tą działalność został odznaczony w roku 1972 izraelskim medalem Yad Vashem – Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata, a także w roku 1990 zostało mu przyznane Honorowe Obywatelstwo państwa Izrael. Po wojnie mieszkał w Warszawie z żoną Haliną/Krystyną i dwojgiem dzieci. Z zawodu był dziennikarzem. Zmarł w roku 2002. Wydana obecnie książka była pisana w latach 70-ych i 80-ych. Kilkakrotnie była bliska wydania. Fragmenty jej były drukowane w najbardziej popularnym piśmie kulturalnym tamtych lat „Kultura". Obecne wydanie książki było możliwe dzięki wielkiemu wkładowi pracy Michała Marka, syna Pawła Lwa Marka, oddanego przyjaciela rodziny.

## Wspomnienia rodziny i przyjaciół

### Aniela

Jest mi bardzo trudno opisać tatę. Przez wiele lat był dla mnie, a w jeszcze większym stopniu dla mojego brata, centralną postacią. Wiem, że był też wzorem dla bardziej odległych od nas osób. Potrafił wszystko załatwić, załagodzić, rozwiązać – bez znaczenia, czy to dotyczyło rodziny, mojej szkoły, czy też jego pracy. Pamiętam jego literacką korespondencję z moimi nauczycielami, których czarował dowcipem. Wiele szkolnych dzienniczków było zapisywanych w ciągu roku, wiele z moich przewinień stawało się zaczynem niemal przyjaźni z moimi nauczycielami. Tata był pełen humoru, fantazji, starał się pomagać ludziom. Później odkryłam, że mógł irytować innych swoimi za szybkimi ocenami i pewną niezręcznością w kontaktach towarzyskich. Jednakże bezsprzecznie miał ogromne serce i cierpiał, gdy widział niesprawiedliwość, socjalistyczną korupcję, dwulicowość.

Tata był chyba ósmym dzieckiem w rodzinie i jedynym, które przeżyło. Jego rodzeństwo zmarło w bardzo wczesnym okresie życia z nieznanych mi przyczyn. Był dzieckiem bardzo oczekiwanym i kochanym. Jego ojciec miał zdecydowane poglądy anarchistyczne i był zaangażowany w sprawy równości i sprawiedliwości. W imię tych ideałów był wielokrotnie więziony w Polsce i w Rosji. Tata nie był chrzczony jak wszystkie inne dzieci w Polsce, gdyż w ten sposób mój dziadek protestował przeciwko „korupcji religijnej". Z tego powodu tata nie posiadał dokumentu niezbędnego by zapisać go do szkoły. Uczono go prywatnie, nauczyciele, znajomi działacze anarchistyczni. Został ochrzczony gdy miał 16 lat, by mógł się dalej kształcić w państwowych szkołach.

Tata mieszkał w dzielnicy, w której żyło wielu Żydów. Był zainteresowany ich sposobem myślenia, wielu miało zdecydowane poglądy polityczne.

Matka taty była przez wiele lat chora na gruźlicę kości i w końcu lat trzydziestych leżała bezwładnie w gipsowym łóżku (w czasie Powstania Warszawskiego została wyrzucona na ulicę i zamordowana przez Niemców).

Tata wychowywał się więc w atmosferze miłości, dyskusji społeczno-politycznych, konspiracji, a także codziennych problemów finansowych i zdrowotnych. Nad całą rodziną wisiała także niewidzialna chmura żałoby – smutek po pozostałych wcześniej zmarłych dzieciach (o których nawet nie bardzo było można wspomnieć). Nie można się też było pocieszyć wiarą, że są w niebie, bo rodzice Kondka byli ateistami. Ojciec taty oczekiwał, że jego syn dalej będzie kontynuował jego walkę.

Tata zakochał się jako nastolatek w Żydówce z sąsiedztwa. Jednak w tych czasach było nie do pomyślenia, by mogli stworzyć rodzinę. Wybuchła wojna. Tata wiedział, że jedyną osobą, z którą pragnie dzielić życie, była sąsiadka Żydówka. Myślę, że nie miał od początku wątpliwości, jak będzie się zachowywać w sytuacji wojennej, pomoc innym była dla niego oczywista. W wywiadzie/dokumencie o Shoah powiedział „po prostu ludzie potrzebowali pomocy, byli w śmiertelnym niebezpieczeństwie i dlatego włączyłem się w walkę przeciwko Niemcom".

Kiedy oglądałam ten wywiad, zwróciłam uwagę na jego wrażliwą twarz, która przez moment odzwierciedlała paniczny strach, którego doznawał w czasach o jakich opowiadał. On jednak natychmiast ten strach przezwyciężył i zaczął mówić o komicznych czy anegdotycznych aspektach wydarzeń, w których uczestniczył.

Pamiętam jak w latach siedemdziesiątych żydowscy znajomi podarowali mu rzeźbę, by podziękować za jego pomoc w czasie wojny. Był prawie obrażony, dla niego było to poniżające, że bliscy przyjaciele uważali, iż należy mu się jakieś specjalne uznanie.

W roku 1972 tata został odznaczony medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Z tego odznaczenia był dumny.

Nie ma dnia, żebym choć przez chwilę nie pomyślała o tacie. Czuję jego ciepło, uśmiech i jest mi lżej.

*Aniela Konradsson, córka*

## Robert

W 2006 roku, będąc uczniem, w jednym z wypracowań z języka polskiego napisałem:

„(...)wpływ na zachowanie ludzkiej postawy ma wewnętrzna siła każdego z nas (...) znałem człowieka, który miał tak ogromne pokłady tej siły, że wojnę przeżył, pozostawszy sobą. Brał czynny udział w Powstaniu Warszawskim. Od śmierci uratował moją babcię, a swoją żonę. Niejednokrotnie narażał swoje życie, jednak nie myślał o nim jako o największej wartości. Za nią uważał życie bliskich. Lata wojny, okupacji stawiały go w nieludzkich warunkach, o których nie będę się tu ponownie rozpisywał. Wiem jednak, że okazji do tego aby zwariować, postradać zmysły, zapomnieć o swoim honorze, o swoim człowieczeństwie miał miliony. Nie zatracił się jednak. Mało tego, nigdy nie opuszczało go niesamowite, specyficzne poczucie humoru. Naigrawał się z esesmana i całej sytuacji, kiedy ten postrzelił go w tyłek. Tyłek pozostał cały, razem z duszą. Muuuczał na widok szpinaku do końca życia – 31 października 2002 r. To był mój dziadek. Dla mnie nieporównywalnie cenniejszy przykład ludzkiej postawy w nieludzkich warunkach, niż ktokolwiek inny."

*Robert Świerczyński, wnuk*

## Anna

Hejbabariba! Tak zaczynałam każdy list do dziadka i dziadek też tak zaczynał każdy list do mnie. Bo z dziadkiem wszystko było właśnie trochę hejbabariba. Ciągle mam kasetę z naszym nagraniem z czasu, kiedy nagrywanie kaset było wielką nowością – ja grałam na afrykańskim bębenku, a dziadek na wężu od odkurzacza. Dziadek zawsze gdy słyszał muzykę z lat 80-tych, którą bardzo lubiłam, pytał czy piosenkarkę czy piosenkarza bolały zęby. Jestem pewna, że każdego, kto usłyszałby nasze nagranie nie tylko zęby zaczęłyby boleć. Ale rzadko bawiłam się tak dobrze. Kiedy przyjeżdżałam do dziadków w Polsce, bo wszyscy moi dziadkowie mieszkali w Warszawie, a ja urodziłam się i żyję w Sztokholmie, to zawsze była frajda i miłość. Dziadkowie znali się sprzed wojny i przeżyli ją razem. Mieli wspólne wspomnienia, które wiem, że nie w pełni mogę sobie wyobrazić. Myślę, że związek miedzy nimi właśnie dlatego był taki mocny.

I horrory wojny też zawsze były obecne, czasami mniej, czasami więcej. Nie wiem, czy próbowali ukrywać przede mną ciężkie przeżycia. Wydaje mi się, że niespecjalnie. Zawsze odczuwałam obecność ciężkich momentów, choćby przez komentarze „ach, to były trudne czasy" splecionych z martwym wyrazem twarzy. W tych wypadkach milcząca twarz o wiele więcej mówiła.

W moim dzieciństwie byłam otoczona ludźmi, którzy przeżyli te straszne czasy. Ale dziadek pomógł też przeżyć innym. Odziedziczyłam po nim przekonanie, że trzeba stawać w obronie wartości ludzkich i że taka postawa zawsze zwycięży. I dlatego, kiedy myślę o dziadku, czuję dumę, wdzięczność i bardzo dużo miłości.

*Anna Rogalska Hedlund, wnuczka*

## Ludwika

Trudno jest opisać Kondka w kilku słowach. Był z pewnością bardzo barwną postacią, „wielowarstwową", pełną życia i fantazji, jak również pełną przekory mogącej prowadzić do wygłaszania skrajnych opinii (nazywaliśmy to „chlapaniem"). Był nieznośny, prowokacyjny, i jednocześnie obecny w potrzebie. Był jedyny w swoim rodzaju.

Kondek poruszał się w szczególny sposób, lekko pochylony do przodu, dotykając chodnik zawiniętą cholewką, przepasany paskiem, z kapeluszem lub czapką zawadiacko nasuniętą na bok czoła niczym detektyw Marlowe lub bohater powieści Conan Doyla (tego też lubił).

Kondek to też zawadiaka, wpadający, zdyszany na swoim wyścigowym rowerze, do moich Rodziców, który wchodził do mieszkania stepując jak Fred Astaire.

Kondek, który mówił językiem Wiecha i był oczarowany Dymszą. Kondek, który opowiadał pieprzne kawały i używał niecenzuralnych wyrażeń, co zresztą spowodowało między nim a mną, bardzo dorosłą bo aż 16. letnią osobą, wieloletnią oziębłość i milczenie. Kondek który rywalizował w dowcipach z moim ojcem, zawsze tak bardzo chciał być doceniony, ceniony, i wyjątkowy.

Kondek to ósme dziecko swoich rodziców, jedyne które nie umarło i jedyne, któremu nadano na pierwsze imię Bernard a nie Konrad jak pozostałym.

Trudno było prawdopodobnie dorastać mając rodziców o silnej osobowości, którzy oczekiwali od niego wybitności. Trudno było mu, i całemu temu młodemu pokoleniu w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, przejść od młodocianych buntów do rzeczywistości prawdziwej wojny, być w środku opresji, bohatersko bronić siebie i innych i znaleźć się nagle, po sześciu latach walki, już jako dojrzały człowiek, w innej rzeczywistości i szarości.

Kondek uwielbiał i kolekcjonował zegary i zegarki. Wsłuchiwał się w mijający czas wybijany przez zegary i nieustannie sprawdzał ich punktualność.

Kondek słuchający nagrań operowych arii, jego wielkiej pasji.

Kondek recytujący Potop lub Dobrego Wojaka Szwejka.

Kondek wielki miłośnik „Szpilek" (pisma satyrycznego).

Kondek zarzucający mojemu francuskiemu mężowi (urodzonemu w czasach wojny) brak pomocy Francji dla Polski w czasie Drugiej Wojny Światowej; mężowi, który z kolei podziwiał zdolności aktorskie Kondka.

Kondek w paryskim hotelu (obok domu gdzie mieszkałam na poddaszu). Zjawiałam się w jego pokoju. On oszukiwał chandrę patrząc w sufit, a ja pożerałam kilogramy ptasiego mleczka, które mi przywiózł (od tej pory nie używam tego specjału).

Kondek mówiący wówczas poważnie i zupełnie nie po kondkowsku: moje zdziwienie, i niedowierzanie i trafność tego co mówił, bo na codzień posługiwał się głównie kpiną.

Kondek i Halina, przyjaciele – „przyszywana", a mimo to jakże prawdziwa rodzina – moich rodziców i moja.

Oni, Kondkowie, którzy poczucie podziału pracy między członków swej rodziny urzeczywistnili w rozkładzie tygodnia powieszonym w kuchni gdzie, zarówno dzieciom jak rodzicom przypadał w tygodniu dzień odpowiedzialności za czystość, zmywanie naczyń i wykonywanie innych niesympatycznych czynności.

Kondek był osobą, którą znałam od zawsze, od dzieciństwa, gdy nie mając jeszcze czterech lat zobaczyłam wysokiego pana, który wchodził wraz z moim ojcem po schodkach z ganku chowając coś za

plecami. To był Kondek i mój pierwszy rower, który od niego dostałam. Kondek był przyjacielem moich rodziców, byłym podopiecznym mojego Ojca, który wraz z innymi „towarzyszami” z Anarchistycznej Federacji Polski, doglądali jego nauki. Kondek który, jako syn bardzo zaangażowanego w działalność anarchistyczną ojca jakim był „stary” Konrad, nie został ochrzczony i w konsekwencji nie chodził do szkoły. Stary Konrad był zawziętym antyklerykałem co zresztą przekazał Kondkowi. Stary Konrad był zresztą także bardzo barwną postacią, ale mnie zostało tylko wspomnienie z dzieciństwa pięknego nobliwego siwego pana, z czarną opaską na oku. Wydaje mi się, że Kondkowi trudno było dorastać w cieniu silnej osobowości ojca.

Moja Matka opowiadała, że przed wojną miała coś przekazać Staremu Konradowi i poszła do niego na Wolę. Tam, po raz pierwszy zobaczyła Kondka który przywitał ją mówiąc «a ja jestem bękart”. A bękartem – bardzo brzydkie wówczas słowo – były dzieci pozamałżeńskie, poczęte w grzechu i dlatego nie mające prawa do chrztu. Wiem również, że mając lat 16 został ochrzczony, żeby móc przystąpić do matury.

I również opowieści Haliny, pierwszej i jedynej miłości Kondka, sąsiadki z Woli, którą koniecznie chciał widzieć na święta w swoim domu i po którą starał się wysłać swoją matkę – rzecz trudna do zrealizowania, bo Halina była Żydówką.

Do tych wspomnień dochodzi legenda lat wojny, gdy Kondek wraz ze swoim Ojcem pomógł moim rodzicom i wielu innym ludziom, wyjść z getta i ocalić życie. Opuszczali getto w odstępie kilku tygodni i ich pierwszym miejscem ukrywania się, po aryjskiej stronie, było mieszkanie rodziców Kondka.

Później, po wielu poszukiwaniach, gdy udało im się znaleźć względnie bezpieczne locum i trzeba było rozwiać podejrzenia sąsiadów i stróża, Kondek, stojąc na podwórku, wołał donośnie do mojego Ojca „Wujku, Wujek mi zrzuci 10 groszy na loda”, dowodząc w ten niewątpliwy sposób „polskości i aryjskości” wujostwa w oczach sąsiadów.

Kondek – znoszący ze smutnym uśmiechem wieloletnią chorobę, coraz bardziej dającą mu się we znaki i osadzającą go w domu. Kpiący ze swych dolegliwości i ciągle mający nadzieję na polepszenie.

Kondek po śmierci Roberta, swojego syna, zamknięty w niedowierzaniu i milczeniu, zastanawiający się nad tym, kim był jego syn, tak bardzo lubiany i szanowany przez wielu ludzi.

Po raz ostatni widziałam Kondka we wrześniu 2002 roku, w Sródborowie, na fotelu, bo trudno mu było chodzić. Usiłowałam się śmiać, choć okres był trudny: tańczący Kondek na fotelu i ja żegnająca dom mojego dzieciństwa. Nie przypuszczałam, że nigdy więcej już go nie zobaczę. Zmarł w miesiąc później. I zabrakło jego animuszu, jego radości życia, tego szczególnego sposobu podśmiewania się ze wszystkiego. Tej iskry życia, którą dzielił z innymi.

*Ludwika Rogalska Zaquin*

# Paweł

Nie jest trudno pisać o Kondku – trudno jest pisać o Kondku krótko. Kondek zawsze był dookoła mnie, nas – nie tylko Kondek, Kondki – tak to się nazywało – my idziemy do Kondków, Kondki przychodziły do nas – to było zawsze ekscytujące, kolorowe, zabawne... – i coś jeszcze, czego wtedy nie potrafiłem sobie uświadomić, a jeszcze mniej znaleźć adekwatne słowa.

I tak już zostało – dla małego chłopca, jakim byłem wtedy, do większego chłopca, którym jestem dzisiaj.... – oczarowanie, które zawsze czułem, dzisiaj może potrafię to lepiej zwerbalizować, trochę lepiej zrozumieć złożoność zachowań – ale w głębi, u podstawy, to jest to samo niezmienne uczucie – uwielbienie czaru Kondka, ogromny respekt dla jego prawdziwej osobowości. Powrócę do tego za chwilę. Nie pamiętam nic z Kondka, Kondków z dzieciństwa – może poza dziurą w balkonie w ich mieszkaniu na Pradze...

Pamięć to często dziwny instrument, ale ja wspomnienie dziury MAM – chociaż reszta jest otoczona mglistą otoczką, przez którą nie potrafię się przebić. A później nagle – parę lat przeszło zostawiając mi półprzezroczyste odcienie zdarzeń, to jest pierwsze wyraziste wspomnienie mojego dzieciństwa, które to dzieciństwo długo trwało... Tak więc jedziemy na Marymont, Kondek i ja, odwiedzić jego rodzinę...Już na Marymoncie droga wydawała się chyba Kondkowi za prosta, więc zaczął jeździć „ósemkami".... – dorabiać sobie własne zakręty... W owym czasie Marymont był wioską w mieście – z wiejskimi drogami, piasek i kamienie tu i tam. Kondka styl jazdy wyczynowej nie zakończył się sukcesem... Duma Kondka, i polskiego przemysłu motoryzacyjnego, motocykl WFM poleciał w jedną stronę, Kondek w drugą, a ja w trzecią...

W owym czasie nikt rzecz jasna nie słyszał, a jak słyszał to nie respektował, o takich symbolach niemęskiego tchórzostwa jak jakiś kask na głowie czy ubranie w miarę ochronne – ale tak czy inaczej nic złego nam się nie stało...

Potulnie poszliśmy z powrotem, ustalając oficjalną wersję całego zdarzenia. W połowie drogi nawet motocykl się naprawił, więc zajechaliśmy dostojnie pod dom. Nikt się specjalnie nie zdziwił moimi siniakami i zadrapaniami – chyba by się bardziej zdziwili, gdybym wrócił bez żadnych obrażeń – ale w zamieszaniu nikt się jakoś nie dziwił, że ja się wywróciłem, a Kondek ma poszarpane spodnie... Poza Haliną rzecz jasna.... Halina, żona Kondka, miała dziwną zdolność zmniejszania Kondka o połowę jednym spojrzeniem, wtedy to pierwszy raz widziałem... – ale poza tym udawała, że nic nie widzi i jeszcze mniej rozumie...

Reszta moich lat z Kondkiem, dookoła Kondka, była w zasadzie w tym samym, niezmienionym duchu – który ja także niezmiennie uwielbiałem...W Kondku mieszkał mały chłopiec... i Kondek się bardzo dobrze czuł z tym lokatorem... Wydaje mi się, że większość ludzi ma takiego chłopca/dziewczynkę – ale „dorasta", zamyka drzwi do pokoju, gdzie on/ona mieszka, i wyrzuca klucz...Kondek wyrzucił klucze razem z drzwiami do tego pokoju – żeby mu nie przeszkadzały w komitywie z małym Kondkiem...

Być z Kondkiem to oznaczało figlować i wygłupiać się często bardziej niż ja mogłem z moimi rówieśnikami...idąc do „Kondków" chyba bardziej byłem pełen oczekiwania na Kondka, niż Roberta (jego syna) – mimo że Robert był przyjacielem w moim wieku...ale zawsze większość rzeczy zaczynała się od Kondka...Na pewno starałem się awansować w jego oczach, ale to było chyba niemożliwe – bo rzecz jasna Kondek i Robert to była drużyna A. Ja mogłem być może awansować do pierwszej rezerwy...Prawdę mówiąc nie pamiętam tego aspektu tak dokładnie, to nie było tak ważne – ja byłem głównie rozbawionym widzem, który chciał jak najdłużej być w pobliżu Kondka...

Od kiedy pamiętam, czułem jakiś rodzaj wspólnoty z Kondkiem – odczucie, które się umacniało i pogłębiało z biegiem lat... Od zawsze miałem podziw i szacunek dla Kondka. Czułem też i widziałem, jak moi rodzice się do niego odnosili, od zawsze wiedziałem co Kondek robił w czasie, gdy nie było miejsca na opinie i poglądy tylko na pokazanie kim się naprawdę jest... – gdy był czas wojny i okupacji, gdy postawa jednego człowieka decydowała o życiu albo śmierci innych ludzi, i gdy on sam ryzykował dokładnie to samo, co ludzie, którym pomagał.

Może dlatego Kondek miał zawsze u mnie nieograniczony kredyt – ma nadal. Ale nie tylko dlatego.

Ludzie dosyć dziwnie się sprawdzają w sytuacjach kryzysowych, gdy nie wystarcza mówienie o poglądach i ideałach, ale trzeba je stosować w praktyce – a sytuacje bardziej kryzysowe niż polskie lata okupacji trudno sobie wyobrazić.

Nie wiem, jak ja bym się zachował w takiej sytuacji – mówienie jest prostsze od działania dla mnie też, szczególnie gdy jeden błąd może kosztować życie, własne i ludzi wokół.

Trochę wiem jak Kondek się zachował, co robił, i jak to robił. Bardzo rzadko, wspominał o tych czasach – to było opowiadanie o kolorowej przygodzie, niemalże awanturnicze – o czymś, co było oczywiste do zrobienia w tych warunkach. Nigdy nie było w tym refleksji, by Kondek sam robił coś specjalnego.

Kondek chyba w ogóle nie rozumiał za bardzo innych zachowań niż te dla niego oczywiste, nie bardzo rozumiał, co to jest działanie za plecami, oszukiwanie, kłamanie w twarz – wszystkie te „krecie" zachowania ludzkie to nie było dla niego, i to ludzie chyba wykorzystywali przeciwko niemu.

Miał ogromny szacunek i podziw dla swojego anarcho-syndykalistycznego ojca, i chyba dużo od niego przejął – o swoim ojcu opowiadał znacznie więcej niż o sobie samym.

Kondek alergicznie reagował na religię – kościelną albo „świecką", pamiętam jak opowiadał o socjalistycznych dziurach w chodniku.

Tacy ludzie nie są popularni u „władzy", żadnej władzy – a szczególnie półgangsterskiej władzy ówczesnej polskiej rzeczywistości. Uchował się jakoś, chyba dzięki swojemu osobistemu czarowi, wdziękowi, barwności. Kondka świat był kolorowy, roztańczony stepowanymi piruetami – coś zupełnie innego niż rzeczywistość za oknem, albo w innych ludziach.

Czułem u niego dużo mroku – ale nigdy tego nie pokazywał otwarcie... może zachowywał się inaczej, gdy był tylko ze swoją rodziną– chociaż ja się zawsze czułem blisko Kondka...

Był kiedyś policyjny film amerykański, w którym *private eye* prowokował, sugerując, że jest bliski rozwiązania skomplikowanego morderstwa, i wystawiał się na ostrzał, by zobaczyć kto strzela – i w ten sposób dojść kto jest winien.

Kondek też się wystawiał na ostrzał...

Miał niesłychaną zdolność wyczucia słabych punktów u ludzi – przyciskał i czekał na reakcję. Przez lata całe nie odzywał się do mnie inaczej niż „ty, Einstein"... – ja byłem zafascynowany teorią względności – ale w tym nie było cienia złośliwości. Prowokacja, owszem...

Wysiadywał ze mną próbując skonstruować *perpetum mobile* – chyba tak to wyglądało, że ja konstruowałem, a Kondek krytykował. Ale z nas wszystkich, młodzieży dookoła niego, chyba cała reszta miała okresy, czasem długie, gdy z Kondkiem „nie rozmawiała" – bojkot towarzyski zawsze był w Polsce karą ciężką.Chyba jednak nie dla Kondka, bo on się uśmiechał...

Nigdy nie potrafiłem się złościć na Kondka – jak można się złościć na ciepły orkan we wszystkich kolorach tęczy, który cię łagodnie unosi w powietrze ukazując nowe krajobrazy?

I zdaję sobie teraz sprawę, czytając to co dotychczas napisałem, że nie potrafię pisać o Kondku...

Wydaje mi się to niezdarne, nieadekwatne do całej złożoności, wielowartościowości tego kim Kondek był.

Myślałem o tym przez chwilę zanim zasiadłem do pisania...wydało mi się absurdalne używanie języka szwedzkiego czy angielskiego pisząc o Kondku, a z drugiej strony ten polski, z którym ja wyrastałem używał często pojęć takich jak odwaga czy prostolinijność wobec postaw, które dla mnie były często zaprzeczeniem odwagi czy prostoty, zaprzeczeniem tego co Kondek w moich oczach reprezentował.

Może spróbuję na nowo – ale teraz zakończę to co zacząłem, chociaż czuję się jakbym szlifował diament siekierą... Kondek to dla mnie bohater – gdybym go tak otwarcie nazwał nigdy by mi nie wybaczył, i dlatego nigdy się na to nie odważyłem. Jego „socjalistyczne dziury" w chodniku towarzyszą mi nadal każdego dnia, jego pogarda przemieszana z ironią, dla „władzy" też.

Spotkał się w końcu z uznaniem w Izraelu, włączony do grona Sprawiedliwych wśród narodów świata – wydaje mi się że TO miało dla niego znaczenie. Może to było uznanie adekwatne dla tego, co robił, gdy konkretne postępowanie, a nie opinie i poglądy, albo przyrzeczenia, miało znaczenie.

Ale jak adekwatnie napisać o całej złożonej, kolorowej, dzielnej osobowości Kondka?

Jeździliśmy w tamtym czasie często do Kazimierza nad Wisłą – Kazimierz to było moje ulubione miejsce na świecie w tamtych czasach. Ja, i często Robert do jakiejś „meliny", Kondek z Haliną do Domu Dziennikarza.

Dom Dziennikarza to była ciekawa instytucja, trochę jak zwierciadlane odbicie całej ówczesnej Polski. Wiadomo było, że tzw. naczalstwo tam się często zjawiało, ale tak na dobą sprawę nikt dobrze nie wiedział kto to jest „naczalstwo", i czy to oficjalne, które można było zidentyfikować, jest tym prawdziwym.

Rozprzestrzeniała się tam w związku z tym atmosfera ogólnie ostrożnej niepewności. Kondek wysłał mnie ze swego pokoju na trzecim piętrze z zadaniem bojowym – zejść na dół do recepcji, zaparkować tam, i czekać na wydarzenia.

Po chwili zadzwonił, mówiąc tak, że ja mogłem go słyszeć, stojąc metr od telefonu, którego słuchawkę panienka w recepcji czule przyciskała do ucha. Zapytał: – „Jak to tam wygląda u was, na DOLE?"

Po minucie albo dwóch zjawił się Kondek osobiście i zwrócił się do recepcjonistki, która nadal okazywała objawy paniki – to ja dzwoniłem przed chwilą. Chciałem się tylko zapytać o pogodę.

*Paweł Rogalski*

# Halina

„Tego dnia ludzie Wacka się nie pokazali. Przyszli następnego dnia, pięć minut po godzinie policyjnej. Gdy zabrzęczał dzwonek i otworzyłam drzwi, zamiast „ludzi" na progu stała para dzieciaków – chłopiec i dziewczyna. Kondek i Halina. Przyszli na jedną noc i zostali na cały rok. Ich przybycie zapowiadało nowy bałagan, na to byłam przygotowana, ale na to, że w osobie Kondka przyjmuję tajfun, tornado i wszystkie inne huragany świata, przygotowana być nie mogłam. Osiemnastoletni chudy jak szparag chłopak, z bladą aż zielonkawą twarzą, nie wzbudził we mnie żadnych przeczuć ani podejrzeń. Nie widziałam jego oczu, kryły się za okularami. Gdybym mogła zobaczyć wtedy owe zapalające się w nich wesołe ogniki, które poznałam później, żadne, niby to nieśmiałe i przepraszające uśmiechy Kondka, nie zdołałyby mnie zwieść.

Halina miała 16 lat, drobną dziecinną figurkę, ciemne włosy i parę olbrzymich niebieskich oczu patrzących rozsądnie i poważnie. Taka właśnie była, rozsądna i poważna – zupełny kontrast Kondka."

Halina Rozwadowska, *Wspomnienia ważne i nieważne*,
MON, Warszawa, 1966 r. s. 251, 252

Dziękujemy Michałowi Markowi
za pomoc w przygotowaniu wspomnień
do druku.
*Rodzina Świerczyńskich*

Projekt okładki i szaty graficznej wspomnień:
**Robert Świerczyński**


ISBN 978-83-941706-0-8

Przygotowanie do druku i druk: **Meritum.21**
Meritum21@wp.pl



.
1 Szmalcownik – osoba, która podczas II wojny światowej szantażowała ukrywających się Żydów wydaniem władzom okupacyjnym, na ogół po to by uzyskać od nich korzyści finansowe. (słownik Wikipedia)
2 Dowód osobisty wystawany przez niemieckiego okupanta. (Wikisłownik)
3 Arbeitkarta (Arbeitskarte) – karta pracy. Jednym z pierwszych rozporządzeń Generalnego Gubernatora Hansa Franka było wprowadzenie obowiązku pracy dla Polaków w wieku od 14 do 60 lat, a w przypadku osób pochodzenia żydowskiego – już od lat 12. We właściwym dla miejsca zamieszkania urzędzie pracy każdy podlegający ww. rozporządzeniu otrzymywał kartę pracy, która była podstawą do założenia karty ewidencyjnej pracy. W urzędach pracy były rejestrowane wszystkie osoby podlegające obowiązkowi pracy. Prowadzono tam także kartotekę osób niezatrudnionych. (Wikipedia)
4 Siedziba i więzienie Gestapo na ul. Szucha w Warszawie.
5 Dosłownie policja pomocnicza, nazwa organizacji paramilitarnych, które powstały w Niemczech po 1933 r. i służyły głównie do walki z opozycją. W czasie wojny także formacje kolaboracyjne. Na terenie GG działały Hilfspolizei białoruska i ukraińska. Formacji tej często używano w akcjach przeciwko Żydom.
6 Magistrat (w Białymstoku)
7 27 czerwca 1941 r., podczas II Wojny Światowej, hitlerowskie bataliony policyjne spaliły synagogę w Białymstoku wraz z setkami Żydów. (Wikipedia, Wirtualny Sztetel)
8 W magistracie pracuje jako pomocnik w wydziale zdrowia.
9 Na samochody ciężarowe.
10 Niemiecka policja
11 Polski policjant jeszcze raz sprzedał swój pistolet.
12 Volksdeutscher – określenie stosowane do 1945 r. wobec osób pochodzenia niemieckiego, zamieszkujących poza granicami Niemiec według stanu granic na koniec 1937 roku, którzy nie posiadali niemieckiego ani austriackiego obywatelstwa. (Wikipedia)
13 Według Haliny Świerczyńskiej mieszkanie, do którego dotarła żona doktora Samuelsona było położone na ul. Zgoda. Opisany w tym rozdziale „szmalec" miał miejsce w mieszkaniu na ul. Serockiej.
14 W czasie okupacji i po niej, Halina Świerczyńska oficjalnie nosiła i nosi imię Krystyna.
15 Gwarowe – menel, kloszard, brudas (Miejski Słownik Slangu), tu: drań, łobuz.
16 Aryjskie papiery – Żydzi ukrywający się w czasie wojny poprzez przybranie fałszywej „aryjskiej" tożsamości musieli zdobyć dokumenty potwierdzające ich nowe personalia. Dokumenty te to przede wszystkim kenkarta, czyli dowód osobisty, a także metryka urodzenia, zaświadczenie o zameldowaniu, karta pracy itd. Posiadanie metryki i odcinka zameldowania pozwalało na samodzielne wyrobienie kenkarty: stąd wiele osób usiłowało zdobyć jedynie chrześcijańską metrykę, m.in. od księży. Aryjskie papiery wyrabiały dla swoich członków organizacje podziemne, w tym Rada Pomocy Żydom „Żegota", która korzystała z usług „komórki legalizacyjnej" Armii Krajowej; w sumie wyrobiła 50 tys. fałszywych dokumentów dla swoich podopiecznych. Papiery można było także kupić za ogromne pieniądze na czarnym rynku (głównie na targach miejskich) od zawodowych fałszerzy oraz od pracowników urzędów miejskich. Niekiedy swoje dokumenty przekazywali Żydom ich polscy przyjaciele. (Hasło powstało w ramach projektu Zapisywanie świata żydowskiego w Polsce). (Wikipedia)
17 Tu: zginąć, przenieść się na tamten świat.
18 Niemiecka policja kryminalna. (Wikipedia)
19 Filosemita – osoba zafascynowana judaizmem, kulturą żydowską i Żydami. (Słownik Języka Polskiego)
20 Pistolet maszynowy zaprojektowany w 1924 roku w Düesseldorfie. (Wikipedia)
21 Niemiecki dziennik polskojęzyczny wydawany w latach 1939–1945 przez władze okupacyjne w Warszawie, a po Powstaniu Warszawskim w Łodzi (nazywany w okresie okupacji gadzinówką, szmatławcem). (Wikipedia)
22 Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych.
23 Bayer niemiecka firma produkująca lekarstwa, Wehrmacht Arzneimittel – lekarstwa dla armii niemieckiej.
24 Reichsdeutscher – osoba posiadająca niemieckie lub austriackie obywatelstwo. (Wikipedia)
25 W okresie przedwojennym ojciec Kondka był anarchistą.
26 Pasek rzemienny, za pomocą którego szewc przytrzymuje but. (Leksykon Krzyżówki Info) Tu: rzemień do bicia.
27 Wydawnictwa podziemne wydawane w krajach, w których obowiązywała cenzura. (Wikipedia)
28 Paweł Lew Marek „Na krawędzi życia wspomnienia anarchisty z lat 1943–1944", Wydawnictwo „Dąb", Kraków 2006.

29 L. Jędraszko, „Prywatne gimnazjum i liceum męskie im. Bolesława Prusa w Warszawie", Warszawa, 1974 r.
30 Chleb sprzedawany za bony wydawane przez władze okupacyjne. (Halina Świerzynska)
31 Gwiazda z Rio.
32 Zazdrość.
33 Wróć.
34 Jesteś Żydem.
35 Co on mówi? On ma mocne papiery. To jasne. Urodził się w powiecie/okręgu Zischenau i jest wyznania katolickiego.
36 Podejrzana to kretynką. Tak ona jest durna. Wygląda na to, że jest to nieporozumienie...
37 Wróć.
38 Wenecja na Woli w Warszawie – Część przedwojennej Woli położona przy placu o nazwie Wenecja (przy ul. Wolskiej). Plac był za parkanem, a przy bramie wisiały gablotki z fotkami teatrzyku rewiowego „Chochlik". Teatrzyk występował w zielonym baraku, w czasie antraktu artyści wychodzili na rampę i wykonywali piosenki, monologi, żeby zachęcić ludzi zza parkanu do kupienia biletu. Była też karuzela, siłomierze i siłacze, czasem przyjeżdżał cyrk, a także „dancing na dechach". Przychodzili tu ludzie z Woli i Czystego, głównie ludność robotnicza i różnego rodzaju cwaniaki, dlatego „Wenecja" nie cieszyła się najlepszą opinią. Po Powstaniu Warszawskim powstało kino WZ i restauracja pod nazwą Wenecja, (na podstawie: Siren City Boy – internet)
39 Oczekują zarobku, sara – pieniądz, kasa (Miejski słownik slangu).
40 Glik – szczęście.
41 Szczęście (potocznie).
42 Lekceważąco o młodym człowieku lub mikrym mężczyźnie (Wikisłownik).
43 Krwawa rozprawa wyrównująca porachunki w środowisku przestępczym. (Słownik Języka Polskiego)
44 Za Żelazną Bramą – warszawskie osiedle mieszkaniowe leżące pomiędzy dzielnicą Wola a Śródmieście. Nazwa pochodzi od nieistniejącej już żelaznej bramy, będącej wejściem do Ogrodu Saskiego (Wikipedia)
45 Bund (w jęz. Jidysz) – Powszechny Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji; istniejąca w latach 1897–1948 lewicowa, antysyjonistyczna partia żydowska działająca w kilku państwach europejskich. Bund stanowił autonomiczną część Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji w latach 1898–1903 i 1906–1912. Organizacyjne pozostałości po tym ugrupowaniu wciąż prowadzą działalność w USA, Kanadzie, Australii i Wielkiej Brytanii. (Wikipedia)
46 Kojsa (Jidysz) – butelka [wódki]; Tu: wspólne opicie sprawy.
47 Dzień wypłaty.
48 Czy ja jestem głupi?
49 Laska z drewna wiśniowego.
50 Urke burke - przestępca (Wikipedia)
51 Kercelak – funkcjonujące od 1867 do 1944 największe targowisko przedwojennej Warszawy. Rozpoczynało się w rejonie ul. Chłodnej i Towarowej, rozwijając wzdłuż ul. Okopowej i dochodząc do ul. Ogrodowej i ul. Leszno (dzisiejszy odcinek Al. Solidarności od ul. Wroniej do ul. Młynarskiej oraz wschodnia część ul. Okopowej zostały wybudowane po II wojnie światowej). Targowisko zajmowało teren o wielkości ok. 1,5 hektara. Jego nazwa pochodzi od nazwiska Józefa Kercelego, właściciela kilku placów w tym rejonie, które kupił od niego Urząd Miasta. Na plac ten przeniesione zostały stragany z placu Grzybowskiego. Zostały ustawione według branży, którą obejmowały. Targowisko na Kercelaku było najczęściej odwiedzane przez specyficzną część społeczności warszawskiej. Stworzyła ona własną gwarę, a także wyłoniło się z niej kilka postaci, które przeszły do legendy (Tata Tasiemka, niektórzy bohaterowie felietonów Stefana Wiecha Wiecheckiego). (Wikipedia).

Rodzina Kondka była silnie związana z tym bazarem. Jego ojciec miał budkę na targowisku i sprzedawał w niej święte obrazy (będąc jednocześnie zagorzałym ateistą). Poza tym miał tam wypożyczalnię książek i nielegalny punkt rozprowadzania „bibuły" (głównie anarchistycznej).

52 Podupadał.
53 Organizacja Todt (niem.) – utworzona w 1938 r. w nazistowskich Niemczech organizacja mająca za zadanie budowę obiektów wojskowych, kierowana początkowo przez Fritza Todta. W latach II wojny światowej zatrudniano przymusowo także robotników i inżynierów z krajów okupowanych. (Wikipedia)
54 Ausweisy – dowody osobiste, marszbefehle – rozkazy podróży.
55 Świnki -złote monety pięciorublowe.
56 Cwaniaki z Marymontu (dzielnica w Warszawie).
57 Tu: rodowity Niemiec
58 Wtarabanić się – (pot.) wejść dokądś siłą bez pozwolenia. (Słownik Języka Polskiego)
59 Parabellum – pistolet powtarzalny konstrukcji niemieckiej potocznie nazywany Lugerem od nazwiska konstruktora. (Wikipedia)
60 Praca z kosą – działanie przestępcze (takie jak rozboje, wymuszenia) z użyciem noża. (Wikipedia)
61 Krecha przekroczona – przekroczona pewna granica dopuszczalnych zachowań.
62 Obstawa
63 Granatowa policja – policja polska w Generalnej Guberni podporządkowana niemieckim lokalnym komendantom policji porządkowej –

nazwa policji pochodzi od granatowego koloru noszonych mundurów. Analogiczne policje istniały we wszystkich okupowanych krajach. (Wikipedia)
64 Tankowa knajpka – pijacka knajpka.
65 Na zdrowie.
66 Pijmy do dna!
67 Do dna.
68 Żartobliwie: żegnaj; ale też jako wyraz przekonania, że coś przepadło, koniec czegoś, nie warto o czymś mówić. (Edupedia)
69 Boczek, słonina.
70 Do widzenia. Jeszcze przyjdziemy.
71 Członkowie litewskiej organizacji paramilitarnej. W czasie II wojny światowej z jej szeregów rekrutowała się litewska kolaborancka formacja policyjna odpowiedzialna za masowe zbrodnie na ludności żydowskiej i polskiej na Wileńszczyźnie. Szaulisi pilnowali także gett w Generalnej Guberni. (Wikipedia).
72 Gwara przestępcza: wsypa, wpadka. (Słownik Języka Polskiego)
73 Orbisowski komfort – polskie przedsiębiorstwo turystyczne utworzone po I wojnie światowej posiadające m.in. hotele.
74 Spodnie galowe.
75 Leszno – ulica położona na Warszawskiej Woli. W listopadzie 1940 ulica ta aż do ulicy Żelaznej znalazła się w obrębie getta warszawskiego. (Wikipedia)
76 Tu: grupy Żydów wyprowadzane pod strażą na zewnątrz z getta w celu wykonywania różnych prac wskazanych przez niemieckich okupantów (Halina Świerczyńska).
77 Arbeitsamt – urząd pracy w okresie okupacji. Urzędy pacy w porozumieniu z policją i SS organizowały system pracy przymusowej i eksploatacji darmowej siły roboczej. (Wikipedia).
78 Gimnazjum Collegium – w kamienicy na rogu Leszno i Żelaznej mieściły się szkoły i mieszkania. Dom został zburzony w latach sześćdziesiątych w związku z poszerzaniem Al. Świerczewskiego (obecnie Solidarności). (Gazeta.pl Warszawa)
79 Strupel – slangowe: dozorca, stróż (Halina Świerczyńska)
80 Farfałn dy klaczkies [mit weisse kopytkies] – (Jidysz), tu: jesteśmy skończeni; w nawiasie rozszerzona wersja powiedzenia (Halina Swierczyńska).
81 Chodzi o pomnik Zygmunta III Wazy stojący na kolumnie na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.
82 Kopniaki.
83 Zespół artystów.
84 Prawdopodobnie przekręcone słowo „kipisz” – rewizja (Słownik Języka Polskiego).
85 Zaświadczenie.
86 Most im. księcia Józefa Poniatowskiego w Warszawie.
87 Garniturów.
88 Umschlagplatz (niem. plac przeładunkowy) – nieistniejąca dziś rampa kolejowa przy ulicy Stawki 4/6 w Warszawie, która wraz ze znajdującymi się w jej sąsiedztwie budynkami była wykorzystywana w latach 1942–1943 jako miejsce koncentracji Żydów z warszawskiego getta przed wywiezieniem ich do obozu zagłady w Treblince oraz obozów w dystrykcie lubelskim. (Wikipedia)
89 Fryda Hofman Zgodzińska. Po wojnie mieszkała w Kanadzie. Jej wspomnienia zostały opublikowane pod tytułem: „My Struggles 1939–1945 Under the German Occupation of Poland”, Editions de la Familie, Montreal, Toronto, 1993. Patrz zdjęcie na str..
90 [łac.] bez gniewu i bez upodobania, bezstronnie, obiektywnie; słynne zapewnienie Tacyta (na początku jego dzieła) o obiektywizmie autora.